

ZESŁANIEC

PISMO RADY NAUKOWEJ
ZARZĄDU GŁÓWNEGO
ZWIĄZKU SYBIRAKÓW
PL ISSN 1426-2126



58 2014



Z e s ł a n i e c

PISMO RADY NAUKOWEJ ZARZĄDU GŁÓWNEGO
NR 58 ZWIĄZKU SYBIRAKÓW ROK 2014

Spis treści

- **Agnieszka Czarkowska**
Pokazać hart ducha – Rozmowa z Robertem Sadowskim, dyrektorem Muzeum Wojska i Oddziału Muzeum Pamięci Sybiru w Białymstoku 3
- **Franciszek Nowiński**
Sybiracy i polscy zesłańcy w pamiętniku Benedykta Dybowskiego 11
- **Jerzy Fiećko**
Anna Rudawcowa, poetka na wygnaniu 37
- **Anna Zapalec**
Golgota Gułagu – Butugyczag (relacja z podróży po Kołymie) 49
- RELACJE Z ZESŁANIA**
- **Bohdan Rudawiec**
Z rozkazu najwyższych władz... 57
- **Donat Poważyński**
Zniewolone dzieciństwo 60
- KRONIKA**
- **Tomasz Dudek**
„Zesłaniec” – kwartalnik Rady Naukowej Zarządu Głównego Związku Sybiraków 75
- **Barbara Noworolska**
Mandżurskie spotkanie 83
- **Bogusław Kosel**
10 lat „Polonii Tomskiej” Dni Kultury Polskiej... 86
- **Joanna Okoń**
Syberyjska lekcja historii 90

Od redakcji

Dom i rodzina kształtuje człowieka na całe życie. Jest ona silna i bezpieczna, gdy jest razem, a jej rozbitcie przynosi narażenie na nieoczekiwane, wręcz zaskakujące doświadczenia, nieraz bardzo bolesnych i szokujących. Jak bolesną rolę odgrywały one dla nas Sybiraków, każdy ma swoje rodzinne doświadczenia w tym zakresie – pobyty w więzieniach, uciążliwe śledztwa, zesłania do łagrów, rozstrzelanie w Katyniu i innych miejscach kaźni. To znany nam ciąg tamtych doświadczeń. Przeżywaliliśmy to również wyrwani nocą z domów, gdy w deportacyjnych eszelonach wieziono nas na zesłanie. Tysiące osób zostało wówczas samotnych, zdanych jedynie na własne siły. Wojna i okupacja pochłonięły ludzi a retrospekcje te stanowiące źródło smutku i rozterek do dzisiaj trapią rodziny zesłanych na Syberię. Kumulują się też one wyraźnie w spojrzeniu na te lata pobytu w „sowieckim domu niewoli” znajdującym się gdzieś daleko w archangielskich lasach, w syberyjskiej tajdze, czy w stepach Kazachstanu.

Ogląd tych spraw można wyraźnie odczytać na łamach „Zesłaniec” dzięki licznemu zespołowi historyków oraz relacjom zesłańczym stanowiącym stały dział naszego kwartalnika. Staramy się przekazywać w sposób przejrzysty i przystępny sumę wiedzy z tego zakresu, daleką od jednostronności czy zawartości problemowej, co powoduje sporą różnorodność tematyczną, różną w stopniu oryginalności i nowości. Przyczynia się to do poczytności kwartalnika wśród nauczycieli historii oraz uczniów szkół średnich i studentów, zwłaszcza, że dostępny jest on również w internecie. Dowodnie wskazuje też, że wysiłek redakcyjny przynosi oczekiwane rezultaty w ukazywaniu złożonych związków polsko-syberyjskich. Z listów napływających do

REGAŁ Z KSIĄŻKAMI

- Tomasz Grzywaczewski,
Przez dziki Wschód, Kraków 2012
(Małgorzata Dziura) 95
- Dorota Sula, *Powrót ludności
polskiej z byłego Imperium
Rosyjskiego w latach 1918-1937*,
Warszawa 2013
(Tomasz Dudek) 99
- *Kresowanie na świecie*,
red. Maria Kalczyńska,
Krystyna Rostocka,
Adam Wierciński, Opole 2013
(Marta Nowakowska) 101

LISTY DO REDAKCJI 105

Na okładce: Benedykt Dybowski (pierwszy z lewej strony) z przyjaciółmi w Irkucku s. 1); obraz „Jeździec z końmi” Józefa Baerkmana, rep. z książki: A. Kuczyński, *Syberia. 400 lat polskiej diaspory*, Wrocław 1993 (s. 4).

Zeszyt opublikowany dzięki dotacji Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa

Wydawca: Zarząd Główny
Związku Sybiraków,
ul. Mazowiecka 12
00-048 Warszawa, tel. 22/827 93 71

Redakcja: A. Dobroński,
A. Dzienkiewicz, W. Krawczyński,
A. Kuczyński (red. nac.), S. Sikorski,
P. Zworski

Sekretarz redakcji: M. B. Kuczyńska
Wykonawca: Skład, druk i oprawa –
QUAESTIO Przemysław Włodarczyk,
ul. Paczkowska 26; 50-503 Wrocław

Copyright nazwy „Zesłaniec”
by A. Kuczyński

Adres redakcji: ul. Bystrzycka 61/3
54-215 Wrocław, tel. 71/351 10 94

redakcji wynika, że poczytnością cieszy się tematyka dziejów Polaków za Uralem w XIX stuleciu oraz ich wkładu w prowadzone tam badania naukowe w dziedzinie geografii i geologii oraz kultury tubylczych ludów. Często piszemy też o polskiej diasporze na Syberii, która nie zapomina o swoim rodowodzie tworząc tam środowiska polonijne w postaci stowarzyszeń kulturalnych i zespołów artystycznych przyczyniając się do odradzania Kościoła katolickiego w tej części Federacji Rosyjskiej.

I jeszcze słowo o tematyce tego zeszytu. Otwiera go interesujący wywiad z Robertem Sadowskim dyrektorem Muzeum Wojska i powstającego w Białymstoku Muzeum Pamięci Sybiru. Ambitne plany z tego zakresu to ważna lekcja pamięci dla przyszłych pokoleń kojarząca się z istniejącym już Muzeum Powstania Warszawskiego. Ważna to i potrzebna inicjatywa wspierana przez naszą redakcję między innymi poprzez apele kierowane do Sybiraków o przekazywanie pamiętek z zesłania.

Uwagze Czytelników polecamy artykuł profesora F. Nowińskiego o zesańczych losach powstańca styczniowego Benedykta Dybowskiego, natomiast profesor J. Fiećko w interesującym eseju przybliży postać poetki-sybiraczki Anny Rudawcowej. Odrębny zespół tworzą teksty o kohymskich łagrach, relacje z zesłania, prezentacje dziejów Polonii tomskiej, esej historyczny o „Zesłańcu”, studenckie doświadczenia z wyprawy na Altaj oraz recenzje. Całość zeszytu tworzy swoistą księgę różnych syberyjskich wątków, a wśród nich interesujące rozważania o dziejach Polaków w Harbinie, szczególnie mi bliskie bowiem przebywając w łagrach spotkałem tam Rodaka pochodzącego właśnie z tego miasta, który opowiadał o dziejach tamtejszej polskiej diaspory. Całość jest więc kompendium napisanym żywo, z pasją i pożytkiem faktograficznym. Czerpać zeń można wiadomości o różnych zakresach polsko-syberyjskich kontaktów, dzięki ofiarności Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa wspierającej druk kolejnej już edycji „Zesłańca”.

Wiesław Krawczyński
Przewodniczący Rady Naukowej
Zarządu Głównego Związku Sybiraków

AGNIESZKA CZARKOWSKA

**POKAZAĆ HART DUCHA –
ROZMOWA Z ROBERTEM SADOWSKIM,
DYREKTOREM MUZEUM WOJSKA I ODDZIAŁU
MUZEUM PAMIĘCI SYBIRU W BIAŁYMSTOKU**

A.C.: Kiedy pojawiła się idea powstania Muzeum Pamięci Sybiru i dlaczego akurat w Białymstoku?

R.S.: W pierwszej połowie lat 90. łaknęliśmy wszelkiej historii, a zwłaszcza tej zakazanej, o której nie można było wcześniej mówić. Wtedy już pojawiały się pierwsze pomysły powstania muzeum, które by opowiadały o dziejach naszych stosunków z Rosją. Natomiast konkretna idea powstania Muzeum Pamięci Sybiru wyszła ze środowisk białostockich już dobrych kilka lat wcześniej, zanim zostałem dyrektorem Muzeum Wojska przed czterema laty. Wówczas już o tym mówiło się dosyć dużo – z jednej strony wśród sił politycznych, a jednocześnie w samorządzie białostockim. Kiedy zostałem dyrektorem na początku 2010 roku mocno o tym projekcie mówił prezydent miasta Tadeusz Truskolaski i poseł Robert Tyszkiewicz. Dla obojgu była to idea bardzo ważna. Mama posła Tyszkiewicza była Sybiraczką, więc zrozumiałe jest, że to temat bliski jego sercu. Białystok jest ostatnim wschodnim dużym miastem w obecnych granicach Rzeczypospolitej, które w latach 1939-41 doświadczyło okupacji sowieckiej, w związku z tym, siłą rzeczy, umiejscowienie tutaj takiego muzeum jest naturalne. Poza tym – okupacja sowiecka, deportacje – to jest żywa pamięć tego miasta, istotna część tożsamości Białegostoku. Po wielu rozmowach w urzędzie Miasta, również z udziałem Związku Sybiraków, zapadła decyzja, że czas wcielić ten pomysł w życie. I tu były dwa wyjścia – jedno, żeby powołać muzeum jako twór w organizacji i budować tę placówkę od podstaw. Drugi sposób, może bardziej bezpieczny dla tego projektu, aczkolwiek nie łatwiejszy, to tworzyć tę jednostkę w ramach istniejącej placówki samorządowej. Wybrano drugi sposób i oczywiście wybór padł na Muzeum Wojska, instytucji, która ma wiele wspólnego z tematyką sybiracką, choćby poprzez Armię Andersa czy Dywizję Kościuszkowską. Pierwszą jaskółką było stworzenie zupełnie nowej wystawy, sfinansowanej z grantu Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, zatytułowanej „Przeciw dwóm wrogom” i w ramach tego powstała namiastka Muzeum Pamięci Sybiru – sala poświęcona tematowi Sybiru. To idea przyszłego Muzeum Pamięci Sybiru w pigułce, bowiem w tej sali widzimy nie tylko te najbardziej tragiczne wydarzenia lat czterdziestych ubiegłego wieku,

ale również proces wcześniejszych zesłań, aż do roku 1956, czyli fali ostatnich powrotów z deportacji.

Postępujemy się określeniem Sybir, tak też brzmi nazwa muzeum. Jak rozumieć to pojęcie?

Sybir jako idea, oczywiście, nie chodzi tu o geograficzne określenie Syberii. Sybir jako miejsce zesłań, deportacji, ale i dobrowolnych wyjazdów. Geograficznie to rejon bardzo szeroki – i sama Syberia właściwa, i Kazachstan, i Daleki Wschód, jak również europejska część Rosji czy Związku Sowieckiego. Zakres chronologiczny szeroki – od Jermaka, historycznego zdobywcy Syberii dla państwa moskiewskiego w drugiej połowie XVI wieku, poprzez powolną wewnętrzną kolonizację tych ziem i oczywiście udział w tym procesie Polaków. Następnie już z dużym naciskiem na koniec wieku XVIII, czyli wywózki z okresu insurekcji kościuszkowskiej, potem oczywiście wiek XIX i deportacje popowstaniowe. Niesamowicie ciekawy wątek, który musi się na stałej ekspozycji znaleźć, to dobrowolne przesiedlenia na przełomie XIX i XX wieku. Takimi sztandarowymi przykładami są powstałe wówczas polskie wsie jak Wierszyna czy syberyjski Białystok, które istnieją do dziś. Ważnym elementem będzie też praca na Syberii polskich naukowców, badaczy przyrody, inżynierów, budowniczych mostów i dróg oraz tych wszystkich, którzy pojechali tam robić kariery finansowe. Takich ludzi było sporo.

Może to stanowić pewne zaskoczenie dla zwiedzających, bo większość będzie nastawiona tylko na martyrologię. To też oczywiście pokażemy, nie chcę by mnie źle zrozumiano, że będzie tylko piękna, wspaniała, wyidealizowana Syberia. Chcemy pokazać różne odcienie Sybiru – i duża część wystawy poświęcona będzie tragicznym deportacjom lat czterdziestych, jak i czystkom z lat trzydziestych, które dotknęły Polaków za granicą ryską. Ale obok tych tragicznych okresów był też czas, kiedy Syberia była swoistym eldorado, dzikim wschodem, ziemią obiecaną i Polacy wyjeżdżali tam z własnej woli w poszukiwaniu lepszego życia. Będzie też wątek poświęcony geografii, etnografii, rdzennym ludom Syberii, bo pamiętajmy, że to co dla zesłańców było krainą przeklętą, to dla Buriatów, Jakutów czy Kazachów było ziemią ojczystą. Nasza wystawa będzie piętnowała system carski czy sowiecki aparat represji, ale oddamy honor zwykłym ludziom, którzy – a przewija się to w setkach relacji Sybiraków - bardzo często nieśli pomoc naszym zesłańcom. Czasami bez ich pomocy przeżycie byłoby niemożliwe.

Jest idea, zaczyna być wcielana w życie i pojawia się pytanie – dla kogo? Kto ma być głównym adresatem tej placówki?

Najprostsza odpowiedź, jaka się ciśnie na usta, to oczywiście świadkowie wydarzeń, czyli Sybiracy. Natomiast to byłoby zbyt duże uproszczenie. Mówiąc górnolotnie – oczywiście wszyscy Polacy. Ale jak ja o tym myślę, to widzę przede wszystkim ludzi młodych. Chciałbym, żeby zacząć o tym Sybirze mówić do młodych i mówić w sposób trochę inny. Rozumiem, dlaczego tak się stało, że Sybir jest dziś kojarzony jako jedna wielka trauma narodowa. Mam na myśli przekaz powszechny, nie mówię o specjalistach, którzy się tym zajmują. Dla przeciętnego Polaka Sybir to łańcuchy, kraty i powrozy. Kapitałnym przykładem takiego podejścia był konkurs, który ogłosiliśmy w zeszłym roku na logo muzeum czy raczej logo portalu sybir.com.pl. Z prawie tysiąca prac, jakie napłynęły, dziewięćdziesiąt procent to były orły skute kajdanami, druty

kolczaste, kraty. To pokazało nam, jak jednostronny jest odbiór Syberii – tylko martyrologia. A my uważamy, że trzeba pokazać ten temat z wielu stron. A o martyrologii, owszem tak, ale chcemy przede wszystkim pokazać hart ducha ludzi, którzy tam się znaleźli, pokazać, że wywózka to nie tylko koniec wszystkiego. Trochę te nasze poglądy są różne z poglądami Związku Sybiraków. Dla nich Sybir jest jednoznaczny. Zresztą pokazuje to muzeum, które w Białymstoku istnieje, założone przez Sybiraków w kościele Ducha Świętego. Tam znajdziemy tylko krew, pot i łzy. I ja to rozumiem, bo ci ludzie tę tragedię przeszli. Natomiast Muzeum Pamięci Sybiru ma być dla ludzi młodych, dla których Sybir czy bitwa pod Grunwaldem to wydarzenie historyczne. Oczywiście są tacy, którzy znają to z przekazu w rodzinach, deportacje są historią emocjonalną, dotyczącą np. dziadków, ale oni nie stanowią większości. Narracja naszego przekazu ma przekonać i zainteresować tą tematyką młodych ludzi.

Muzeum dziś to nie tylko zbiory i wystawy. Ważna jest i edukacja, i praca naukowa, i organizacja wydarzeń kulturalnych. Jakie funkcje będzie pełniło muzeum? Które z nich będą najważniejsze?

Wiemy na pewno jedno – nie ma w Polsce instytucji, która by się zajmowała tylko tematem Sybiru w szerokim kontekście, szerokim ujęciu. W wielu muzeach jakieś pamiątki sybirackie są i tworzą elementy wystaw. Nie ma jednak miejsca, gdzie to wszystko byłoby opowiedziane w jakimś ciągu historycznym. Dlatego Muzeum Pamięci Sybiru chce skupić te wszystkie wątki. Chcemy zająć się i pracą naukową, i kontaktami z zagranicą, głównie z Polakami na Wschodzie, którzy przede wszystkim są potomkami zesłańców i z XIX, a także XX wieku. Również edukacja będzie podstawą, bo musimy tego przyszłego obywatela wychować, mówiąc mu o historii własnego narodu i państwa. Ma być to też miejsce spędzania wolnego czasu – nie w sensie prostej rozrywki, ale chcielibyśmy, żeby było to miejsce, do którego warto przyjść więcej niż jeden raz. Żeby nie było tak, że przyjdzie się tu pierwszy raz, obejrzy, zapłaci nad losem Sybiraka i więcej nie wróci, bo nie zechce się znów tego przeżywać. Chcielibyśmy pokazać Sybir wielowymiarowo, zaproponować tak tematy, aby warto było wrócić do muzeum. Moim marzeniem jest, aby zbierać bibliografię wszystkiego, co się na temat Sybiru ukazuje. Temu ma też służyć ten portal sybir.com.pl, który tworzymy. Wiem, że to praca tytaniczna, praca na lata, stworzenie takiej bazy internetowej, również bazy danych Sybiraków. Ale żeby każdy, kto będzie szukał danych na temat Sybiru, mógł to w jednym miejscu znaleźć, a przynajmniej informację, gdzie szukać – literatury, badań, naukowców zajmujących się tą tematyką. Musimy stworzyć bibliotekę, która gromadzi publikacje na temat Sybiru. Warto też zająć się pracą naukową, badaniami, wydawaniem wspomnień. Nie da się mówić o Syberii bez zasygnalizowania chociaż obecności tam samych Rosjan, ale też Litwinów, Ukraińców, Białorusinów, Łotyszy – tych wszystkich, którzy mieli pecha znaleźć się w orbicie wpływów rosyjskich czy potem sowieckich. Ewakuowani z ZSRR Sybiracy podczas II wojny światowej trafili na wszystkie kontynenty. Właśnie dzisiaj dostałem od Pana Prezesa Związku Sybiraków Tadeusza Chwiedzia plik dokumentów o polskich dzieciach w Japonii, które z Syberii tam trafiły. Tak więc praca muzeum wymaga szerokiej współpracy międzynarodowej, bez niej nie można opracować losów Sybiraków, prowadzić badań.

Mam świadomość, że tego się nie zrobi w rok czy dwa, natomiast trzeba wytyczyć drogi. I warto pokusić się o jeszcze jedną rzecz – policzenie liczby zesłańców. Rozbieżności są zbyt duże, aby tak to zostawić. Musimy zmierzyć się z określeniem liczby deportowanych, przynajmniej z lat czterdziestych. Czy jest to możliwe? Nie wiem. Na pewno trudne, dopóki zamknięte są archiwa rosyjskie. Ale spędza to sen z powiek...

Na jakim etapie inwestycyjnym jest Muzeum Pamięci Sybiru? Jest określone miejsce, w którym ma powstać, są projekty. Co konkretnego wydarzy się w tym roku?

Jest budynek, jest działka. To miejsce zwane Węglówką. Jest gotowy projekt budynku wykonany przez architekta Jana Kabaca – istniejący przedwojenny magazyn wojskowy z czerwonej cegły ma być wkomponowany w nowoczesną budowlę postawioną obok. Pod koniec lutego został ogłoszony konkurs na koncepcję programowo-przestrzenną wystawy stałej Muzeum Pamięci Sybiru. Mam nadzieję, że w połowie września tego roku zostanie rozstrzygnięty. Nie jest to temat łatwy, poprzednio ogłoszony przetarg nie przyniósł oczekiwanego efektu. Miasto w ubiegłym roku zerwało umowę z firmą, która go wygrała. Naszym nieszczęściem było to, że trafiliśmy na firmę, która nie bardzo chciała z nami współpracować, miała swoją wizję i nie można było jej przekonać do zmiany tych pomysłów. Nie widzieliśmy sensu brnięcia w projekt, który nam zaproponowano – był za bardzo dydaktyczny, momentami wręcz dosłowny, zbyt mało nowoczesny.

Mam nadzieję, że teraz – w trybie konkursu – uda się znaleźć ludzi z otwartym głowami. To będzie zadanie komisji konkursowej złożonej z muzealników, historyków, scenografów. Wcześniej już z zespołem profesorów, głównie z Uniwersytetu w Białymstoku, ale też muzealników z Warszawy, ustaliliśmy zakres historyczny, wiemy jakie treści mają się na wystawie stałej znaleźć. Natomiast poprzez konkurs potrzeba nam znaleźć ludzi, którzy nie będą myśleć schematycznie i będą w stanie przedstawić koncepcję scenograficzną, połączyć tę różnorodność wątków związanych z Syberią. Sąd konkursowy będzie tak naprawdę musiał wybrać potencjał firmy, z którą potem w toku długich z dyskusji, wypracujemy efekt końcowy. To może potrwać nawet rok.

Problemem są też same pamiątki, same muzealia. Trzeba pamiętać o tym, że gros tych wszystkich rzeczy zostało na Syberii. Próbowaliśmy oficjalnie pozyskać oryginalne zabudowania łagrowe, ale niestety, zostało to przez stronę rosyjską zablokowane. Opieramy się więc na pamiątkach, które Sybiracy do Polski przywieźli – albo je nam ofiarowują, bądź też kupujemy sami.

Jaki jest odzew na nagłośniony medialnie apel o przekazywanie pamiątek dla Muzeum Pamięci Sybiru?

Pozyskujemy różne rzeczy, są to przede wszystkim przedmioty osobiste, które Sybiracy byli w stanie ze sobą przywieźć. Dla tych osób są to rzeczy bardzo ważne – zdjęcia, listy, dokumenty, czasami rzeczy codziennego użytku – to co, człowiek jest w stanie przewieźć przy sobie. Nie ma więc rzeczy spektakularnych, atrakcyjnych wizualnie, natomiast wszystkie te przedmioty niosą ze sobą niesamowitą historię ludzi, którzy często zabierali je z domów rodzinnych w Polsce i one były z nimi przez cały okres zsyłki, potem tułaczki

czasem aż przez Afrykę i wracały z nimi do kraju. Bardziej więc będziemy się skupiać na takiej mikrohistorii. Ale odzew jest, powiedziałbym, różny. Akcję gromadzenia pamiątek prowadzimy od dłuższego czasu, ale po takiej intensywnej kampanii medialnej pod koniec ubiegłego roku wydawało nam się, że odzew będzie zdecydowanie większy. Owszem, napływają te pamiątki, ale ich liczba nie jest wielka. Prawda jest też taka, że wcześniej było już co najmniej kilka takich inicjatyw i takie zbiórki były przeprowadzane.



Dyrektor Robert Sadowski w Sali Sybiraka w Muzeum Wojska w Białymstoku,
fot. Agnieszka Czarkowska

Powstające muzea, choćby Muzeum II Wojny Światowej, także przechwytyje tego typu pamiątki. My dość późno do tego tematu żeśmy podeszli, gdyby taką akcję przeprowadzać wśród Sybiraków w latach dziewięćdziesiątych, byłoby zdecydowanie prościej i łatwiej. Teraz musimy konkurować z innymi placówkami, chociaż oczywiście nie chodzi o to, żeby sobie wrywać te przedmioty. Liczymy jednak cały czas na Sybiraków i ich potomków, ponieważ nasze muzeum jest idealnym miejscem na utrwalenie tego dla potomnych.

Jak przedstawia się kwestia funduszy? Czy są pieniądze na budowę i wyposażenie Muzeum Pamięci Sybiru? Jakie źródła finansowania wchodzi w grę?

Jeśli chodzi o konkurs na koncepcję wystawy stałej, to koszty samego konkursu jak i aranżację wewnątrz bierze na siebie miasto Białystok. Jeśli chodzi natomiast o samą budowę, to jest projekt, żeby jeszcze w drugiej połowie tego roku rozpocząć prace. To zależy jednak od funduszy unijnych, nowej perspektywy finansowania 2014-2020 i tego, czy będą priorytety, z których

będzie można pozyskać te pieniądze. Jeśli będzie pewność, to budowa ruszy jeszcze w tym roku. Oczywiście Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego też deklaruje pomoc, niemniej jednak, większość kosztów bierze na siebie miasto Białystok, więc siłą rzeczy – jeśli nie będzie zapewnionej stabilności finansowania tego projektu, nikt łopaty w ziemię nie wbije. Oczywiście w tegorocznych planach inwestycyjnych miasta jest rozpoczęcie budowy Muzeum Pamięci Sybiru, ale nie sztuką jest rozgrzebać i potem tak zostawić. Ja osobiście liczę na to, że wszystko pójdzie dobrze i że budowa jesienią ruszy. Mam nadzieję, że przy sprzyjających wiatrach pod koniec 2016 roku uda się Muzeum Pamięci Sybiru otworzyć.

Co Pana zdaniem Białystok zyska dzięki nowej instytucji?

Może przestanie wstydzić się swojego „wschodu”, może zrozumie, że naprawdę szansą dla miasta jest ten kierunek. Białystok zyska jedyną w Polsce instytucję zajmującą się kompleksowo Syberią. Atutem dla miasta będzie współpraca placówki ze Wschodem – nie tylko Rosją, ale też Ukrainą, Białorusią, Kazachstanem czy krajami bałtyckimi, czyli tymi wszystkim terenami, które kiedyś w skład imperium sowieckiego wchodziły. I wierzę w to, że poprzez kontakty kulturalne łatwiej już potem nawiązać kontakty biznesowe, współpracę gospodarczą.

To nie będzie tradycyjne muzeum. Będą oczywiście wystawy i siedziba w Białymstoku, ale chciałbym, żeby nasza instytucja popularyzowała ten temat w całej Polsce. Zakładamy też dużą aktywność w internecie, dlatego już teraz tworzymy portal sybir.com.pl dzięki unijnemu dofinansowaniu. Musimy być obecni również w przestrzeni wirtualnej.

Muzeum będzie atrakcją turystyczną Białegostoku. Mam nadzieję, że uda nam się powtórzyć sukces Muzeum Powstania Warszawskiego, pewnie w trochę mniejszej skali, niemniej jednak liczę na to, że ludzie przyjadą specjalnie, aby zobaczyć to muzeum. Idea jest taka – chcemy wstać z kolan, przestać się samobiczować, pokazać Polakom siłę i hart ducha naszego narodu. Hart i siłę tych ludzi, którzy tam byli z różnych powodów, i tych, którzy ciężkie warunki deportacji na Syberii przetrwali, a potem jeszcze potrafili za wolność Ojczyzny bić się na wszystkich frontach II wojny światowej. Nie chcemy, żeby zwiedzający wychodząc z muzeum płakali nad losem Sybiraków, ale żeby poczuli dumę, że to twardzi ludzie, patrioci, z których można brać przykład.

Chciałam na koniec zapytać, czego Panu brakuje, tak na dziś i na teraz?

Ludzi, ludzi i ludzi. My robimy wiele rzeczy, których nie widać – gromadzenie pamiątek, nagrywanie relacji, organizacja konferencji i wolontariatu. Może nie są to jeszcze rzeczy spektakularne, ale budujemy fundamenty tego muzeum. I robią to cztery osoby. Tylko cztery osoby są pracownikami Muzeum Pamięci Sybiru Oddział Muzeum Wojska w Białymstoku, bo tak to organizacyjnie w tej chwili funkcjonuje. Całe Muzeum Wojska liczy 28 osób. Nie jestem w stanie skierować więcej osób do tworzenia nowej placówki, bo Muzeum Wojska też musi funkcjonować normalnie i nie stracić swojej dynamiki, której w ostatnich latach nabrało. Tego najbardziej brakuje – pracowników – ludzi mądrych, otwartych, z pomysłami. Tacy są, tylko ja muszę mieć możliwość ich zatrudnić. Oczywiście wszystko rozbija się

o pieniądze, ale Muzeum Pamięci Sybiru przyniesie w efekcie miastu korzyści, choćby poprzez turystów. Białystok zyska placówkę ciekawą, nowoczesną, która – jak to powiedziała profesor Wiktoria Śliwowska z Polskiej Akademii Nauk – „nie będzie walczyła z mitami o Sybirze, ale mówiła prawdę”. Te słowa mi przyświecają.

Dziękuję bardzo za rozmowę.

APEL

Otwarcie **Muzeum Pamięci Sybiru** planujemy na 2016 rok, ale już teraz podejmujemy szereg działań związanych z pozyskiwaniem materiału fotograficznego, pamiątkarskiego oraz ze zbieraniem pamiątek związanych z zesłaniami do Imperium Rosyjskiego i ZSRS. W związku z tym zwracamy się do wszystkich Państwa, którym bliska sercu jest tematyka Sybiru o pomoc w budowie tego jedyne w naszym kraju Muzeum.

Prosimy o przesyłanie relacji, wspomnień z pobytu na *niełudzkiej ziemi*, przekazywanie zdjęć, pamiątek.

**TYLKO WSPÓLNIE ZBUDUJEMY
MUZEUM PAMIĘCI SYBIRU!!!**

Dział Badań Zsyłek i Deportacji Muzeum Wojska w Białymstoku
ul. Kilińskiego 7, 15-089 Białystok
tel. 85/741-64-49; e-mail: sybir@mwb.com.pl
www. sybir. com.pl

* Agnieszka Czarkowska, dziennikarka, reportażystka, dokumentalistka Polskiego Radia Białystok, autorka cotygodniowej audycji historycznej „Tajemnice naszych czasów”.

Apel do Prezesów Oddziałów Związku Sybiraków

Dzieje Polaków na Syberii oraz badania naukowe prowadzące do pełniejszego poznania tych wielowątkowych losów zesłańców stały się obecnie jedną z ważnych potrzeb dokumentacyjnych, które wpisane są w program kwartalnika „Zesłaniec”, wydawanego od 1996 roku przez Radę Naukową Zarządu Głównego Związku Sybiraków.

Relacje Polaków zesłanych na Syberię, do Kazachstanu i w inne rejony Związku Sowieckiego w okresie drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu stanowią ważne ogniwo długiego łańcucha naszej historii za Uralem. Redakcja „Zesłańca” problematyce tej poświęca należną uwagę i w dziale „Relacje z zesłania” publikuje wspomnienia stanowiące ważną część naszych syberyjskich losów. Bez wątpienia są one niezbędne dla historyków, politologów czy socjologów do tworzenia opracowań pozwalających pełniej odtworzyć obiektywny obraz zesłańczego życia. Zatem wspomnienia „z domu sowieckiej niewoli”, to pomoc w wielu kwestiach naukowych, to bogate źródło wiedzy pozwalające na wyjaśnienie i przedstawienie wielowymiarowej codzienności na zesłaniu – w łagrach, posiołkach czy więzieniach.

Mając na względzie stałe ubogacanie źródeł z tego zakresu redakcja „Zesłańca” zwraca się z prośbą do Prezesów Oddziałów o zainteresowanie Członków Związku Sybiraków o przesyłanie materiałów (wspomnień, korespondencji, fotografii, dokumentów – świadectwa szkolne, legitymacje ZPP, książeczki wojskowe itp.) będących odbiciem zesłańczego losów na Syberii, w Kazachstanie, na Dalekim Wschodzie i w innych rejonach Związku Sowieckiego. Materiały te po opublikowaniu w naszym kwartalniku zostaną zwrócone ofiarodawcom. Korespondencję proszę kierować na adres:

Redakcja kwartalnika „Zesłaniec”,

ul. Bystrzycka 61/3

54-214 Wrocław

Email: bakucz@op.pl

abkucz@gmail.com

FRANCISZEK NOWIŃSKI

SYBIRACY I POLSCY ZESŁAŃCY W PAMIĘTNIKU BENEDYKTA DYBOWSKIEGO

Upadek powstania styczniowego spowodował nowe represje władz rosyjskich wobec Polaków. Tradycyjnie już, największa liczba osób represjonowanych, znalazła się na zesłaniu syberyjskim. W odróżnieniu jednak od sytuacji po powstaniu listopadowym, kiedy to główna fala zesłańców rozmieszczona została na terenie Syberii Zachodniej, zesłańcy postyczniowi kierowani byli głównie do Syberii Wschodniej. Najczęściej podawana ogólna liczba zesłańców na Syberię oscyluje pomiędzy 18 a 20 tysięcy osób. Większość autorów opiera się na ustaleniach rosyjskiego historyka Siergieja Maksimowa, który swoje wyliczenia oparł na materiałach urzędowych. Polscy pamiętnikarze podawali z reguły liczby znacznie wyższe¹. Wątpliwe, czy kiedykolwiek uda się określić dokładną liczbę zesłańców postyczniowych. Chociaż nowa fala zesłańców zamykała się w latach 1860-1866, to jej największe natężenie przypadło na lata 1863-1864. Jeżeli o powstańcach polistopadowych mówimy jako o pierwszym pokoleniu dziewiętnastowiecznych polskich sybiraków, to zesłańcy postyczniowi przeszli do historii jako drugie pokolenie. Z lektury ich pamiętników widać, że oswojono się już z Syberią. Miano lepsze rozeznanie i wyobrażenie o tym gdzie idą i co ich tam czeka. Chociaż powód zesłania był ten sam, to zbiorowość zesłańcza była już nieco inna. Wśród zesłańców obok szlachty spotykamy znaczną liczbę przedstawicieli innych warstw społecznych, a wśród nich duchowieństwo i chłopstwo². Pomimo zróżnicowanego składu społecznego, to nowe środowisko zesłańcze było lepiej zorganizowane, czuło i miało większą wewnętrzną spójność. Już w momencie wyruszenia na zesłanie, byli lepiej przygotowani zarówno do drogi, jak i do życia na Syberii. No i chyba najważniejsza sprawa, znalazła się pewna grupa ludzi, która miała aspiracje, cele i chęć pożytecznego działania dla Syberii. Chociaż to środowisko było

¹ S. Maksimow, *Syberya i ciężkie roboty (Sibir i katorga)* w trzech częściach. Z wydania drugiego, poprawionego i uzupełnionego, przeł. Zenon Pietkiewicz, cz. 3 *Przestępcy polityczni i państwowi*, Warszawa 1900, s. 81; Z. Librowicz, *Polacy w Syberii*, Kraków 1884, s. 160; M. Janik, *Dzieje Polaków na Syberii*, Kraków 1928, s. 307; H. Skok, *Polacy nad Bajkałem 1863-1883*, Warszawa 1974, s. 101-103.

² O udziale duchowieństwa w powstaniu styczniowym zob. E. Niebelski, *Duchowieństwo lubelskie i podlaskie w powstaniu 1863 roku i na zesłaniu w Rosji*, Lublin 2002; tenże, *Tunka. Syberyjskie losy księży zesłańców 1863 roku*, Wrocław 2011. O zesłańcach pochodzenia nieszlacheckiego brak jak dotąd odrębnych opracowań.

niewielkie, to jego dokonania naukowo-badawcze były duże i ważne. Jednym z bardziej aktywnych i znanych przedstawicieli tego środowiska był Benedykt Dybowski (1833-1930).

Zanim przejdę do omówienia zesłańczych losów B. Dybowskiego kilka uzupełnień o jego działalność przed zesłaniem, w związku z biografią naszego bohatera, autorstwa Gabriela Brzęka. Udział studentów w różnorodnych nabożeństwach i uroczystościach kościelnych w 1861 r. był rzeczą powszechną.³ Wiązało się to z ożywieniem polskich środowisk studenckich w uniwersytetach rosyjskich, w okresie tzw. wiosny posewastopolskiej. Agaton Giller twierdził, że początek temu patriotycznemu ruchowi studenckiemu, dali polscy studenci z Uniwersytetu Kijowskiego. Z dużą jednak przesadą pisał, że

była chwila, że prawie całe polityczne życie Polski przeniosło się do Kijowa i jak przed 1831 r. młodzież Uniwersytetu Wileńskiego, wpłynęła przeważnie na całą Polskę w duchu powstania; tak przed 1863 r. młodzież kijowska w tymże duchu wpłynęła na cały kraj, a prócz tego na wszystkie uniwersytety i inne zakłady naukowe w Rosji⁴.

Trudno się zgodzić w całej rozciągłości z autorem tych słów, gdyż jak wiadomo opozycyjne kółka studentów wileńskich zostały rozbite przez carską policję w pierwszej połowie lat dwudziestych XIX w., a powstanie wybuchło w 1830 r. Można mieć także wątpliwości do roli Kijowa w ruchu studenckim. Student kijowski Tomasz Burzyński wspominał, że

w roku 1858 młodzież w Uniwersytecie Kijowskim i innych uorganizowała się w gminy, na podstawie pochodzenia z pewnych prowincji [...] Wskutek ustanowienia organizacji wywiązała się jedność kierunku całego ruchu młodzieży według określonego programu.

Równolatek Dybowskiego Ignacy Baranowski, studiujący w Dorpacie medycynę od 1851 r. pisał, że zarówno w jego jak i kolegów opinii, w „Atenach północnych” – jak nazywano tamtejszy uniwersytet – panowała większa swoboda. Stwierdzał, że młodzież z Korony była biedniejsza, ale bardziej demokratyczna i tolerancyjna. Przypuszczał, że polscy studenci w Petersburgu, Moskwie i Kijowie byli bardziej podatni na wpływy polityczne i „roboty sekretne”. Przebudzeniem z tego swoistego „letargu” był rok 1858. Wyrazem jedności działania polskich studentów z uniwersytetów rosyjskich był m.in. zjazd ich przedstawicieli w Warszawie w lutym 1861 r. Obydwaj pamiętnikarze wymieniają jako przedstawicieli z Uniwersytetu Petersburskiego Seweryna Markiewicza i Adolfa Pawińskiego, który jednak w roku 1862 przeniósł się do Dorpatu. Burzyński podkreślił, że to właśnie Markiewicz ułatwił nawiązanie kontaktów środowiska kijowskiego z moskiewskim, petersburskim i dorpackim⁵.

W sprawie udziału B. Dybowskiego w demonstracji wileńskiej, która stała się powodem jego pierwszego aresztowania, trzeba stwierdzić, że w sytuacji

³ G. Brzęk, *Benedykt Dybowski. Życie i dzieło*, Wrocław 1994, s. 41-42.

⁴ A. Giller, *Historia powstania narodu polskiego w 1861-1864 r. przez...*, t. I, Paryż 1867, s. 149.

⁵ T. Burzyński, *Wspomnienia z czasów młodości*, [w:] *Wydawnictwo materiałów do historii powstania 1863-1864*, t. IV, Lwów 1894, s. 9, 136-137; I. Baranowski, *Pamiętniki Ignacego Baranowskiego (1840-1862)*, Poznań 1923, s. 77, 83, 87, 89, 117, 235.

1861 r. była to raczej norma a nie przejaw jakiejś nadzwyczaj patriotycznej postawy. Studenci z uniwersytetów rosyjskich jechali do swych rodzinnych stron, i tam o ile demonstracje miały miejsce brali w nich udział. Jeżeli chcielibyśmy mierzyć aktywność polityczną studentów w liczbach, to czołowe miejsce przypadnie studentom petersburskim. Gdyż to w tamtejszym uniwersytecie doszło jesienią 1861 r. do najbardziej burzliwych demonstracji, w wyniku czego władze zawiesiły nawet zajęcia na dwa lata. Początek antypaństwowych wystąpień pokrywał się w czasie z patriotycznymi nabożeństwami w Warszawie. Polscy studenci stołecznego uniwersytetu, na 1 marca 1861 r. zamówili mszę żałobną w kościele św. Katarzyny. Oficjalnie podano, że msza jest za duszę zmarłego niedawno studenta Tukałło, ale dla nikogo nie było tajemnicą, że wiązało się to z krwawym stłumieniem demonstracji w Warszawie, tak zresztą odczytały to władze. Podobne nabożeństwa odprawiano zarówno w Warszawie jak i Wilnie. Dla nas interesująca jest informacja ówczesnego generała gubernatora wileńskiego Władimira Nazimowa, przesłana 9 maja 1861 r. do ministra oświaty Jewfima Putiatina, który z kolei poinformował o niej szefa żandarmów Wasilija Dołgorukowa.

W wileńskim kościele katedralnym, w czasie uroczystości ku czci św. Stanisława, w obecności biskupa wileńskiego Adama Stanisława Krasieńskiego, doszło do zakłócenia nabożeństwa i odśpiewania „hymnu politycznego”. Policja nie mogła interweniować, gdyż w katedrze było około 2 tys. wiernych, a hymn śpiewało około 30 osób. Szczególną uwagę policji zwrócili na siebie studenci: Wiktor Paszkowski z Uniwersytetu Petersburskiego, hr. Kazimierz Tyszkiewicz, Ksawery Korewo i Aleksander Zelwerowicz z Uniwersytetu Moskiewskiego oraz były student Uniwersytetu Dorpackiego Bolesław Limanowski i doktor Benedykt Dybowski. Jan Trynkowski uzupełnił tę informację o jeszcze dwa nazwiska dorpatczyków: Stanisława Orzeszko i Waleriana Reicha. Wszyscy zostali aresztowani i osadzeni w 14 bloku cytadeli wileńskiej dla przeprowadzenia śledztwa. Z wyjaśnień ministra oświaty wynikało, że rozpowszechnioną praktyką były prośby studentów o urlopy do stron rodzinnych. Dopiero gdy władze zorientowały się jaki był powód tych wyjazdów, 18 kwietnia zaleciły władzom uniwersyteckim ich ograniczenie. We wrześniu 1861 r. generał-gubernator wileński poinformował ówczesnego ministra oświaty, że student Uniwersytetu Petersburskiego Bolesław Gawroński, w czasie nabożeństwa na rozpoczęcie roku szkolnego dla gimnazjalistów w katedrze św. Jana, próbował nakłonić młodzież do śpiewania „podburzających hymnów”. Został aresztowany i osadzony w cytadeli, a następnie pod konwojem żandarmów odesłany do Petersburga. Na podstawie decyzji ministra oświaty z 4 października, został skreślony z listy studentów i wydalony z „wilczym biletem”. Patriotyczne nabożeństwa odprawiano także w mniejszych ośrodkach, przykładem może być kościół białnicki (sic.) w powiecie mohylewskim. Gubernator mohylewski 25 września 1861 r. powiadomił kuratora petersburskiego okręgu szkolnego, że student petersburski Parafianowicz, w dniach od 8 do 11 września inicjował śpiewanie „hymnów politycznych”⁶. Najprostszym pretekstem

⁶ RGIAL, zesp. 733, inw. 27, vol. 244, k. 1-7; vol. 245, k.1-7; inw. 88, vol. 266, k. 1-7; GIALO, zesp.139, inw.1, vol 6048, k. 72-73, 80. Według raportu policji hymny śpiewała grupa około 30 osób, organista próbował to zagłuszyć, ale się nie udało. Wię-

do legalnego wyjazdu z uniwersytetu mogła być choroba lub brak środków na utrzymanie. Często praktyką młodzieży było przedłużanie pobytu za pośrednictwem władz lokalnych.

Bolesław Limanowski wspominając demonstrację wileńską z maja 1861 r., odniósł się krytycznie do wspomnień Dybowskiego i zarzucił mu szereg nieścisłości. Przede wszystkim wyraził żal, że ten przypisał inicjatywę zjazdu studenckiego w Wilnie Adolfowi Pawińskiemu, studentowi Wydziału Filologiczno-Historycznego z Petersburga, który przyjechał do Dorpatu a nie jemu. Grupa młodzieży studenckiej, która miała odśpiewać „Boże coś Polskę” liczyła około trzydziestu osób i taka właśnie liczba była podana w raporcie policji. Były to osoby z czterech ośrodków akademickich: Moskwy, Kijowa, Petersburga i Dorpatu. Z tego ostatniego byli: Limanowski, Dybowski, Orzeszko, wątpi czy brał w naradach udział Jakub Gieysztor. Do ścisłego komitetu organizacyjnego wszedł Limanowski, jego brat Józef i Dybowski. Demonstracja miała miejsce 8(20) maja, do gry na organach przygotował się Adolf Hryniewiecki, a nie Aleksander Zelwerowicz jak twierdził Dybowski. Limanowski nie był pewny, czy o demonstracji wiedział biskup Krasieński, ale proboszcz był o niej na pewno powiadomiony. W przeddzień nabożeństwa policja była w domu Müllera, gdzie się zatrzymali studenci dorpatcy, a więc władze już coś o tym prawdopodobnie wiedziały. Osoby wtajemniczone ustaliły wcześniej, jak mają się tłumaczyć po ewentualnym aresztowaniu:

umówiliśmy się ze sobą, że w razie uwięzienia nie będziemy się zapierać, żeśmy śpiewali, lecz stanowczo przeczyć będziemy, ażeby była jakaś zмова w tej sprawie.

W czasie nabożeństwa w katedrze był szef żandarmów wileńskich komisarz Adamowicz. Organista z obawy przed aresztowaniem, nie chciał dopuścić do organów Hryniewieckiego. Dopiero zdecydowana postawa brata Limanowskiego Lucjana, zmusił go do ustąpienia miejsca. Podniesienie było momentem kulminacyjnym demonstracji, właśnie wtedy zaśpiewano hymn, a „nasze wystąpienie było niespodzianką niemal dla wszystkich [...] widoczne było zaleknienie, zdumienie, rozrzewnienie”. Obydwaj – Limanowski i Dybowski – zostali aresztowani zaraz po mszy na ulicy, a w cytadeli przesłuchiwał ich policmajster Wasiljew⁷.

cej szczegółów o nabożeństwie wileńskim zob. Jan Trynkowski, *Bolesław Limanowski (1835 - 1935) - korporant - zesłaniec – socjalista*, [w:] *Polacy w guberni archangielskiej w XIX i XX wieku*, red. A. Kuczyński, Wrocław 2012, s. 79-88. Znane jest nazwisko Witolda Parafianowicz i to chyba o niego tu chodziło, który powiązany był z polską organizacją rewolucyjną w Petersburgu, znał J. Ohryzkę, w mińskiej organizacji powstańczej był komisarzem, a po aresztowaniu Nikołaj Gogiel w wileńskiej komisji śledczej wymusił na nim „szczere zeznania”, W. R. Lejkina-Swirskaja, W.S. Szidłowska, *Polskaja wojennaja Riewolucionnaja Organizacija w Pietierburgie (1858-1864 gg)*, [w:] *Russko-polskije riewolucionnyje swiazi 60-ch godow i wosstanie 1863 goda. Sbornik staniej i matieriatow*, red. W. A. Dżakow, W. D. Koroljuk, I. S. Miller, Moskwa 1962, s. 12, 14, 48. Imienne spisy studentów opuszczających uniwersytety ażeby wziąć udział w demonstracjach a później w postaniu zob. RGIAL, zesp. 733, inw. 88, vol. 267; inw. 47, vol. 85; GIALO, zesp. 14, inw. 25, vol. 17.

⁷ B. Limanowski, *Pamiętniki (1835-1870)*, Warszawa 1937, s. 253-259.

GABRIEL BRZEK
BENEDYKT
DYBOWSKI
Życie i dzieło



Okładka książki wydanej w serii „Biblioteka Zesłańca”
Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego, Wrocław 1994

Problematycznym zagadnieniem są też nastroje studentów Szkoły Głównej. Wydaje się, że Gabriel Brzęk utożsamiał nastroje studentów z działającej od jesieni 1857 r. Akademii Medyko-Chirurgicznej, z organizującym się dopiero jesienią 1862 r. środowiskiem młodzieży Szkoły Głównej. We wrześniu rozpoczęły się zapisy, a w październiku przeprowadzone zostały egzaminy wstępne. Był to więc czas, kiedy nastroje społeczeństwa były już na najwyższym poziomie patriotyzmu i decyzja o wybuchu powstania prawie przesądzona. Społeczność studencka nowootwartej uczelni musiała to czuć i zdawać sobie sprawę z tego, w jakim kierunku zmierza konspiracja. Jednak jak słusznie zauważył Stefan Kieniewicz, badający ten problem źródłowo, nie wiadomo ani jakie dokładnie były nastroje studentów, ani ku któremu ugrupowaniu skłaniała się większość. Członkowie działającego od października 1862 r. Komitetu Akademickiego, byli zwolennikami Ludwika Mierosławskiego. W ocenie Zdzisława Janczewskiego, sympatie Komitetu kierowały się w stronę „białych”. Mamy tu więc wyraźną sprzeczność, bo trudno sobie wyobrazić i pogodzić sympatie do „białych” z orientacją na Mierosławskiego. Istotne jest więc stwierdzenie S. Kieniewicza, że

istnieją dwie rozbieżne hipotezy co do motywów zapisywania się do Szkoły Głównej. Jedna, że szli do niej ci, którzy odrzucali myśl o konspiracji i powstaniu; druga – że zapisywano się w nadziei uniknięcia branki.

W styczniu 1863 r. odbyły się na uczelni dwa wiece, ale trudno ocenić, czy skłoniły one studentów do liczniejszego udziału w powstaniu. Podobno namiestnik Fiodor Berg, w końcu 1863 r. chciał zamknąć Szkołę Główną, ale stanowczy sprzeciw rektora Józefa Mianowskiego i niezdecydowanie Aleksandra II, zapobiegły zrealizowaniu tego projektu⁸. Nic nie pisze o masowym pójściu do powstania warszawskich studentów Agaton Giller, działacz niepodległościowej konspiracji, dobrze znający ówczesne warszawskie klimaty. Można przypuszczać, że gdyby udział studentów w powstaniu był znaczący i niepokojący, władze nie zawahałyby się zamknąć uczelnię, podobnie jak zrobiono to jesienią 1861 r. w stolicy.

Brak wyraźnego „patriotycznego podniecenia” w warszawskim środowisku akademickim, nie oznaczał izolacji od działań niepodległościowych i konspiracyjnych. Potwierdzeniem tego była postawa Dybowskiego, który z racji swej działalności konspiracyjnej liczył się z możliwością aresztowania i represji. Jak sam pisze, przygotował sobie nawet jako lekturę do więzienia, pracę zoologiczną Van der Hoewena. Przewidywania naszego bohatera sprawdziły się w lutym 1864 r., a po kilkumiesięcznym pobycie na Pawiaku i w X Pawilonie 10 sierpnia 1864 r. rozpoczął podróż na Syberię. W odróżnieniu od innych czynnych uczestników powstania styczniowego, w pamiętniku Dybowskiego nie znajdziemy szerszego opisu jego działań konspiracyjnych. Niemniej jednak mamy tam zwięzłą ocenę ówczesnej sytuacji:

Jeżeli powstanie, które wybuchło przedwcześnie, zastało Królestwo Polskie nieprzygotowane, to tym mniej do niego była przygotowana cała Litwa, pomimo

⁸ *Dzieje Uniwersytetu Warszawskiego 1807-1915*, red. S. Kieniewicz, Warszawa 1981, s. 336-346.

że już w roku 1860 powstała organizacja narodowa na Litwie, zawiązana i utrzymywana w wielkiej tajemnicy.

Wyciągnął z tego całkowicie słuszny wniosek, że „nakaz tedy insurekcyjny w roku 1863, był przedwczesny pod każdym względem”, ale tu podał ciekawe uzasadnienie tego: „bo tylko w ten sposób miała się jakoby uzyskać interwencja zagraniczna, a dla niej warto było nie szczędzić ofiar”⁹. Warto podkreślić, że cały odrębny rozdział poświęcił Dybowski udziałowi kobiet w powstaniu na Litwie, w którym podał kilkadziesiąt nazwisk aktywnych uczestniczek, które w czasie powstania opiekowały się rannymi oraz udzielały różnorodnej pomocy idącym na zesłanie. Twierdził nawet, że w oczach Rosjan udział kobiet był na tyle istotny, iż mówiono, „że całe powstanie wywołały niewiasty polskie”¹⁰. Oczywiście to ostatnie stwierdzenie było dużą przesadą, ale tak liczny udział kobiet w ruchu narodowym był przejawem ich emancypacji i „nowych czasów”. W związku z powyższą oceną powstania warto dodać, że jest ona w dużej części zbieżna z poglądem na tę kwestię Agatona Gillera, różni ich jedynie podejście do problemu zagranicznej pomocy dla powstania.

Wśród 50 osób w wagonie, którym jechała partia Dybowskiego, był m.in. cytowany powyżej Tomasz Burzyński – prawnik z Uniwersytetu Kijowskiego, Stanisław Cygański – student Uniwersytetu Petersburskiego i co ciekawe – aż 6 kobiet, w tym jedna to żona zesłańca. Drogę z Warszawy przez Petersburg i Moskwę do Niżnego Nowgorodu odbyli koleją, a więc stosunkowo szybko i bez większych trudności. W grupie było aż trzech lekarzy z apteczkami: Jan Muklanowicz, Zygmunt Sumiński no i oczywiście Dybowski. Każdy więc kto zachorował, miał dobrą opiekę medyczną. W porównaniu do pieszej wędrówki powstańców listopadowych, była to pewnego rodzaju nowoczesność i nawet pod pewnymi względami wygoda. Wrażenia z obydwu stołecznych miast też nie były najgorsze, gdyż „z przyjazdem do stolicy poczuliśmy, że stosunku do nas nowego konwoju, żeśmy na terenie liberalnych rządów gen[erała] gubernatora Aleksandra Suworowa” i tam „komitet pań naszych stołecznych przyjmował nas herbatą, kawą i rozmaitymi gorącymi i zimnymi potrawami”. Dybowski dodał też, że i „w innych miastach Rosjanie pozwalali naszym niewiastom łączyć się w komitety dla niesienia pomocy zesłanym”. Mile przyjęto ich także w Moskwie chociaż przyznawał, że były przypadki złego stosunku po agitacji „istinno russkich” gazet. W czasie drogi obmyślano złośliwe nazwy dla poszczególnych miast, i tak Petersburg nazwano „pomojnaja jama” (dół na pomyje), Moskwa to „diehtiornaja parasza” (dosłownie to śmierdzący kibel, cuchnąca parasza – od dziegieć ros. *diegot*), a Moskale to „świntuchy”. Następnie do Tobolska i dalej aż do samego Irkucka, drogę pokonano kibitkami. Dybowskiego chciano wybrać na starostę partii, ale on ze względu na stan zdrowia odmówił przyjęcia tej funkcji¹¹.

Dla wszystkich więźniów idących na zesłanie po 1863 r., niezapomnianym momentem i miejscem był Tobolsk. Miasto, jak wyraził się Dybowski,

⁹ Dr B. Dybowski, *Wspomnienia z przeszłości półwiekowej napisał...*, Lwów 1913, s. 1.

¹⁰ Ibidem. Rozdział II, s. 35-50.

¹¹ B. Dybowski, *Pamiętnik dra Benedykta Dybowskiego od roku 1862 zacząwszy do roku 1878*, Lwów 1930, s. 8, 25-30.

było „oazą Polaków wśród pustyni moskiewskiej [...] znaleźliśmy się w otoczeniu polskim. Żadnego Mocha nawet na lekarstwo”. Oczywiście autor tych słów grubo przesadził, gdyż trudno byłoby sobie wyobrazić tak ważny ośrodek administracyjny i punkt przesyłowy zesłańców bez odpowiedniej do potrzeb armii rosyjskich urzędników. Dybowski dowiedział się w Tobolsku od Feliksa Zienkowicza o tzw. „śpiewakach” wileńskich, czyli działaczach powstańczych, którzy składali „szczerze” i obszernie zeznania w wileńskiej komisji śledczej. Byli to: Witold Parafianowicz, Albin Kohn, Antoni Jeleński, Oskar Awejde no i kolega uniwersytecki Dybowskiego, doradczyk Stanisław Orzeszko. Zienkowicz zapoznał Dybowskiego z

urządzeniami tutejszymi, powstałymi w celu kształcenia i chowania skazańców na ludzi pożytecznych w przyszłości dla naszej Ojczyzny. Ja mu wskazałem na konieczność wpływania na naszych ziomków, ażeby ślubowali abstynencję [...] Pobyt na Syberii miał być szkołą wychowania dla każdego.

O abstynencję absolutną i zaniechanie gry w karty, zaapelował Dybowski do tobolskich lekarzy-Polaków, „niestety na moją prośbę odpowiedzieli lekarze odmownie”. Motywowali to faktem, że alkohol w syberyjskim klimacie to konieczność, a karty to „środek kultury i podtrzymanie towarzystwa”. Polonia tobolska była dobrze zorganizowana, w mieście i w więzieniu działały różne warsztaty rzemieślnicze, wygłaszano pogadanki, prowadzono naukę czytania, powstała polska biblioteka. Dybowski podsumował to słowami:

urządzono się wzorowo pod opieką i zarządem gubernatora tobolskiego [Aleksandra] Despota Zenowicza, opatrnościowego dobroczyńcy dla więźniów¹².

O gubernatorze tobolskim praktycznie wszyscy zesłańcy pamiętnikarze wyrażali się pozytywnie, ale nie możemy zapominać, że był on wysokim rosyjskim urzędnikiem i musiał działać zgodnie z obowiązującymi przepisami. Trzeba też stanowczo stwierdzić, wbrew informacji Gabriela Brzęka, że A. Despot-Zenowicz nie był zesłańcem w takim znaczeniu jak polscy uczestnicy powstań i organizacji konspiracyjnych. Swoją postawą nadawał ton zachowaniu tobolskich urzędników, od jego dobrej woli wiele mogło zależeć i niekiedy nawet drobne uprzejmości były zauważalne i odbierane jako przejaw sympatii do Polaków¹³.

¹² Dr B. Dybowski, *Wspomnienia...*, s. 33-34, dokładniejsze dane biograficzne zamieścił Dybowski na s. 100-102. Aleksander Despot-Batoszyński Zenowicz w latach 1862-1865 był generałem gubernatorem tobolskim; zob. W. Śliwowska, *Zesłańcy polscy w Imperium Rosyjskim w pierwszej połowie XIX wieku. Słownik biograficzny*, Warszawa 1998, s. 130-131. O wcześniejszej działalności Zenowicza w Kichacie na Syberii zob. F. Nowiński, *Polacy na Syberii Wschodniej. Zesłańcy polityczni w okresie międzypowstaniowym*, Gdańsk 1995, s. 282.

¹³ G. Brzęk, op. cit., s. 74-75. Ciekawe materiały i dokumenty o rodowodzie Zenowiczów: Stanisław L. Ptaszycki, *Despota Zienowiczi w konce XVI i naczale XVII wiekow*, „Russkaja Starina”, 1878, nr 1-4, 7; „Russkaja Starina”, 1874, nr 7; „Russkaja Starina”, 1876, nr 1. Krótka biografia Zenowicza: J. Talko-Hryncewicz, *Aleksander Despota Zenowicz (ur. w r.1829 zm.1897)*, Lwów 1913, która ukazała się w pięćdziesiątą rocznicę wybuchu powstania styczniowego, a wstęp napisał Benedykt Dybowski. Standardowe biogramy zamieszczono m.in. w: *Encyklopediczeskij slowar*, izd. F. A. Brokgauz,

Chociaż grupa, w której był Dybowski należała do raczej zgranych, to jednak już pomiędzy Tobolskiem a Tomskiem partia podzieliła się na mniejsze grupy. Wewnętrzne relacje przedstawiały się według niego następująco:

August Kręcki jego przyjaciel i kolega Roman Frankowski należeli do grupy Realistów, albo Muszkietierów, tworzącej wspólne towarzystwo, trzymające się razem. Hr[abia] Roman Bniński podróżował z małżonką, z domu Sobańską, ona jechała wolno za mężem, miała przy sobie pannę służącą, towarzyszyli inni koledzy z wojska narodowego oddziału Rózyckiego jak, Jurek Czarnecki i inni, ci Polacy tworzyli grupę, trzymającą się wspólnie, w ogóle rozpadła się cała partia na grupy większe lub mniejsze.

Miłym gestem ze strony administracji rosyjskiej było to, że

kobiety wolno jadące nie stawały po etapach, ani w więzieniu po miastach, lecz najmowały sobie mieszkania, bądź w hotelach, bądź też w prywatnych domach.

W czasie drogi zdarzały się niekiedy zabawne lub wręcz pikantne historie. Podczas dniówki w Tarze, była możliwość skorzystania z łaźni, ale z powodu niesprawnych urządzeń wentylacyjnych wielu uległo zaccadzeniu. Przy okazji okazało się, że właściciel łaźni Żyd prowadził jeszcze dom publiczny, do którego zaprosił młodych zesłańców. Jednak jak się wkrótce okazało, „niektórzy z naszych, za tę uprzejmość handlarza żywym towarem, zapłacili mu zdrowiem swoim”, czyli jak łatwo można odgadnąć, zostali zarażeni chorobą weneryczną¹⁴. Z kolei w Tomsku rozchodziły się różne nierealne pogłoski, miłe jednak dla zesłańczego ucha. Jedna z nich mówiła, że następca tronu wkrótce umrze i będzie ogłoszona ogólna amnestia, wierzył w nią szczególnie Muklanowicz. Inna i całkiem realna mówiła „o separatystycznym towarzystwie syberyjskim mającym siłą oręża zmusić rząd do dania pełnej autonomii obu częściom Syberii”. Bez trudu można się domyślić, że chodziło o rozwijający się na Syberii ruch tzw. *oblastników*, których Dybowski najwyraźniej nie darzył sympatią, gdyż pisał: „Sybiracy malkontenci chcieli użyć tak licznie zsyłanych Polaków, do wywołania pewnego rodzaju powstania”. Gdy jeden ze spiskowców zdradził władzom plany, główną winę zrzucano na Polaków. Jedyne Nikołaj Szczukin przyznał się do spisku i zesłano go za to do Archangielska. Podobno jeden z wygłoszonych tam odczytów, miał on zakończyć hasłem: „*Da zdrawstwujut Sibirskije Sojedinionnyje Szaty*” (niech żyją syberyjskie Stany Zjednoczone)¹⁵.

Szczukin i grono skupionej wokół niego młodej inteligencji syberyjskiej, dążyło do uzyskania na początek dla Syberii przynajmniej szerokiej autonomii. Dalszym celem było uniezależnienie się Syberii od Rosji i trudno posądzać

I. A. Jefron, t. X a, S.-Pietierburg 1893, s. 486; *Wielka encyklopedia powszechna ilustrowana*, t.XV, Warszawa 1895, s. 436-437; S. Orgelbrand, *Encyklopedia powszechna z ilustracjami i mapami*, t.III, Warszawa 1898, s. 327. W tej ostatniej encyklopedii informacja o pozostawionych cennych pamiętnikach. Bałamutna informacja w anonimowej broszurze, że w 1851 r. Zenowicz był już naczelnikiem Kiachty: S. A., *Aleksander Despot Zenowicz b. gubernator tobolski*, Lwów 1893.

¹⁴ B. Dybowski, *Pamiętnik...*, s. 43.

¹⁵ *Ibidem*, s. 45.

ich o malkontenctwo. Separatystycznemu ruchowi Sybiraków sprzyjali nieoficjalnie wysoko postawieni przedstawiciele lokalnej administracji syberyjskiej. Mający opinię liberała i pełniący na początku lat sześćdziesiątych XIX w. obowiązki generała-gubernatora Syberii Wschodniej Michaił Korsakow spowodował, że będący na zesłaniu w Irkucku chory prof. Atanazy Szczapow, nie został oskarżony o kontakty z syberyjskimi *oblastnikami*. Bliski współpracownik i przyjaciel Korsakowa W. Rykaczew, będący wtedy sztab-oficerem żandarmerii w Omsku uważał, że Szczapow nie jest już groźnym dla władz przestępcą. Kierujący pracami omskiej komisji śledczej Rykaczew, starał się zawęzić zasięg oddziaływania tego ruchu do Syberii Zachodniej, co było na rękę Korsakowowi. Szczapow miał także pozytywną opinię księcia Piotra Kropotkina, z racji wspólnej pracy naukowej w Syberyjskim Oddziale Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego. Ciekawym jest także fakt, co zanalizował Anatolij Riemniew, że przełom lat siedemdziesiątych-osiemdziesiątych to okres dobrej współpracy generała-gubernatora Syberii Zachodniej Nikołaja Kaznakowa z syberyjskimi *oblastnikami*, a szczególnie z ideologiem tego ruchu Nikołajem Jadrincewem¹⁶.

Droga z Tomśka do Krasnojarska była o połowę krótsza od tej z Tobolska do Tomśka. Z tego odcinka wędrówki Dybowski zapamiętał miasteczko Mariinsk (Maryńsk), które wyróżniało się znaczącą ilością mieszkających tam Żydów. Wspominał o przeprawie przez Jenisej, będący umowną granicą pomiędzy Syberią Zachodnią i Wschodnią. Innym ważnym i odnotowanym przez Dybowskiego z tego okresu wydarzeniem, była nieudana próba ucieczki Albina Kohna i związanej z nim grupy współwygnańców. Uciekli z więzienia w Kańsku pod Krasnojarskiem, myśleli że w tych okolicach zamieszkują Kirgizi, na których życzliwość jak im się wydawało można było liczyć. Po kilku dniach błakania się wrócili sami do więzienia, gdyż na Kirgizów się nie natknęli i nie wiedzieli co dalej robić. Dybowski pisze o naiwności Kohna w planowaniu ucieczki, który pomylił Kirgizów z Buriatami. Jeżeli jednak weźmiemy pod uwagę fakt, że rzadko który z ówczesnych zesłańców dysponował szczegółowymi informacjami o miejscach zamieszkania ludów syberyjskich, to taką pomyłkę można mu wybaczyć. W późniejszym okresie Kohn był podobno w dobrych stosunkach z bogatymi Żydami syberyjskimi i nieźle się mu powodziło, ale to z kolei wiązało się z jego żydowskim pochodzeniem chociaż wiadomo, że już jego ojciec przeszedł na katolicyzm. Długa droga traktem syberyjskim, sprzyjała rozmowom o przeszłości, w czasie których ujawniały się sprawy wcześniej nieznane. Dybowski dowiedział się m.in., że Kohn wydał władzom rosyjskim w czasie „śpiewania” w Wilnie, wymienianego już wcześniej kolegę Dybowskiego z Dorpatu Stanisława Orzeszkę. Obydwaj w czasie powstania byli w policji narodowej, ale Kohn przed wileńską komisją śledczą wydał wszystkich kogo tylko znał¹⁷.

¹⁶ N.P. Matchanowa, *Gienierał-gubiernatory Wostocznoj Sibiri sieriediny XIX wieku*. W.J. Rupiart, N.N. Murawiew-Amurskij, M.S. Korsakow, Nowosibirsk 1998, s. 328, 336. Więcej na temat tego ruchu zob. F. Nowiński, *Czy „oblastnicy” syberyjscy byli liberałami?*, [w:] *Liberalizm w Europie*, red. E. Wiśniewski, Łódź 2008, s. 51-71. Polityka władz petersburskich wobec Syberii zob.: A. W. Riemniew, *Samodzierzawije i Sibir*. *Administratiwnaja politika wtoroj połowiny XIX – naczala XX wiekow*, Omsk 1997, rozdział I-III.

¹⁷ B. Dybowski, *Pamiętnik...*, s. 40-41, 46, 50. Wzmianka o ucieczce Kohna, Józefa Szlenkiera i spisku krasnojarsko-kańskim zob. W. Śliwowska, *Ucieczki z Sybiru*,

Autor biografii B. Dybowskiego Gabriel Brzęk zbyt dosłownie przyjął informację o śpiewaniu i zinterpretował ją, że Orzeszko i Dybowski byli „uczestnikami »śpiewanej uroczystości wileńskiej«, za którą wspólnie byli sądzeni”. Stwierdzenie to wymaga sprostowania, gdyż w zesłańczej terminologii „śpiewakiem” nazywano osobę, która „sypała” znanych jej uczestników powstania w czasie śledztwa przed komisją śledczą, a nie uczestników śpiewów patriotycznych w kościołach. Dla Dybowskiego informacje o działalności wileńskiej komisji śledczej były mało znane, ale przykładowo Jakub Gieysztor przesłuchiwany w Wilnie dobrze wiedział jak zachowywali się poszczególni aresztanci. O zachowaniu się przed komisją Kohna wspominał w związku z przesłuchiwaniami Mieczysława Dormanowskiego, który „musiał tłumaczyć się ze stosunków, o których inni, jak Orzeszko, Albin Kohn, Langner, Stejnman (Stejman, Szejman), wszystko, co wiedzieli, wygadali”. Szczere zeznania, pisał dalej Gieysztor, nie uchroniły ich przed karą: „Orzeszko, Kohn, choć nikczemnie wydawali, obaj do robót iść musieli”. Ludzie słabi psychicznie znaleźli się wszędzie,

kilku z wygnańców z Warszawy i nasi też krańcowi dali Murawiewowi liczny poczet ofiar. Orzeszko, Kohn, wezwani przez [Władysława] Małachowskiego, [Franciszka] Konoplański, wybrani przez [Konstantego] Kalinowskiego, Langner, Stejnman, warszawiacy, to pierwszy zastęp ludzi, z których jeden może Konoplański był tylko słaby. Wyszła na jaw tak zwana wileńska organizacja”.

Wacław Lasocki, może dlatego że słabo znał sytuację na Litwie, postawę Kohna skwitował lakonicznie i krótko: „zarzucono mu nie dość powściągliwości w zeznaniach”¹⁸.

Prawie siedmioletni pobyt na Syberii, miał dla Albina Kohna swoje złe i dobre strony. Do tych ostatnich trzeba zaliczyć gruntowne zapoznanie się z warunkami klimatycznymi, przyrodą i ludnością syberyjską, co jak podkreślił Dybowski, zaowocowało wydaniem później na ten temat dwutomowego opracowania w języku niemieckim¹⁹.

Warszawa 2005, s. 363; biogram Kohna: tamże, *Syberia w życiu i pamięci Gieysztorów – zesłańców postyczniowych. Wilno-Sybir-Wiatka-Warszawa*, Warszawa 2000, s. 226-227.

¹⁸ J. Gieysztor, *Pamiętniki Jakuba Gieysztor z lat 1857-1865*, przedmowa i przyp. Tadeusza Korzona, t.II, Wilno 1913, s.120, 122, 126; W. Lasocki, *Wspomnienia z mojego życia*, przyg. do druku Michał Janik i Feliks Kopera, t.II Na Syberii, Kraków 1934, s. 333; G. Brzęk, op. cit., s.74-75.

¹⁹ Pierwszy kontakt A. Kohna z polskim ruchem niepodległościowym przypadł na rok 1848. Po upadku powstania wielkopolskiego przeniósł się do Królestwa. W latach 1851-1854 odbył studia rolnicze w Marymoncie, a w 1862 r. udał się na Litwę, ażeby wziąć udział w przygotowywanym właśnie kolejnym powstaniu. Aresztowany w 1863 r. w Wilnie, początkowo skazany został na karę śmierci, zamienioną po confirmacji na 12 lat katorgi. W 1870 r. powrócił w Poznańskie do żony i dwójki dzieci. Kohn dużo publikował w czasopismach rolniczych, zarówno przed powstaniem jak i po powrocie z Syberii, w języku polskim i niemieckim. Dybowskiemu chodziło prawdopodobnie o pracę A. Kohna wydaną wspólnie z C. Mehlisem w 1879 r. w Jenie *Materialien Zur Vorgeschichte Des Menschen Im Östlichen Europa, Nach Polnischen Und Russischen* (Materiały na temat prehistorii człowieka w Europie Wschodniej, na podstawie źródeł polskich i rosyjskich). Owocem pobytu na Syberia była też monografia zatytułowana *Sibirien Und Das Amurgebiet: Geschichte Und Reisen, Landscha-*

Odległość z Krasnojarska do Irkucka jest prawie taka jak z Tobolska do Tomska, a dwa razy dłuższa jak z Tomska do Krasnojarska. Pociuszającym dla zesłańców mógł być tylko fakt, że był to już ostatni odcinek traktu przed Irkuckiem. W partii od Krasnojarska pojawili się nowi więźniowie i jak się okazało, bardziej praktycznie nastawieni do zesłańczego życia. Jednym z nich był Żmudzin Pietraszewski, który miał talent do handlu i jako „pierwszy w naszej partii urządził herbaciarnię i na stacjach sprzedawał herbatę szklankami, tudzież zakąski zimne, a nawet gorące”. Dał on przykład innym i w ten sposób powstała grupa „wyzyskiwaczy, mających głównie na celu swój własny egoizm”. Dziwić może tylko przypisywanie przez Dybowskiego Żmudzinom, jakiegoś prawie że wrodzonego talentu do handlu. Innym był Głębocki, który wcześniej był cukiernikiem, ale na Syberii zasłynął jako producent wysmienitej wędliny tzw. litewskiej²⁰. W jednej z wiosek pomiędzy Kańskiem a Irkuckiem, miejscowy Żyd zaproponował niespodziewanie Dybowskiemu sprzedaż prawie nowego wilczego futra, takiego jakie zwykle noszą w Rosji popi. Cena 10 rubli była bardzo niska, więc doktor kupił futro dla Mariana Dubieckiego, który nie miał ciepłego ubrania, a robiło się już bardzo zimno²¹. Na ostatniej stacji przed Irkuckiem Dybowski usłyszał opowiadanie o tajemniczym Bajkale jako świętym morzu i wypływającej z niego Angarze.

Jakieś niewypowiedziane uczucie głębokiego interesu powzięłem do tej rzeki, a szczególnie do jeziora, jego morska świętość pobudziła wyobraźnię moją do marzeń, w kierunku zbadania tajemniczości rzeki i jeziora²².

Był początek grudnia 1864 r., gdy partia naszego przyszłego badacza Bajkału dotarła do stolicy Syberii Wschodniej.

W Irkucku zesłańcy z partii Dybowskiego znów mieli szczęście, gdyż po krótkim pobycie w „standardowym” więzieniu, umieszczono ich w „kazionnoy pałacie”, czyli budynku dawnej Irkuckiej Izby Obrachunkowej i tam czekali już na wyznaczenie miejsca odbywania kary. Rezydujący w mieście od 1861 r. wielkorządca Syberii Wschodniej Michaił Korsakow, zaliczany jest do tzw. „ludzi Murawiowa”. Generał-gubernator Nikołaj Murawjow był chyba najbardziej zdolnym, zasłużonym i ambitnym administratorem wschodniej Syberii. Miarą jego zasług było nadanie mu do tytułu hrabiowskiego przydomku „Amurski”, a ambicji przypuszczenie, że dążył do przekształcenia zajmowanego

ften Und Völker Zwischen Ural Und Beringstrasse (Syberia i tereny nadamurskie: historia i podróże, krainy i narody między Uralem i Cieśniną Beringa) wydana wspólnie z R. André w 1876 r. w Lipsku. Kohn utrzymywał kontakt z Akademią Umiejętności w Krakowie, był członkiem Towarzystwa Archeologicznego w Moskwie, Museum für Völkerkunde w Lipsku i Muzeum Prehistorycznego i Etnograficznego w Rzymie. Stanisław Czarniecki, *Albin Kohn*, [w:] *Polski słownik biograficzny*, t. XIII, Kraków 1967-1968, s. 263-264.

²⁰ B. Dybowski, *Pamiętnik...*, s. 51-52.

²¹ Ibidem, s. 54

²² Ibidem, 56. Tajemniczość Bajkału podkreśla fakt, że wpadają do niego tylko 3 duże rzeki: Angara Górna na północy, Barguzin i Sielenga na południu, od wschodu około 300 małych dopływów, a wypływa tylko jedna Angara Dolna z „kamieniem szamańskim na środku”; tamże, s. 67.

stanowiska w namiestnictwo. Do grona jego najbliższych współpracowników obok Korsakowa zalicza się m.in.: Piotra Kazakiewicza, Julija Sztubiendorfa i Wasilija Padalkę. Korsakow nie był może tak zdolnym politykiem jak jego poprzednik, ale niewątpliwie miał ambicję być dobrym administratorem. Do objęcia tego stanowiska przygotowywał się od 1856 r., pełniąc funkcję gubernatora obwodu zabajkalskiego. Dążył do tego, ażeby podobnie jak on sam, znaczące stanowiska w administracji zajmowali ludzie znający specyfikę regionu. W jednym z listów do Nikołaja Ignatiewa pisał, że kandydaci na syberyjskich gubernatorów powinni przejść specjalny egzamin:

egzamin jest rzeczą bardzo dobrą, byłoby dobrze gdyby na gubernatorów w Syberii Wschodniej wyznaczano osoby nie inaczej jak po zdaniu przez nich egzaminu przed generałem-gubernatorem Syberii Wschodniej.

Kiedy obejmował to stanowisko, była to przecież w Rosji epoka reform i Korsakow w pełni dostosował się do tej atmosfery politycznej. Polscy zesłańcy najczęściej stykali się z nim i dwoma najważniejszymi gubernatorami: irkuckim Konstantinem Szelasznikowem i zabajkalskim atamanem Nikołajem Diettmarem. Obydwaj byli dobrze znani swemu przełożonemu, mianowania otrzymali w 1864 r., a wywodzili się z elitarnego Siemianowskiego Pułku Gwardii²³. W dużym stopniu właśnie od tych ludzi zależały losy wielu naszych zesłańców i Dybowskiego też.

Według opinii nowoprzybytych zesłańców, zaczerpniętych prawdopodobnie od poprzedników, najbardziej znośne warunki były w Usolu i Piotrowsku, tam też zgłaszało się najwięcej chętnych do odbycia kary. Dybowski wybrał jednak Zabajkale i to nieprzypadkowo. Jeszcze w 1853 r. w Dorpacie, zainteresował go tym regionem jego kolega uniwersytecki Grzegorz Gerstfeldt. Przygotowywał on pracę magisterską na temat przyrody zabajkalskiej, a później planował wraz ze swym przyjacielem Ryszardem Maackiem, udać się w ekspedycję naukową po Syberii i nad Bajkał. Przymusowy pobyt w Irkucku, Dybowski postanowił wykorzystać na przygotowanie się do przyszłych badań naukowych. Do władz więziennych zwrócił się z prośbą, o umożliwienie mu widzenia się ze znanym już wtedy i cenionym uczonym Richardem Maackiem, będącym dyrektorem Syberyjskiego Oddziału Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego. Odpowiedź była pozytywna, napisał więc list do Maacka, w którym powołał się na znanego obu kolegę uniwersyteckiego i prosił o spotkanie. Do spotkania dorpatczyków wkrótce doszło, a Maack pożyczył nawet Dybowskiemu już opublikowane prace Gerstfeldta i Gustawa Raddego, którzy prowadzili badania z ramienia Towarzystwa Geograficznego i Petersburskiej Akademii Nauk. Chociaż obydwaj przyrodnicy nie we wszystkim się zgadzali, nawiązany kontakt dla Dybowskiego okazał się bardzo ważny i pomocny. Maack sugerował polskiemu zesłańcowi, ażeby zajął się badaniem fauny Kraju Zabajkalskiego, nazywanego wtedy Daurią. Nie wiadomo czy znany irkucki przyrodnik miał wpływ na decyzję ekspedycji ds. zesłańców ale faktem jest, że Dybowskiego wysłano do Siwakowej nad Ingodą niedaleko Czyty. Pocieszającą dla naszego bohatera wiadomością było to, że w niedalekim Piotrowsku już

²³ N.P. Matchanowa, op. cit., s. 280-283.

byli jego znajomi: Wiktor Godlewski i Alfons Parvex. Liczył, że być może uda się ich ściągnąć do Siwakowej i razem będą prowadzili prace naukowe²⁴.

Zimowy pobyt zesłańców w Irkucku sprawił, że życie towarzyskie kwitło, zwłaszcza gdy w kolejnych partiach pojawiło się więcej rodzin. Wszyscy oczywiście oczekiwali gdzie zostaną skierowani do odbywania kary. Wiadomo dziś, że władze przyjęły zasadę kierowania do Usola przede wszystkim więźniów idących na zesłanie z żonami, a osoby samotne do pozostałych zakładów więziennych. Zesłańcze towarzystwo w Irkucku było bardzo zróżnicowane, o czym najlepiej świadczy otoczenie samego Dybowskiego. On indyferentny religijnie znalazł pokrewną duszę w osobie Feliksa Zienkowicza, ale wśród jego bliskich znajomych znajdziemy warszawskiego Żyda Henryka Wohla, protestanta Apollona Hofmestera, czy wreszcie sumiennie praktykującego katolika Józefa Kalinowskiego i kapucyna Wacława Nowakowskiego. O spotkaniu z Dybowskim pisał Józef Kalinowski w liście do rodziców datowanym na 8(20) marca²⁵. Dybowskiego jednak bardziej niż życie towarzyskie zajmowało opracowanie planu przyszłych badań. Otrzymane od Maacka książki pozwoliły mu zorientować się w dotychczasowym stanie badań i w oparciu o to nakreślić dla siebie kierunki działania. Nie omieszkał jednak opisać zabawnych perypetii, związanych z zachowaniem się jednego z zesłańców – Zygmunta Sumińskiego. Na prośbę jego matki, opiekował się nim w czasie drogi wspomniany już student kijowski. W Irkucku Sumiński

najął sobie chłopaka z Mazurów na kamerdynera, kazał mu słać pościel, ściągać buty, podawać szlafrok i odzież, służyć przy jedzeniu, słowem grał rolę »jasnego pana«. Chłopak dowcipny zaczął karykaturować swego pana, wynajął sobie także chłopaka²⁶.

Dla Dybowskiego był to przykład rzadkiej bezmyślnej próżności, zwłaszcza w tej konkretnej sytuacji, ale fakt pozostawał faktem.

Ze wspomnień Dybowskiego można odnieść wrażenie, że władze irkuckie nie przejawiały jakiegś szczególnej wrogości wobec polskich zesłańców. Trudno jest jednak jednoznacznie stwierdzić, czy był to efekt liberalnej

²⁴ B. Dybowski, *Pamiętnik...*, s. 64, 67; G. Brzęk, op. cit., s. 77. Szerzej o polskich badaniach flory i fauny dauryjskiej zob. F. Nowiński, *Administracja wschodniosyberyjska wobec badań naukowych polskich zesłańców*, [w:] *Polacy w nauce, gospodarce i administracji na Syberii w XIX i na początku XX wieku*, red. A. Kuczyński, Wrocław 2007, s. 611-613. Kim był Radde, trudno jednoznacznie odpowiedzieć. Gustav Ferdinand Richard Radde (1831-1903) urodził się w Gdańsku, ale badania naukowe prowadził na terenie Rosji. W 1852 r. opuścił na zawsze rodzinne miasto. Na Syberii znalazł się w 1857 r., a od 1864 r. zajął się Kaukazem. Dybowskiemu znana była praca Raddego *Reisen im Süden von Ost-Sibirien (1862-1864)*, przetłumaczona także rosyjski. Ułatwieniem w prowadzeniu prac naukowych było małżeństwo z córką znanego akademika Friedricha Brandta zawarte w 1863 r. W uznaniu zasług naukowych Radde otrzymał m.in. doktorat *honoris causa* Uniwersytetu Dorpackiego. Dla orientacji o pierwszym miejscu pobytu Dybowskiego na zesłaniu dodam, że Ingoda z Ononem łączą się w Szyłkę, a ta z kolei po połączeniu się z Argunią daje Amur.

²⁵ J. Kalinowski (O. Rafał od św. Józefa OCD), *Listy. Część I 1856-1872*, wyd. Czesław Gil OCD, Lublin 1978, s. 17, 159.

²⁶ B. Dybowski, *Pamiętnik...*, s. 65.

postawy lokalnej administracji – gubernatora i generała-gubernatora, czy niezdecydowania władz petersburskich. Choć Korsakow był dobrze przygotowany do wypełniania swojej roli, cieszył się nie najlepszymi notowaniami w kołach petersburskich. Irkucki wielkorządca miał w stolicy dwóch poważnych rywali do objęcia tego stanowiska: Aleksandra Potapowa i Jewfimija Putiatina. Trudno się zresztą temu dziwić, gdyż jego urzędowanie w Irkucku rozpoczęło się pod „złą gwiazdą”. Zbiegło się ono ze spektakularną ucieczką Michaiła Bakunina ze wschodniosyberyjskiego zesłania. Nasiliło to niezadowolenie w stolicy, a na dodatek władze centralne otrzymywały donosy o łagodnym traktowaniu zesłańców i niewłaściwym nad nimi nadzorze. Chodziło m.in. o złagodzenie reżimu zesłania wobec chorego Michaiła Michajłowa. Choć Korsakow nie sprawował bezpośredniego nadzoru nad tym więźniem, przebywającym wtedy na katordze nerczyńskiej, to jego obarczano odpowiedzialnością za te niedociągnięcia. Rzeczywisty i bezpośredni nadzór nad Michajłowem, miał ówczesny naczelnik nerczyńskich zakładów górniczych Oskar Diejchman. Pośrednią odpowiedzialnością można za to obarczyć także bliscy współpracownicy Korsakowa: Bolesława Kukiela, A. Dadieszkielijana i A. Malinowskiego. Władze centralne przez 3 lata zwlekały jednak z oficjalnym mianowaniem następcy Murawiowa-Amurskiego i właściwie w momencie przybycia pierwszej fali uczestników powstania styczniowego, Korsakow był jeszcze „pełniącym obowiązki”²⁷.

Napływ nowej fali zesłańców spowodował, że w sprawozdaniu za 1863 r. Korsakow zgłosił konieczność aktualizacji ustawodawstwa o zesłańcach z 1822 r. Wskazał także na konieczność uzupełnienia projektu murawiewowsko-milutinowskiego w tej kwestii z 1860 r. Chodziło mu o objęcie nowymi przepisami nie tylko katorżników ale także pozostałych kategorii zesłańców. Nadzór nad zesłańcami politycznymi zawsze był w zakresie obowiązków generała-gubernatora i zajęcie się tą kwestią nie może dziwić. Na przyjęcie tak dużej liczby zesłańców w 1863 r. władze wschodniosyberyjskie były nieprzygotowane ani organizacyjnie, ani finansowo, a potwierdziło to powstanie z 1866 r. Przede wszystkim nie zabezpieczono odpowiedniej ilości miejsc do odbywania katorgi, gdyż rozpoczął się właśnie proces prywatyzacji części zakładów skarbu państwa. Brakowało więzień katorżniczych na etapach i w miejscach odbywania kary. W kopalniach złota nie było warunków do skierowania tam katorżników, a na dodatek po przyłączeniu terenów nadamurskich, łatwiejsze były ucieczki chociażby do Chin. W związku z tym w listopadzie 1863 r. Korsakow zwrócił się do władz centralnych o powołanie, tak jak to było w 1826 r., specjalnej komendantury dla zakładów nerczyńskich. Od samego początku wyłoniły się jednak problemy związane z uprawnieniami komendanta, pozostające w sprzeczności z kompetencjami gubernatora i generała-gubernatora. Jednocześnie rozpoczęło się przekazywanie katorżników z resortu górniczego do władz cywilnych. Nowy komendant nie miał tych kompetencji, które miał Stanisław Leparski, gdyż podlegał wojennemu gubernatorowi Zabajkała i gene-

²⁷ N.P. Matchanowa, op. cit., s. 326-327. Efektem tych donosów było wysłanie w końcu 1866 r. przez szefa żandarmów P. Szuwałowa do Syberii Wschodniej fligel-adiutanta N. von Rozienbacha, do przeprowadzenia rewizji w resorcie wojskowym i zbadania sytuacji zesłańców. Nieprawidłowości nie wykryto, ale podejrzenia pozostały.

rałowi-gubernatorowi. W warzelniach soli i gorzelniach jenijskiej i irkuckiej guberni oraz w zakładach nerczyńskich i piotrowskiej hucie żelaza nie było wystarczającej ilości miejsc pracy dla katorżników. Dlatego znaczna liczba katorżników znalazła się w okolicy wsi Siwakowa, Czyty i na drodze wokół Bajkału²⁸.

Wiosną 1865 r., gdy Dybowski znalazł się w Siwakowej, spotkał tam znanego mu z konspiracji warszawskiej Gerwazego Gzowskiego, następnie dotarli tam Aleksander Czekanowski i dorpacki kolega Leon Dąbrowski, a wkrótce przeniesieni tu zostali z Piotrowska Wiktor Godlewski, Alfons Parvex, ks. Witold Giedroń i hr. Edward Czapski²⁹. Tamtejszych zesłańców zastał już przyzwoicie zagospodarowanych. Mieli „kuchnię, piekarnię, pralnię, infirmerię, szkółkę dla analfabetów, czytelnię, gdzie odbywają się odczyty”. Dybowski zdecydował się kupić gotową już „ziemiankę”, w której mógł zamieszkać. Zesłańcy mieli pracować przy budowie barż, wykonując przede wszystkim różne prace pomocnicze. W opinii Dybowskiego

życie nasze w więzieniu siwakowskim płynęło dla nas znośnie tak, jak w Usolu, pod Irkuckiem, gdyby nie waśnie partyjne, nie wichronośne mającenia niedowarzonych umysłów i gdyby nie wódka³⁰.

Można się więc łatwo domyślić, że nastroje Polaków nie były najlepsze i jak zawsze, zarysowały się poważne różnice zdań pomiędzy poszczególnymi grupami. Nawet wizyta generała-gubernatora Michaiła Korsakowa w Siwakowej, nie spełniła oczekiwań więźniów i narastała chęć buntu. Według Dybowskiego najbardziej skłonni do wywołania buntu byli zesłańcy z niższych warstw społecznych, a inteligencja była temu przeciwna. Jednym z burzycieli i jednocześnie donosicieli był Ludwik Żychliński, wyraźnie nie cieszący się sympatią doktora. O jego dwuznacznym roli burzyciela i buntownika na zesłaniu, Dybowski napisał stosunkowo dużo, ale wyraźnie się od niego dystansował, nie chciał utrzymywać z nim kontaktu i doprowadził do przeniesienia go z Siwakowej. Pozytywnie natomiast ocenił naczelnika więzienia w Siwakowej majora Iwana Zaborowskiego i starania starosty więźniów Zdzisława Mitkiewicza³¹. Wspomniał też o włoskich ochotnikach, którzy wzięli udział w powstaniu styczniowym i chociaż ich nie znał i nie spotkał, wymienił nawet kilka nazwisk:

²⁸ N. P. Matchanowa, s. 329-331. Zob. L. S. Kler, B. S. Szostakowicz, *Wtoroj komiendantskoje Uprawlenie na Nierczinskih zawodach*, [w:] *Ssylnyje riewolucionierzy w Sibiri (XIX w. – fiewral 1917 g.)*, wyp. 10, Irkutsk 1987, s. 101-122; L. S. Kler, *Organy uprawlenia Nierczinskoj katorgoj (sieriediny XIX w. – 1917 g.)*, [w:] *Ssylnyje riewolucionierzy w Sibiri*, wyp. 11, Irkutsk 1989, s. 139-157.

²⁹ B. Dybowski, *Pamiętnik...*, s. 92-93. G. Gzowskiego można zaliczyć do „zesłańczych recydywistów”. Pierwszy raz trafił na wschodniosyberyjską katorgę w 1844 r. za przynależność do tzw. Związku Narodu Polskiego. W 1959 r. wrócił do Królestwa i od razu znalazł się w kręgu konspiratorów skupionych wokół A. Gillera. W. Śliwowska, *Zesłańcy...*, s. 202-203; F. Nowiński, *Polacy...*, s. 110, 261, 363, 364.

³⁰ B. Dybowski, *Pamiętnik...*, s. 85.

³¹ *Ibidem*, s. 63 i passim, 94. Nie ulegają wątpliwości zasługi Żychlińskiego dla powstania, będącego dowódcą „Dzieci Warszawskich”. Reprezentował raczej doły społeczne a nie inteligencję i stąd zrozumiała niechęć obydwu zesłańców do siebie. W. Śliwowska, *Ucieczki z Sybiru*, Warszawa 2005, s. 287.

Emilo Andriolli, Ernesto Bondi-Borgia, Caroli Luigi z Bergamo, Guisepe Clarici z Como, Luigo Meoli z Bergamo, Carlo Richard, Agesilao Venancio z Bergamo³².

Pomimo nienajlepszego nastroju wśród więźniów, Dybowski nie opuszczał optymizmu, gdyż wszędzie spotykał albo dobrych znajomych, albo kolegów z Dorpatu, a w najgorszym wypadku życzliwych Polaków. Lekarzem wojskowym w Czycie był Onufry Dubiński, kolega z mińskiego gimnazjum, człowiek ze staroświeckimi zasadami, który nigdy nie zdecydował się zwracać do Dybowskiego po imieniu. Gubernatorem zabajkalskim był poprawnie a nawet życzliwie zachowujący się wobec Polaków ataman Nikołaj Diettmar, a jego adiutant Bronisław Sławiński okazał się być krewnym Dybowskiego. W rozmowie ze Sławińskim Dybowski wyraził chęć przeniesienia się do Darasunia wraz z kolegami: Aleksandrem Czekanowskim, Mikołajem Hartungiem, Wiktoorem Godlewskim i Alfonsem Parvex. Pomocna miała być w tych staraniach żona atamana Aleksandra Romanówna, rzeczniczka wykorzystania leczniczych wód darasuńskich³³. Prawdopodobnie dzięki jej życzliwości i poparciu zwolniono z Siwakowej Dybowskiego, Godlewskiego, Czekanowskiego oraz Parvexa i przeniesiono do Czyty. Wiele znaczącym był fakt, że nie osadzono ich w więzieniu lecz na odwachu, a żołnierzom kazano ich nazywać „uczonymi ludźmi”. W mieście miał możliwość nawiązania kontaktu z gronem miejscowych urzędników i wojskowych, wśród których byli także Polacy. Najprawdopodobniej w pod wpływem żony Diettmara, zainteresował się bliżej źródłami wód mineralnych i ich leczniczymi właściwościami. Dowiedział się, że darasuń po buriacku znaczy szczawa. Te koło Czyty były to szczawy żelaziste (polskie odpowiedniki w Krynicy) i szczawy słone czyli takie jak w polskiej Szczawnicy. Szczawy były także pod Nerczyńskiem w posiadłościach braci Dymitra i Michała Butinych. Darasuń, interesujący Dybowskiego, to Kaszyński, nazywany także Turyński³⁴. Od płk Marcelego Malinowskiego, komisarza rządowego i intendenta wojskowego na Zabajkale, dowiedział się o Józefie Wałęckim, bracie rodzonym Antoniego. Zorientował się, że jest on obecnie „człowiekiem bogatym, zajmuje się dostawą zboża, żyta, pszenicy, owsa, siana na złote kopalnie, dostarcza bydła na rzeź”. Malinowski radził nawiązać z nim kontakt, gdyż Wałęcki może dużo pomóc zesłańcom w sprawach gospodarczych i zna wielu wpływowych ludzi³⁵.

Zimowy pobyt z 1865 na 1866 rok w Czycie, pozwolił Dybowskiemu poznać także tamtejsze relacje towarzyskie i zwyczaje miejscowej elity.

³² B. Dybowski, *Pamiętnik...*, s. 113. Wrażenia włoskich zesłańców z Syberii opisał Emil Andreoli zob. wydanie jego pamiętników po rosyjsku: E. Andrieoli, *Iz Pol-szi w Sibir. Dniownik plennego 1863-1867*, opr. Aleksiej Gulin, Czita 2011. Z Panem Gulinem spotkałem się w Czycie prawdopodobnie w maju 1990 r., przekazał mi wtedy maszynopis swojej pracy dyplomowej właśnie o Włochach na zesłaniu zabajkalskim. Zob. także Karolina Firlej Bielańska, *Nulla i jego towarzysze*, Warszawa 1923.

³³ B. Dybowski, *Pamiętnik...*, s. 101-102.

³⁴ Ibidem, s. 119, 123.

³⁵ B. Dybowski, *Pamiętnik...*, s. 124. O braciach Wałęckich zob. W. Śliwowska, *Zesłańcy...*, s. 649-652; J. Trynkowski, A. Woltanowski, *Antoni Wałęcki (1815-1897), badacz Wschodniej Syberii i Bajkału*, „Kwartalnik Historii Nauki i Techniki”, 1990, nr 4, s. 585-601; F. Nowiński, *Polacy...*, s. 193, 239, 263-265, 280, 346.

Miał możliwość wychodzić do miasta pod konwojem, a nawet i bez towarzystwa strażnika. Przekonał się, że w alkoholowo-karcianych rozrywkach uczestniczyli zarówno mężczyźni jak i kobiety. Śmieszyły go prowincjonalne stosunki twarząsko-zawodowe i rola kobiet w lokalnej społeczności. Już na wstępie zauważył, że „na Syberii, tak jak i w Rosji całej, piękna żona subalternego urzędnika, stanowi dźwignię najpewniejszą do kariery męża”. Tak było w Czycie z panią Karpińską, żoną głównego lekarza w mieście Januarego Karpińskiego, który tak wysoko awansował właśnie dzięki jej urodzie, gdyż „należała do elity piękności czytyńskich”, a na dodatek „była bardzo mądra”. Nie była to jedyna piękność, gdyż miała konkurentkę w osobie pani Nadieždy Łaniny, w której kochał się prawdopodobnie poprzedni generał gubernator Murawjow i obecny Korsakow. Pochodziła podobno z książąt Trubeckich, ojciec po odbyciu katorgi ożenił się z sybiraczką i owocem tego związku była Nadieżda. Ojciec nie zdążył jednak przed śmiercią uznać jej formalnie za swoje dziecko, a matka wydała ją za mąż za kupca i w ten sposób wróciły na Syberię. Łanina miała „twarz o greckim profilu, niezwyklej długości rzęsy, brwi wąskie, o łuku jak u kobiet Włoszek”. Według oceny Mikołaja Epszajna „znawcy i wielbiciela piękności kobiet”, był to niedościgniony ideał. Inna czytyńska piękność według Dybowskiego to doktorowa Karpińska:

czarooka, czarnobrewa, nosek zgrabny »pikant«, według Irchowa, nieco zadarty do góry, twarz blada, matowa bez rumieńców, usta z uśmiechem ironicznym, mocno karminowe, dołki piękności na brodzie i policzkach, płeć delikatna.

Jednak po pewnym czasie nasz doktor doszedł do wniosku, że jednak to „tłuste kobiety u Rosjan i Chińczyków uchodzą za pewien rodzaj piękności”. Odpowiadała tym kryteriom pani Czernowa, „masywnej formy” i nawet gdy w Darasuniu Dybowski proponował jej kurację odchudzającą odmówiła twierdząc, że „chudnąć czyli tracąc tłuszcz podskórny, mogą wytworzyć się zmarszczki na twarzy i czole”. Podsumowując te czytyńskie piękności stwierdził więc: „ładna kobieta, w stylu jak powiadano syberyjskim, brunetka, sutowłosa, mocno zbudowana »mjasistaja«³⁶. Zagadkowym pozostaje fakt, że nie wyraził żadnej wyraźnej opinii o urodzie żony gubernatora czytyńskiego Aleksandrze Romanowie Dietmarowej. W szczerzej i pesymistycznej rozmowie doktor Dubiński stwierdził, że na Syberii to nie lekarze dorabiają się majątku:

posady inżynierów na Wschodzie [właściwie w Kraju Amurskim] są bardzo korzystne, można z góry przewidzieć, że panowie inżynierowie, przybyli goli na posadę, wyjadą z nich z setką tysięcy kapitałów zaoszczędzonych. To nie marna nasza kariera lekarzy³⁷.

³⁶ B. Dybowski, *Pamiętnik...*, s. 115-117, 122, 124. Na ile prawdziwe były zastrzeżenia przez Dybowskiego w Czycie plotki o kochliwych generałach-gubernatorach irkuckich nie wiadomo. Faktem natomiast jest, że M. Korsakow bardzo długo nie mógł ułożyć swego życia osobistego. Kochał się w córce Siergieja Wołkońskiego Jelenie i nawet dwa razy oświadczał się o jej rękę, ale bez pozytywnego rezultatu. Pierwszym mężem Jeleny był Dmitrij Mołczanow, a drugim N. Koczubej. Natomiast Korsakow w 1869 r. ożenił się ostatecznie z Aleksandrą Wakulinską (z domu Popowa), którą znał od 1862 r. Była ona wtedy żoną irkuckiego policmajstra. Wychodziła za Korsakowa będąc wdową i jak się okazało tylko na 2 lata wspólnego życia, N. P. Matchanowa, op. cit., s. 326-327.

³⁷ Ibidem, s. 138.

Dybowski leczył głównie elitę czytyńską płci obojga, jednak z przewagą tej pięknej, co z czasem stało się tematem plotek. Leczył w zasadzie za darmo, czym zyskał sobie na przyszłość sympatię i uznanie i to okazało się cenniejsze niż pieniądze.

Podczas pierwszego sezonu leczniczego, latem 1866 r. w Darasuniu, odwiedził zesłańców proboszcz czytyńskiej parafii ks. Tyburcy Pawłowski, kolega Gerwazego Gzowskiego i Franciszka Dalewskiego. Na wstępie opowiedział im o zesłańcu z powstania kościuszkowskiego Karolu Erluckim, którego nazwisko miejscowa ludność zniekształciła na Kałucki. Był przypisany do gminy ustilińskiej i miał więc już prawie 100 lat. Ożenił się z Sybiraczką-alkoholiczką, mieli dwóch synów i córkę. Jeden syn służy jako feldfebel w Irkucku, ożeniony z Sybiraczką i mający kilkoro dzieci. Młodszy jest chorowity, a córka ożeniona z polskim zesłańcem cywilnym, obydwójce mówili i modlili się po polsku. Ciekawą postacią był płk Butatz, chociaż ksiądz nie umiał określić jego wyznania. Wśród poszukiwaczy złóż złota pracuje u niego wielu Polaków, a jeden z nich żyje w nielegalnym związku z piękną dziewczyną we wsi Ilia. Z tego prawdopodobnie powodu, gdy urodziła się im córeczka, oddali ją na wychowanie bezdziejnej kobiecie z tejże wsi. Podobno dziewczynka jest bardzo zdolna i ksiądz prosił Dybowskiego, ażeby ten przekonał ojca do jej wykupu i oddania na naukę do niejakiej Podobiedowej. Ojciec uważał jednak, że kobieta nie powinna się uczyć i dlatego Eugenia umiała jedynie czytać. Wspominano także poprzednie pokolenie zesłańców, m.in. trzech braci: Antoniego, Józefa i Wincentego Wałeckich, nieżyjącego już Aleksandra Dalewskiego i jego brata syberyjskiego recydywistę Franciszka, Krajewskiego (nie wiadomo którego miał na myśli, Aleksandra czy Henryka), dra Antoniego Beaupre i Gerwazego Gzowskiego. Zastanawiano się, czy postyczniowe

pokolenie stanie na wyżynach tej rzadkiej moralności jaką się odznaczały pokolenia uprzednie. Najważniejsze zło, jest połączenie legalne lub nielegalne z Sybiraczkami³⁸.

Opinia o małżeństwach z Sybiraczkami niczym nie różni się od wcześniejszej Agatona Gillera.

Już w czerwcu 1865 r. władze wschodniosyberyjskie zwróciły się nawet do władz centralnych o zaprzestanie dalszego przysyłania katorżników. Jednocześnie w Irkucku i Krasnojarsku działały tymczasowe komisje specjalne, opracowujące nowe zasady pobytu przestępców politycznych. Problemem było wydzielenie odpowiednich funduszy na utrzymanie zesłańców. Przy Korsakowie zaczął działać specjalny zarząd, do nadzoru za polskimi zesłańcami politycznymi, pod kierownictwem płk N. Wakulskiego. Z ogólnej sumy 24,5 tys. rubli na utrzymanie zesłańców, 10 tys. miano przeznaczyć na organizację tajnego nadzoru. Korsakow poprosił władze petersburskie o danie mu uprawnień sądu wojskowo-polowego (*wojenno-polewoj sud*) w przypadku zaburzeń i takowe otrzymał. Wykorzystał to w 1866 r. podczas powstania polskich zesłańców nad Bajkałem. Powstanie też nie było zaskoczeniem, gdyż poprzedził je protest 74 zesłańców w grudniu 1865 r. w Siwakowej. O buntowniczych

³⁸ B. Dybowski, *Pamiętnik...*, s. 174, 176; W. Śliwowska, *Zesłańcy polscy...*, s. 51-52, 120-121, 649-653.

nastrojach Polaków sygnalizowali m.in. jenijski sztab-oficer żandarmerii płk Nikołaj Bork, rotmistrz M. Kupienkow oraz gubernator jakucki Apollon Łochwickij. Władze nie podjęły jednak żadnych środków zaradczych, ale za to energicznie bunt stłumiły. Odcięto powstańcom możliwość ucieczki przez Kułtuk i Dolinę Tonkińską do Mongolii, zdecydowanie stłumiono próbę buntu zesłańców w okręgu kańskim, mającą na celu wsparcie powstania nadbajkalskiego. Korsakowa w czasie powstania w Irkucku nie było, działaniami kierował zarządzający wówczas irkucką gubernią Konstantin Szelasznikow i naczelnik sztabu wojsk w Syberii Wschodniej B. Kukiel. Działająca później komisja przedstawiła powstanie „*czastnym, czisto lokalnym działom*”, przyznać buntowi rangę szerszą oznaczałoby kompromitację władz lokalnych. Wyrok sądu wojskowo-polowego złagodził już sam Korsakow i w telegramie do stolicy proponował dalsze złagodzenie kar. Odpowiedź przysłała po miesiącu, pozostawiając wszelkie decyzje Korsakowowi, co było równoznaczne z wyrazem pełnego zaufania.³⁹

Brak jest jednak wyraźnych podstaw ażeby sądzić, że Korsakow okazywał jakąś szczególną pobłażliwość wobec Polaków, jednak pojedyncze przejawy pomocy można znaleźć. W jednym z listów do matki, Korsakow wspominał o jakimś studencie Bieniewolenskim, którego udało się zostawić z powodu choroby w guberni jenijskiej i nie wysłać do Jakucka. Swoją postawę wobec zbuntowanych powstańców tłumaczył aktualnie obowiązującymi przepisami i zaistniałą sytuacją. Zaznaczył, że Polaków przybyło dużo,

nie mają tu tak lekkiego życia jak wcześniej było, lecz pomimo wszystko obchodzą się z nimi w pełni po ludzku dlatego, że i wobec przestępców trzeba okazać prawną wyrozumiałość.

Po powstaniu nadbajkalskie stosunek do polskich zesłańców uległ jednak wyraźnemu zaostrzeniu, o czym w październiku 1866 r. pisał Korsakow do dyrektora Departamentu Azjatyckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych Nikołaja Ignatiewa: „wierzyć im nie można, nie ma dla nich nic świętego”⁴⁰.

Gdy późną jesienią 1868 r. Dybowski z Godlewskim i Dąbrowskim dotarli do Irkucka, znaleźli już tam dobrze zdomowioną, zagospodarowaną i prężnie działającą kolonię polską. Na pierwszym miejscu Dybowski wymienił oczywiście lekarzy: sławnego „operatora” dr Ignacego Łagowskiego, znakomity był także dr Jan Świda i Józef Piekarski, cenieni byli także i inni: Julian Birnfrejnd (Bierfreind, v. Jan, v. Johan), Kazimierz Jaworowski i Wiśniewski. Pozostali członkowie irkuckiej Polonii to m.in. Maciej Smoleński z żoną i przybrną córką Urszulą, Aleksander Czekanowski, Konstanty Siciński (Sיעiński), Euzebiusz Młocki, Mikołaj Epstejn (Epstein), Witold Marczewski, Henryk Wohl, Feliks Zienkowicz, Szymon Tokarzewski, August Kręcki, Józef Kalinowski, Aleksander Oskierka, i Gorajski. Część z nich po odbyciu katorgi została tu przeniesiona z Usola, inni podobnie jak Dybowski, zostali przesiedleni z Darasunia i Padunia⁴¹. Nie było dla nikogo tajemnicą, że zapisanie

³⁹ N. P. Matchanowa, s. 331-334.

⁴⁰ Ibidem, s. 329.

⁴¹ B. Dybowski, *Pamiętnik ...*, s. 286. Większość z tych osób znał także Jakub Gieysztor i ich nazwiska znalazły się w jego spisie. Ich biogramy zob. W. Śliwowska,

osiedleńca do jakiejś zapadłej wioski, groziło nędzną wegetacją i dlatego każdy starał się wszelkimi sposobami o przeniesienie do „wymarzonego” miasta, chociaż nie było to łatwe. Miasto i do tego jeszcze gubernialne, a takim był przecież Irkuck, dawało dobre i różnorodne możliwości zarobkowania. Osoby bardziej przedsiębiorcze mogły tu zająć się handlem i drobną wytwórczością. Dybowski, porównując Irkuck sprzed kilku lat, z wyglądem miasta pod koniec 1868 r. stwierdził:

zastałem wielką ilość rzemieślników czynnych, – byli już krawcy, szewcy, stolarze, złotnicy, blacharze, rusznikarze, cukiernicy, kawiarze, nawet pierwszy księgarz się znalazł; fabryki zapalek, kafla itd. były już kierowane przez naszych ziomków. Założono handel obuwia warszawskiego, galanterii, ubrania. Hotele i restauracje przeszły pod zarząd Polaków, August Kręcki założył introligatornię. Słowem Irkuck przybrał pozory miasta, gdy przedtem była to obskurna miejscina. Dorożkarze, nawet woziwody byli Polacy, niektórzy lekarze, jak Wiszniewski, Świda, Birnfrejnd mieli własne konie, tak samo i dr Łagowski.

Krótko mówiąc Polacy byli widoczni, nawet „piwowarnię, a zarazem fabrykę drożdży urządził ziomek nasz zesłany, Sierzputowski [...] Ostatecznie była i łaźnia polska z porządnymi wannami, czego w łaźni rosyjskiej dotąd nie było”⁴². Ogólne wrażenie było więc dobre i budujące, chociaż losy konkretnych ludzi nie zawsze musiały tak wyglądać.

Przede wszystkim nie wszyscy lekarze mogli praktykować w Irkucku. Nie starczyłoby przecież dla nich pracy i dlatego trafnie podkreślił Zygmunt Librowicz, że

zesłani na Syberię lekarze prowadzili dalej i tutaj swą praktykę i szczególnie byli czynni po wsiach, wśród ludu wiejskiego; nie szukali jednak bynajmniej korzyści, ani też nie dawali swych rad z jakiegokolwiek bądź wyrachowania⁴³.

Taką właśnie samarytańską działalność leczniczą prowadził Dybowski w Zabajkalu. Myli się jednak Librowicz twierdząc, że Polacy nie mieli konkurencji, narzucali wysokie ceny za swe usługi i szybko się bogacili. Rywalizacja zwłaszcza w handlu z irkucką kolonią Żydów była, chociaż nie każdy Żyd zrobił karierę handlową. Przykładem może być przyjaciel Józefa Kalinowskiego warszawski Żyd Henryk Wohl, prowadzący sklep w Irkucku. Kalinowski dziwił się gdy ten zamknął sklep,

że taki fachowiec jak on nie może zdobyć sobie odpowiedniego zajęcia, kiedy na przykład Gorajski już obecnie zajmując miejsce buchaltera, jest płatnym 2000 r[ubli] rocznie. Straton związa swoją fabrykę papierosową i bierze na siebie utrzymanie bufetów na parostatkach żeglugi amurskiej. Wspólnikiem jego jest [Teodor] Opocki, którego stałą rezydencją będzie Nikołajewsk.

Syberia w życiu..., s. 143-144, 178, 213, 217-218, 239, 250, 260, 284, 291-292, 315-316, 322-323, 342, 346, 365-366, 379.

⁴² B. Dybowski, *Pamiętnik ...*, s. 289-290, 295.

⁴³ Z. Librowicz, op. cit., s. 167. Przygotowywane jest na ten temat polskie tłumaczenie monografii irkuckiego historyka Włodzimierza Rabinowicza *Żydzi w przedrewolucyjnym Irkucku: zmieniająca się mniejszość w zmieniającym się społeczeństwie*.

Kazimierz Laudyn (Lauden) handluje futrami i przejął „handel *panskogo* (pański) towaru” w Jakucku. Kalinowski uważał siebie za nieudacznika w sensie praktycznym⁴⁴. Benedykt Dybowski odnotował w pamiętniku, że

Tokarzewski wraz z Henrykiem Wohlem umyślili byli założyć sprzedaż obuwia warszawskiego, sprawa ta zajmowała całkowicie p. Szymona, opowiadał w nieco przesadnej formie o wielkich korzyściach dla szewców warszawskich [...] a zarazem kreślił obrót cały tego przedsięwzięcia, przedstawiając go w barwach najjaskrawszych.

W późniejszym czasie wiodło się Wohlowi prawdopodobnie lepiej, a w latach 1872-1883, pracował nawet w irkuckiej filii Syberyjskiego Banku Handlowego⁴⁵.

Główną troską Dybowskiego po przybyciu do Irkucka, było uzyskanie zgody władz na prowadzenie badań Bajkału, w oddalonym o 90 wiorst Kułtuku. Dla władz było to miejsce nieco podejrzone, gdyż jak sam przyznawał, właśnie tam rozpoczęło się powstanie nadbajkalskie, określone przez Dybowskiego „dziecinny”. Jego przywódcy: Gustaw Szaramowicz, Narcyz Celiński, Jakub Reiner i Władysław Kotkowski nie mieli pojęcia o geografii Syberii Wschodniej i Mongolii, i dlatego musieli skorzystać z pomocy dwóch miejscowych przewodników: Grigorija i Gawryły. Pomimo, że powstańcy skonfiskowali miejscowej ludności konie, wozy i siodła,

nie słyszałem nigdy narzekania albo wymyślań, uważałem to zapominanie krzywd ze strony Kułtuczan za dodatnią cechą ich altruistycznego charakteru.

Będąc już na miejscu, Dybowski z etnografem Rowińskim przeprowadził pomiary antropologiczne Kułtuczan. Otrzymane wyniki wskazywały, że większość ludności Kułtuku i pobliskiej Tunki była pochodzenia białoruskiego, dużo w jej języku i obrzędach było wyrazów polskich, a śpiewy i melodie też nie były wielkoruskie⁴⁶. Kułtuk leżał nad traktem prowadzącym m.in. do Tunki, gdzie przebywali na zesłaniu księża katoliccy i to też był powód do obaw u irkuckich decydentów. Na dodatek, przez wieś prowadził trakt brodiagów, których często zatrudniał do pracy, mieszkający we wsi inżynier od budowy dróg i mostów płk Schatz, nazywany potocznie „Szacow”. Klimat we wsi był więc nienajlepszy, brodiadzy chodzili po wsi za „*podajonnym*” (jałmużną), dużo pili i bili się między sobą. Syberyjscy włóczędzy pić mieli gdzie, gdyż we wsi były „dwa szynki osadzone z ramienia Żydówki Markiewiczowej”. Jeden nazywano prawosławnym a drugi buriackim. Na dodatek była

⁴⁴ J. Kalinowski, op. cit., s. 392-393, 346. Opocki był studentem Uniwersytetu Petersburskiego, uczestniczył w demonstracjach studenckich (Kalinowski podał mylny rok 1862), później był członkiem Komitetu Prowincjonalnego Rusi w Kijowie, za co skazany został na katorgę.

⁴⁵ J. Kalinowski, op. cit., s. 251; B. Dybowski, op. cit., s. 297, 298.

⁴⁶ B. Dybowski, *Pamiętnik...*, s. 312. Więcej o materialnej stronie powstania nad Bajkałem zob. F. Nowiński, *Straty materialne instytucji państwowych i ludności cywilnej w czasie powstania Polaków nad Bajkałem w 1866 r.*, [w:] *Powstanie styczniowe 1863-1864. Walki i uczestnicy. Represje i wygnanie. Historiografia i tradycja*, red. W. Caban i W. Śliwowska, Kielce 2005, s. 215-225.

tu także cerkiew i szkołka elementarna. Przez wieś przebiegał szlak handlowy z Kiachty i dlatego mieszkał tam naczelnik komory celnej Czykułajew. Najbardziej życzliwą osobą dla zesłańców był naczelnik stacji pocztowej Zołotnicki⁴⁷.

Kolejnym problemem było skompletowanie współpracowników do badań i uzyskanie akceptacji władz na ich wspólny wyjazd nad południowy brzeg „świętego morza”. Dybowskiego miano osiedlić w Jałowce, a Godlewskiego, którego Dybowski już dobrze znał ze współpracy w Zabajkału, władze chciały wysłać do jakiejś innej odległej wsi. Dopiero po wielu staraniach u Maacka, Łomonosowa i nawet gen. Bolesława Kukiela, a głównie przy poparciu naczelnika powiatu irkuckiego Fiodora Pawliszczewa, pozwolono jemu i Godlewskiemu osiąść Kułtuku. Tam za pośrednictwem dra Łagowskiego wynajęli tanio wygodny dom z zabudowaniami gospodarskimi i ogrodem od kupca Piernikina⁴⁸. Do pomocy wzięli jeszcze młodego Władysława Księżopolskiego, który miał preparować okazy ptaków i prowadzić gospodarstwo. W zamian za to miał mieć zapewnione darmowe utrzymanie i jak pisał Dybowski w pamiętniku,

oraz wyrobimy kredyt u kupców na kilka tysięcy rubli srebrnych, może tedy założyć kramik, prowadząc handel z okolicznymi włościanami i Buriatami [...] Kredyt u kupców wyrobili nam dr Świda i Łagowski, którzy już mieli w Irkucku obszerne stosunki, pomiędzy kupcami i biurokracją.

Księżpolski miał problemy z alkoholem, ale Dybowski wymusił na nim przyrzeczenie abstynencji. W ten sposób miano dawać przykład miejscowemu towarzystwu trunkowemu i karcianemu, gdyż jak zanotował Dybowski, „w Kułtuku wszyscy piją, zaś tzw. inteligencja gra w karty”⁴⁹. W ten sposób rozpoczynał się ważny etap w życiu naukowym Dybowskiego. Ogólne i często powtarzane jest twierdzenie, że na badanie Bajkału poświęcił 9 lat – sugeruje to nawet tytuł jednego z rozdziałów monografii Gabriela Brzęka „Nad Bajkałem 1869-1877”, ale nie jest do końca prawdziwy. Badania te prowadzone były w kilku etapach, z przerwami i jak twierdzi Siergiej Snopkow, realnie trwały około 4 lat⁵⁰.

⁴⁷ B. Dybowski, *Pamiętnik...*, s. 305, 307

⁴⁸ Ibidem, s. 287. Spotkałem dwie wersje pisowni nazwy wioski, do której miał być wysłany Dybowski. Jedna to jego, natomiast w pamiętniku Kornela Zielonki i w monografii W. Śliwowskiej o ucieczkach z Syberii jest Jełowka, a na dodatek u G. Brzęka mamy nazwę tejże wsi jako Jałówka. K. Zielonka, *Wspomnienia z powstania 1863 roku. Z życia na wygnaniu i w Syberji*, Lwów 1913, s. 84, 87-88; W. Śliwowska, *Ucieczki...*, s. 322, 434; G. Brzęk, op. cit., s. 104. W Jełowce, bo takie brzmienie nazwy wioski wydaje się najbardziej właściwe, osiedlony był kolega K. Zielonki Włodzimierz Kompit. Dziwną jest jednak w tym kontekście krytyczna uwaga Dybowskiego o pamiętniku Ludwika Jastrzębca-Zielonki: „dwutomowy pamiętnik, uznać muszę za fantazyjną powieść na tle bieżących wypadków kreśloną, a do tego przy wielu opisach dziecinnie przesadną”; B. Dybowski, *Pamiętnik...*, s. 95; zob. także F. Nowiński, *Nietypowe sytuacje i nietypowe związki - małżeństwa polskich zesłańców z Sybiraczkami*, [w:] *Kobieta i rewolucja obyczajowa. Społeczno-kulturowe aspekty seksualności. Wiek XIX i XX. Zbiór studiów pod redakcją Anny Żarnowskiej i Andrzeja Szwarca*, t.IX, Warszawa 2006, s. 384.

⁴⁹ B. Dybowski, *Pamiętnik...*, s. 288, 309.

⁵⁰ S.W. Snopkow, *Bienedikt Dybowskij – issledowatel Bajkała*, [w:] *Polskije issledowатели Sibiri*, red. B.S. Szostakowicz, M. Wołos, P. Głuszkowski, Sankt-Pietierburg 2011, s. 66

Jednym z wiernych obserwatorów poczynąń badawczych pana Benedykta w Irkucku, był Józef Kalinowski. W liście z Irkucka, pisany do Ludwiki Młockiej 16 listopada 1869 r., relacjonując wrażenia z wystawy osiągnięć gospodarczych i przemysłowych, wymienił wyróżnionych Polaków i dodawał, że prof. Szkoły Głównej dr Dybowski zdobył pracą i zdolnościami „zasłużoną wziętość w tutejszym towarzystwie geograficznym”⁵¹. W liście do rodziców z 17(29) lutego 1870 r. pisał, że jego współmieszkaniec Feliks Zienkowicz pojechał do Dybowskiego nad Bajkał „rysować jakieś rączki dotychczas jeszcze naturalistom nieznaną”⁵². W liście z 20 czerwca 1870 r. potwierdzał, że „Pan Benedykt zawsze w Kułtuku”⁵³. W kolejnym liście do rodziców z 2(14) sierpnia 1870 r. pisał, że cały lipiec mieszkał z nim F. Zienkowicz, ale w końcu sierpnia znów rusza do Dybowskiego nad Bajkał⁵⁴. W liście do rodziców z końca grudnia 1870 r. pisał, że będąc na herbacie u Zienkowicza zaszedł do nich Dybowski, „który oddaje się specjalnie pracy przyrodniczej, trawiając cały czas w Kułtuku nad Bajkałem”⁵⁵. W ostatnim dniu czerwca 1871 r. do rodziców pisał, że

Tu się dziwią memu ociąganiu, ale boję się postąpić sobie lekkomyślnie. Wyjeżdżam z Benedyktem Dybowskim i obiecuję sobie w miłym jego towarzystwie, przyglądać się jego badaniom, przyjemnie i korzystnie kilka tygodni nad Bajkałem przetrwać. Z Kułtuku będę pisał obszernie⁵⁶.

Kolejny list już z Kułtuku nosił datę 11(23) lipca 1871 r. Pisze w nim o tym, że Dybowski zrobił z Kułtuka stację naukową, znaną już w świecie uczonym. Uczonego określa jako „ujmująca postać i pełne wesołości i życia obejście się towarzyskie wcale nie sprawdzają zwykłego pojęcia o postaci uczonego”. Tymczasem Dybowski z Wiktorem Godlewskim i Stanisławem Wrońskim wyruszyli w góry na szczyt Chamar-Daban, a Kalinowski został ażeby prowadzić obserwacje meteorologiczne i rysować foki bajkalskie. Sam zauważył, że ma talenty do rysowania⁵⁷. Tak więc mimo woli, Kalinowski też ma swój niewielki bo zaledwie dwumiesięczny udział w badaniach Bajkału. Pomagał m.in. Godlewskiemu w obserwacjach fok bajkalskich⁵⁸.

W liście Kalinowskiego do Ludwiki Płockiej, pisany 3(15) lutego 1872 r. z Irkucka mamy informację, że Dybowski zaprasza „nas kilku do Kułtuku na zapusty, rozumie się nie na pączki lub bliny, ale po prostu dla zrobienia wspólnie z nim wymiarów Bajkału”. O prowadzonych badaniach pisze trochę lekceważąco: „po prostu zamrażają się dla zdobycia rączka lub robaczka z dna Bajkału”. Waha się czy jechać, bo boi się poważnie „zachorować i umrzeć na Syberii”, zwłaszcza mając nadzieję na powrót. Nie wyklucza jednak, że w sprzyjających okolicznościach „może też ruszy na to nowego rodzaju polowanie”⁵⁹. W liście do Jakuba Gieysztora z Irkucka pisany 17(29) lutego 1872 r. pisał Kalinowski, że

⁵¹ J. Kalinowski, op. cit., s. 302.

⁵² Ibidem, s. 310.

⁵³ Ibidem, s. 324.

⁵⁴ Ibidem, s. 326.

⁵⁵ Ibidem, s. 341.

⁵⁶ Ibidem, s. 362.

⁵⁷ Ibidem, s. 363. O Tym samym zob. B. Dybowski, *Pamiętnik...*, s.426-427.

⁵⁸ Ibidem, s. 323.

⁵⁹ Ibidem, s. 386.

tu każdy wytrwale trzyma się w swoim przedsięwzięciu: Dybowski i Godlewski na lat sześć ruszają dla zbadania kraju od Bajkału do Oceanu Wschodniego; otrzymali w tym celu zapomogę rządową i *otkrytyj list* od tutejszej władzy. Obecnie Dybowski bawi w Irkucku dla opracowania swego dzieła o raczkach przed wyjazdem za Bajkał⁶⁰.

Chodziło o wyprawę w latach 1872-1875 po Amurze do Morza Japońskiego. W kolejnym liście Kalinowskiego do Gieysztora z 30 maja 1872 r. pisał, że Zienkowicz przepisywał pracę Dybowskiego o raczkach, a Dybowski wkrótce rusza za Bajkał z rekomendacji Towarzystwa Geograficznego. Píše też, że dotarł do Irkucka jeszcze jeden naturalista z Omska, młody Jan Czerski⁶¹.



Grupa przyrodników kijowskich;
wśród nich Aleksander Czekanowski i Benedykt Dybowski,
zesłańcy, późniejsi badacze Syberii.

Zesłania nie były jednak wieczne i pręcej czy później nadchodził czas powrotów z Syberii. Jedną z pierwszych polskich rodzin, która już w 1869 r. mogła opuścić kolonię irkucką i przenieść się do Rosji europejskiej, było małżeństwo Amelii z Rewieńskich i Emila Dybowskiego. Prawdopodobnie

⁶⁰ Ibidem, s. 392.

⁶¹ Ibidem, s. 404.

w związku z tym, pisał o nich Kalinowski w liście do rodziców z 17(29) kwietnia 1869 r. Emil był bratem stryjecznym Benedykta i absolwentem agronomii z Dorpatu. Za udział w powstaniu 1863 r. skazany został na osiedlenie we wschodniej Syberii. Pierwszym miejscem pobytu był Krasnojarsk (1866 r.) i tu przyjechała do niego dobrowolnie żona. Gabriel Brzęk twierdził, że E. Dybowski miał jakiś związek z nieudaną próbą ucieczki Szlenkiera, może chodziło spisek krasnojarsko-kański i za to przeniesiono go do Irkucka. Z informacji Jakuba Gieyszтора wynika, że pracował w Fabryce Tielminskiej pod Irkuckiem. Żona udzielała korepetycji dzieciom tamtejszych urzędników i prowadziła repolonizację zrusyfikowanych zesłańców. Była słabego zdrowia i chorowała. Na mocy manifestu carskiego z 26 lipca 1869 r. uzyskali możliwość wyjazdu w listopadzie 1869 r. do guberni penzeńskiej, a po kilku kolejnych latach wrócili do stron rodzinnych w guberni mińskiej⁶².

Gdy w 1872 r. Dybowski udawał się za Bajkał na kolejne badania naukowe, w Irkucku żegnali go jeszcze m.in. August Kręcki, Stanisław Kietliński, Józef Kalinowski, Leon Dąbrowski i kilku innych zesłańców. Nie wiedział, że żegnał się już na zawsze z ciężko chorym na raka żołądka drem Ignacym Łagowskim. Mógł jednak przypuszczać, że z częścią Polonii nie spotka się już w Irkucku po ogłoszonych ulaskawieniach. W czasie jego nieobecności cała powyżej wymieniona czwórka opuściła Irkuck. W liście pisany przez Kalinowskiego 1(13) września 1872 r. już z Permu do Feliksa Zienkowicza, znalazła się prośba, aby ten pozdrowił „profesora” czyli Dybowskiego i „kustosza” czyli Czerskiego, Wohla i Ignasia oraz księży⁶³. Trzeba podkreślić, że niezależnie od stopnia zaangażowania Dybowskiego w badania naukowe, zawsze był w bliskim kontakcie ze współwyznańcami. Interesował się ich problemami, próbował doradzać i wspierać oraz co najważniejsze, wciągać ich do prowadzonych przez siebie badań naukowych. Nie było mu obce także środowisko Sybiraków. Przez cały czas na pierwszym miejscu była jednak praca naukowa.

I na koniec mały osobisty przypadek, z mojego pobytu w Irkucku. We wrześniu minie 10 lat, kiedy mój dobry kolega Igor Naumow, profesor Irkuckiego Państwowego Uniwersytetu Technicznego, zaproponował mi kilkudniową wycieczkę śladami Dybowskiego do Kułtuka (Kułtuku). Na miejscu zaprosiliśmy jeszcze do towarzystwa miejscowego nauczyciela historii. Spędziliśmy, o ile dobrze pamiętam, 3 dni na samym brzegu Bajkału, mieszkając w starej drewnianej chatce. Analogicznie jak Dybowski, Godlewski i Księżpolski, w domu Piermikina. Uznaliśmy, że nasz wielki uczyony wszystko już zbadał i my nie mamy tu co robić. Pamiętam jednak do dziś, jak najbardziej zasadne i słuszne stwierdzenie tamtejszego nauczyciela, że gdyby nie Dybowski, o Kułtuku nikt by nie słyszał, ani w Rosji ani na świecie. Dzięki niemu, Kułtuk stał się szeroko znany. Dla uczczenia tego faktu, w miejscowej szkole co roku jesienią organizowane są „Dybowskijskie cztenija”, a w szkolnym muzeum dominują eksponaty i pamiątki związane z naszym wielkim uczonym-zesłańcem.

⁶² Ibidem, s. 279-280; W. Śliwowska, *Syberia w życiu...*, s. 176, 336; G. Brzęk, op. cit., s. 107.

⁶³ B. Dybowski, *Pamiętnik...*, s. 426, 428; J. Kalinowski, op. cit., s. 422.

JERZY FIEĆKO

ANNA RUDAWCOWA, POETKA NA WYGNANIU

Anna Rudawcowa przed wojną, w latach 30., znana była w kręgu czytelników „Płomyka” i „Płomyczka” jako autorka zgrabnych wierszy dla dzieci, drukowanych w tych pismach. Debiutowała w okresie bujnego rozwoju poezji dziecięcej, kiedy to w tej dziedzinie dominowali Julian Tuwim (autor genialnej *Lokomotywy*, 1938) i Jan Brzechwa (w 1938 wydał tomik *Tańcowała igła z nitką*, rok później zbiór *Kaczka dziwaczka* – klasyka tego gatunku), a znaczącą rolę odgrywały też artystki takie jak Janina Porazińska (wieloletnia redaktorka „Płomyczka”), Kazimiera Iłakowiczówna czy Ewa Szelburg-Zarębina, które ustanowiły trwałe na długie lata kanon liryki dla dzieci. Brzechwa i Tuwim zrewolucjonizowali styl tej poezji, odwołując się do takich kategorii estetycznych, jak humor i komizm, z upodobaniem praktykowali błyskotliwe gry słowne, żarty słowotwórcze, skojarzenia dźwiękonaśladowcze. Nigdy dotąd poezja dziecięca, podporządkowywana wcześniej moralistyczno-patriotycznej dydaktyce, nie wzbiła się na tak wysoki poziom literacki.



*
Anna Rudawcowa
(1905 – 1981)

Poetce z Grodna niełatwo zatem było zdobyć miejsce na parniasie polskiej poezji dziecięcej. W utworach publikowanych w „Płomyczku” i „Płomyku” stroniła raczej od eksperymentów językowych i stylistycznych, właściwych dla Tuwima i Brzechwy, wybierała linię zapoczątkowaną przez Marię Konopnicką, pierwszą pisarkę, która literaturę dziecięcą podniosła na wysoki pułap artystyczny, a ponad subtelnie wyrażany dydaktyzm stawiała wrażliwość dziecka, eksponowała jego postrzeganie świata. Wiersze Rudawcowej, drukowane w „Płomyczku” (1937-1938), cechuje zrytmizowany porządek wersowy, czytelne rymy, klarowny język, odwołujący się do wyobraźni dziecięcej. Poetka często wykorzystywała chwyt scenki dialogowej, która pozwalała przedstawiać różne modele dziecięcego odbioru świata i siebie. Ważną cechą tych wierszy był humor, życzliwe podejście do dziecięcych zachowań, stroniące od natrętnego dydaktyzmu i moralizatorskiego pouczenia. I tak w liryku *Jak to było na choince* znajdziemy zabawną scenkę dialogu między figurkami z choinki, wiodącymi spór o to, kto z nich jest tam postacią najważniejszą, dialogu stylizowanego na dziecięce polemiki, w których każde stara się podkreślać swoją ważność i wyjątkowość; podobny charakter miał wiersz *O ropusze plotkarze i obrażonym komarze*, wykorzystujący bajkowy zabieg wpisywania w kłótnię figur ze świata zwierzęcego/owadziego sytuacji właściwych dla doświadczeń człowieka, w tym wypadku dziecka. W owym czasie był to klasyczny chwyt stosowany w poezji przeznaczonej dla najmłodszego czytelnika. Zdarzały się też akcenty patriotyczne, choćby w liryku *Jak dzieci do Pana Prezydenta wędrowały*, gdzie szło nie tyle o podtrzymywanie kultu Mościckiego, co raczej naukę czystego przywiązania i szacunku dla instytucji niepodległego państwa (ten wiersz też miał charakter fabularny, epicki, przedstawiał rzeszę dzieci wędrujących zimą do stolicy z życzeniami dla Prezydenta, dzieci, które wciągnęły do tej pielgrzymki nawet srogi, upersonifikowany miesiąc Luty). Podobnie udurowiony charakter miały wiersze z „Płomyka”, przedstawiające a to monolog dziewczynki wykonującej akrobacje na linie w cyrku (*Taniec na linie*), a to wynurzenia „cudaczki-księżniczki” Echo powtarzającej cudze głosy (wiersz *Echo*), czy wreszcie marzenie zaklętej, śpiącej królowny o dobrej wróżce i królewiczu Maju, którzy niedługo powinni wyrwać ją z okowów długiego snu (*Śpiąca Królowna*).

W wierszach bodaj nie publikowanych, częściej pojawiały się akcenty i tematy modlitewno-religijne, a ich bohaterami i adresatami bywały dzieci poetki, Halinka i Danek (Bohdan).

Anna Rudawcowa pochodziła z rodziny szlacheckiej Okuszeko-Boska (nazwisko panieńskie pisarki), pieczętującej się herbem Leliwa, urodziła się w Dorpacie 7 sierpnia 1905 r. (tam zdobyła wykształcenie gimnazjalne), w niepodległej Polsce ukończyła w Wilnie z wyróżnieniem liceum, później kłopoty rodzinne (przedwczesna śmierć ojca, adwokata z zawodu) uniemożliwiły podjęcie studiów i zmusiły – po odbyciu koniecznych kursów pedagogicznych – do wczesnego podjęcia pracy w zawodzie nauczyciela (jednym z jej wychowanków był wybitny poeta Wiktor Woroszyński, o czym sam wspominał). W r. 1924 wyszła za mąż za Michała Rudawca, dyrektora szkoły w Mostach, w której pracowała, mieli dwoje dzieci, Halinę i Bohdana. W r. 1931 osiedli

w Grodnie, Rudawcowa uprawiała tam poezję dziecięcą (współpracując właśnie z „Płomykiem” i „Płomyczkiem”) oraz oddawała się drugiej pasji, aktorstwu, grywała w teatrach amatorskich, ale i w profesjonalnym Teatrze Grodzieńskim im. Elizy Orzeszkowej. W Grodnie razem przeżyli początek wojny, która dramatycznie wpłynęła na ich losy. Michał Rudawiec w styczniu 1940 r. został aresztowany przez NKWD i osadzony w obozie, z którego zbiegł tuż po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, powrócił do Grodna i tam doczekał końca dziejowej apokalipsy, ukrywając inteligenczką tożsamość.



Poetka z córką Haliną i synem Bohdanem – Grodno 1939

Annę Rudawcową wraz z dwójką dzieci w kwietniu 1940 r., w ramach drugiej fali aresztowań i wywózek Polaków z tych terenów, wywieziono w głąb Kazachstanu. Dramatyczne koleje ich sześciolatniej zsyłki przedstawiła Halina Łupinowicz, córka poetki, w książce *Skrzydzeni* (tekst dostępny w sieci internetowej). Najpierw trafili do małego „posiołka” Lubimowka, leżącego w stepie w odległości 40 wiorst od Irtysza i zamieszkałego głównie przez Kirgizów, żyjących w rytmie starodawnej tradycji, nastawionych do nowych przybyszów w większości zyczliwie. Powstała tam mała kolonia polskich zesłańców (wspierająca się wzajemnie, ale nie bez bolesnych wyjątków, czego Rudawcowa doświadczyła osobiście) i choć terror polityczny mniej się tam odczuwało, to warunki do życia były nad wyraz ciężkie, zmuszały one poetkę i jej dzieci do walki o biologiczne przetrwanie. Po podpisaniu porozumień między polskim rządem emigracyjnym i sowieckim, w r. 1942 wraz z dziećmi trafiła do powiatowego miasta Atbasar, gdzie choroby i głód (stałym elementem tamtejszego „krajobrazu” były potwornie długie kolejki po żywność) dziesiątkowały mieszkańców. Korzystając z krótkiego okresu odwilży wobec zesłańców pisarka zaangażowała się w animowanie polskiego życia kulturalnego, pisała obrazki

sceniczne, odgrywane przez dzieci wygnańców. Części zesłańców udało się dostać do armii Andresa, większość wszelako tam pozostała, a po zerwaniu przez Stalina stosunków z rządem londyńskim zaczął się okres wzmożonych prześladowań: wstrzymano aprowizacyjną pomoc z Zachodu, przywrócono 18-godzinny dzień pracy, codziennością stały się rewizje, poetkę wzywano także na wielogodzinne przesłuchania do siedziby NKWD, prowadzone z zamiarem zmuszenia do współpracy.

Rudawcową wraz z dziećmi przeniesiono najpierw do Kuzmuruna, gdzie nieoczekiwaną przysługę oddał jej oficer NKWD, który zniszczył dokumentację, a do władz zwierzchnich wysłał raport o śmierci poetki. Rudawcowa następnie znalazła się w małej Sołoniówce, tam odszukała ją delegacja Związku Patriotów Polskich, która w imieniu Wandy Wasilewskiej (pamiętającej zapewne ją jako autorkę wierszy dla dzieci) zaproponowała współpracę. Do jej podjęcia namówili Rudawcową współzesłańcy, w nadziei, że w ten sposób będzie mogła wspomagać ich wszystkich w staraniach o powrót do ojczyzny. Przyjąwszy nowe obowiązki, przeniosła się do Karagandy i tam doczekała końca wojny, wróciła z wygnania w 1946 r., nie do Grodna jednak, które znalazło się za wschodnią granicą, po krótkiej tułaczce ostatecznie osiadła z dziećmi w Gliwicach. Mąż zgodę na repatriację otrzymał dopiero w r. 1953 i to był właściwy koniec zesłania, gdy po 13 latach rozłąki rodzina była znów razem.

Anna Rudawcowa po wojnie wróciła do poezji dziecięcej, nie udało się jej jednak nawiązać trwałej współpracy z żadną redakcją, z przyczyn pozaliterackich uznano ją za autora niepożądanego. Zmarła w Gliwicach 2 grudnia 1981 r.

Wiersze syberyjskie zaliczyć trzeba do najlepszych w jej dorobku, znamy ich 27, tyle ocalało z liczby zapewne daleko większej, do kraju dostały się w r. 1946, ukryte w buciku syna, ale na ich druk w powojennej rzeczywistości nie można było liczyć. Pisane w tajemnicy, skrywane przed sowiecką policją polityczną w czasie licznych rewizji, miały swoją równie dramatyczną historię, jak ich autorka. Podstawowym ich adresatem w momencie pisania były, jak się wydaje, wspólnoty zesłańcze, z którymi pisarkę na kolejnych przystankach wiązała wygnańczy los. Pisane nie dla zdobycia rozgłosu, dokumentowały zesłańcze doświadczenie, stanowiły rodzaj literatury świadectwa. Można też sądzić, że tworzenie ich dla Rudawcowej było gestem obrony swojej tożsamości i podmiotowości, decyzją o kontynuowaniu poetyckiej ścieżki nawiązywała przeciw do starej tradycji, zainicjowanej w kulturze europejskiej przez Owidiusza jako autora *Tristiów*, patrona poetów-wygnańców, poetów uwięzionych, tradycji nakazującej podejmowanie na ziemi niewoli twórczego trudu, eksponującej nakaz nie łamania pióra. Taki wybór podejmowali zsyłani w XIX w. polscy poeci (z największym wśród nich, Mickiewiczem) i kontynuację znalazł on także w epoce II wojny, Rudawcowa była jedną z wielu polskich pisarek i pisarzy, którzy w głębi Rosji, nierzadko na Sybirze, sięgali po pióro. Można tu nawiązać do znanej formuły Jerzego Jedlickiego, który mówił o „dziejach doświadczonych” i „dziejach zaświadczonych”. Poezja wygnańcza, literacki zapis niechcianego losu, stawała się ważnym świadectwem swego czasu.

W zbiorze wygnańczych wierszy Rudawcowej splatają się dwa nurty. Jeden to kontynuacja poezji dziecięcej, czyli typu liryki, który uprawiała przed

wojną, choć na Syberii, pod presją tragicznych okoliczności, poddany on został istotnej modyfikacji, nabrał ciemnych barw. Drugi wynikał ze świadomego nawiązania do tradycji romantycznej, wpisania się w model literatury patriotycznej i martyrologicznej, z elementami mesjanistycznymi i religijnymi, tradycji eksploatującej mit Sybiru, stepów Kazachstanu jako krainy skrajnie ciężkich doświadczeń. W obrębie drugiego nurtu odnaleźć można język i styl obrazowania doświadczeń niewoli charakterystyczny właśnie dla kultury polskiego romantyzmu, czasem aluzje do i kryptocytaty z konkretnych dzieł z tamtej epoki. Oba nurty zresztą krzyżowały się, nakładały na siebie, wzajemnie przenikały.



Anna Rudawcowa, organizatorka polskiej szkoły w Karagandzie
z nauczycielką Marią Skrótkowską oraz dziećmi

Wiersze „dziecięce” mają gorzki posmak, wdziera się w nie rzeczywistość wygnania, nie przynoszą prostego pocieszenia, choć – jeśli w nich szukać dydaktyzmu – najczęściej zawierają nakaz zachowania wiary w uwolnienie i miłości do kraju rodzinnego. Taki charakter ma choćby *Sybirska kołysanka* (1940), pisana dla syna i córki, w której z jednej strony pojawia się wizja błędzących za oknem dusz dzieci pogrzebanych na zesłaniu, ale z drugiej jest też końcowa zachęta, by śnić sen o wolnym kraju, wbrew mroźnej rzeczywistości. Z kolei w wierszu *Oczy matki* zderzają się dwie narracje, dziecka pytającego o przyczyny smutku mieszkającego w matczynych oczach i rodzicielki, która wyjaśnia, że jej oczy „zamarły w obliczu złej zagadki” – nie ma tu prostego pocieszenia, jest przygotowywanie na trudny los. Albo *Kołysanka mego syna*, piękny wiersz, nie skrywający dramatu położenia, w którym matka-narratorka opowiada o potrzebie zmagania się z okrutną rzeczywistością (jest tam jej obraz: nieludzko harującej kobiety, dźwigającej cegły, wprzęgniętej w niewol-

niczą robotę, szukającej szansy na przeżycie, ocalenie ich obojga). To nie są typowe, pogodne kołysanki, niosą one ten sam łądunek doświadczeń, który odnajdziemy w drugim nurcie, w „poezji poważnej”. Jest w tych wierszach surowa pedagogika mierzenia się z okrutnym światem, trwania bez złudzeń, że wszystko pięknie i łatwo samo się ułoży, nauka, że jest i będzie ciężko, ale nadziei tracić nie wolno – ta myśl była szczególnie mocno wyróżniona w piosnce *To wszystko nic, maleńka*, napisanej dla córki, gdzie motyw koniecznej wiary w zmartwychwstanie Polski wyrażony jest szczególnie dobitnie.

W zbiorze tym przeważa (ilościowo przynajmniej) jednak nurt drugi, nazwijmy go romantyczno-martyrologicznym. Różne formy on przybiera. W wierszu *Do braci*, zapisanym w początkach zesłania, opis cierpienia, wizja Sybiru jako miejsca niezawinionej kary splatają się z językiem konsolacji, pocieszenia, wiary w nieuchronność uwolnienia. Często też w tych wierszach pojawia się znamienna opozycja, znana z wszelkich odmian liryki wygnańczej, także z epoki rodzimego romantyzmu: złego, groźnego, straszliwego „tu” (Sybiru, stepu kazachskiego, systemu represji) i pogodnego, szczęśliwego „tam”: domu rodzinnego, kraju ojczystego, macierzystego krajobrazu. Ważne miejsce zajmuje temat pamięci (jakże ważny w epoce romantyzmu) traktowanej jako antidotum na zło wygnania, na prześladowania, głód i strach. Pamięci jako zjawiska, które daje siłę do przetrwania, wskazuje wartości, którym trzeba dochować wierności. Te wartości związane w tym cyklu zostały w klasyczną triadę: Dom-Rodzina-Ojczyzna (wiersz *Siostrze-tułaczce*).

Bohaterem wielu wierszy (a w jakimś sensie można powiedzieć, że wszystkich) jest Polska, przeciwieństwo krainy wygnania, przedmiot bezwarunkowej miłości. W wierszu *Oskarżam* znajdziemy stary chwyt literacki, polegający na obróceniu oskarżenia w pochwałę i apologię (oskarżenie pozorne, zabieg znany z literatury oświeceniowej) – autorka oskarża ojczyznę, że była wzorem poszanowania wolności i wielu innych cnót, dlatego musiała być zniszczona; narratorem-oskarżycielem jest tu z pozoru wróg, w rzeczywistości wiersz ten staje się wyznaniem wiary w szczególne posłannictwo Polski; w niektórych utworach pojawiają się motywy mesjanistyczne, bazujące na wierze, iż rodzimej wspólnoty powierzona jest wyższa misja i dlatego jej byt nie może być unicestwiony. Szczególny przykład poezji tego rodzaju przynosi wiersz *Golgota*, w którym pojawia się obraz Polski w koronie z cierni, Europy z gestem Piłata odwracającej się od niej, tchórzliwych a morderczych wrogów, wreszcie Sybiru jako apogeum narodowej Golgoty – nietrudno tu odnaleźć, zastosowane do symbolicznego opisu najnowszej historii, motywy pasyjne rodem z ewangelii, ale jeszcze bardziej z III części *Dziadów* Mickiewicza, a ściślej z Widzenia księdza Piotra, najważniejszego poetyckiego manifestu romantycznego mesjanizmu narodowego. Liryka patriotyczna pod piórem Rudawcowej w wielu przypadkach splata się zresztą z poezją religijną, nabiera charakteru wyznania wiary i apelu do Boga o opiekę, wsparcie, wybawienie, tak dla wygnanych, jak i całej ojczyzny, jak w *Rezurekcyjnych dzwonach*. Religijny charakter mają takie wiersze, jak *Sybirska kolęda* (stylizowana zresztą na „poezję dziecięcą”), *Anioł Pański* (wiersz-skarga i zarazem poetycki znicz zapalany nad grobem symbolicznych mężczyzny-kobiety-dziecka z Polski, pomordowanych na Sybirze), poruszająca *Litania wygnańców*.

Osobną grupę wierszy stanowią te, w których pojawia się postawa rozrąchanego, wnosząca pesymistyczne tony w obraz wygnańczej wspólnoty lub w których dominuje martyrologia powiązana z wizją katastrofy. Gorycz zawodu na rodakach pojawiła się w dwu zwłaszcza tekstach: *Budowa*, wiersz zawierający sygnały na temat rozpadu etyki wśród wygnańców, walczących – w niektórych przypadkach – o przetrwanie kosztem współrodaków (jest to zapis własnego, bolesnego doświadczenia z pierwszego bodaj roku zsyłki), zamknięty apelem o oczyszczenie sumień i odzyskanie człowieczeństwa; waga tego wiersza świadectwa bierze się stąd, iż autorka uznała, że ciemnej strony wspólnotowego życia na wygnaniu nie należy ukrywać, że nie można chować się za mitem o wyjątkowości i szlachetności Polaków, bo prawda, nawet gorzka, jest ważniejsza. Drugi tekst ma charakter bardziej historyczno-polityczny (*List do Jan-gi-Julu*, napisany w Atbasarze w r. 1942), ułożony został w formie listu oskarżycielskiego, adresowanego do polskich oficerów z misji rządowej (już wtedy zamykanej przez władze sowieckie), działającej w miejscowości wymienionej w tytule, oficerów, którzy – jak niosła wieść – zabawiali się i ucztowali wtedy, gdy na Sybirze wymierali pozbawieni wsparcia zesłańcy; w tym z pasją napisanym wierszu skrywała się sugestia, że rodzima władza (oficerowie byli jej reprezentantami) nie zrobiła wszystkiego w kwestii ratowania rodaków, a co najmniej zachowywała się w obliczu tragedii niestosownie, nie na miarę czasów.



*

Anna Rudawcowa –
Sybiraczka

Katastrofizm z kolei, też mający romantyczny rodowód, operujący obrazami dantejskimi, opowiadający o sytuacji bez wyjścia, pojawiał się w nielicznych wierszach, takich jak *S.O.S.* (tu wołaniu o ratunek towarzyszyły obrazy głodu, zimna, śmierci, strachu) czy *Sąd ostateczny*, wzorowany rytmem i stylem na *Chorale* i *Skargach Jeremiego* Kornela Ujejskiego, wiersz wzywający Boga, by osądził, owszem, polskie winy i grzechy, ale też by w dniu apokalipsy wydał wyrok na wrogich zbrodniarzy; narratorem jest tu – przypadek rzadszy w liryce Rudawcowej – bohater zbiorowy, znękana, niszczonego wspólnota zesłańcza. Katastroficzny ton odnaleźć także można w wierszu *Morituri te salutant*.

Silny ładunek emocjonalny zawierają też – ważne jako świadectwo zesłańczego bytu – liryki, w których dominuje obraz traumatycznej codzienności: *Noc sylwestrowa* (napisana 31 XII 1940), zestawiająca wyobrażenie balu „gdzieś w świecie” z egzystencją „tutaj”, w miejscu „wiecznego smutku”, gdzie wraca jedna z najbardziej klasycznych opozycji, podejmowana m.in. przez Mickiewicza, między rozumem i wiarą: „rozum” mówi „nie wierz w obietnice”, „wiara” wzywa, by zachować nadzieję na „cud powrotu”, i to jej autorka chce zawierzyć. Albo liryk *13 kwiecień*, pisany w rocznicę aresztowania i wywózki z Grodna, zawierający poetycki opis ekspulsji z domu rodzinnego w mroźny step. Albo wiersz *W sybirskiej chacie*, ewokujący obraz „psiego losu”, życia w mroźnej, biednej chacie, w otoczeniu głodujących, chorych dzieci – powraca tu klasyczny motyw światowej i rodzimej romantycznej liryki wygnańczej, opisujący lęk przed zgonem i pogrzebaniem w obcej ziemi.

Wygnańcze wiersze Rudawcowej, nie zawsze stylistycznie dopracowane, bo nie sprzyjały temu okoliczności, pisane w tajemnicy przed NKWD, obarczono ryzykiem donosu i surowego wyroku, były aktem odwagi poetki, która chciała dać świadectwo, zapisać skrajnie trudne doświadczenie. I jest to świadectwo – jak wiele innych z tamtego czasu i miejsca – cenne. Mowa o ryzyku, jakie towarzyszyło pisaniu tych wierszy, nie jest retorycznym ozdobnikiem, te utwory mogły być podstawą surowego osądu przez sowiecką władzę, bowiem jej obraz w tym cyklu jest jednoznaczny: wiersze te mówią przecież o oporze bezbronного człowieka przeciw władzy okrutnej, barbarzyńskiej, totalnej, bezwzględnie niszczącej ludzi niewinnych, których jedynym grzechem jest fakt narodowego pochodzenia (dodajmy, że i zapewne klasowego – Rudawcowa, osoba z inteligencji, z elity kulturalnej Grodna, była właśnie modelowym przykładem „wroga klasowego”). Pomimo owego „niewykończenia” w niektórych przypadkach, swoistej chropowatości stylistycznej, właśnie w cyklu wierszy sybirskich grodzieńska poetka, jakby wbrew ponurej rzeczywistości, wspięła się najwyżej na swojej drodze poetyckiej.

Wspominałem już o powrocie do „poezji dziecięcej” po wojnie, która w kilku przypadkach powiązana została z liryką religijną, odwołującą się do motywów ewangelicznych, do historii z życia małego Jezusa (m.in. *Ucieczka do Egiptu*, *Biały Chrystus*, *Chrystus i róże*). Powojenne wiersze „dziecięce” od tych sprzed wojny odróżnia większa dyscyplina formalna, są to liryki krótsze, bardziej zwarte, zamykane najczęściej w kilku, kilkunastu wersach. Łączy natomiast skłonność do budowania scenek rodzajowych (np. *Dziwy w klasie*), oddawanie narratorskiego głosu dziecku, nastawienie na jego wrażliwość (choćby

uroczy wiersz *Przebudzenie*), na jego wyobraźnię (dowcipny utwór *Jak jest na księżycu*). Pojawiają się też nawiązania, repetycje klasycznych toposów z literatury dziecięcej (wiersz *Kopciuszek*). Można by zaryzykować tezę, że są to teksty bardziej dojrzałe, bardziej świadome reguł gatunku, niż te sprzed wojny. Doświadczenie zesłania, choć tu nie powraca bezpośrednio, trening nad precyzją języka, widoczny przecież w cyklu zesłańczym, tematycznie tak różnorodnym, ten trening przysłużył się dobrze liryce powojennej. Nie weszła on jednak w obieg publiczny za życia poetki, osoby dla nowej władzy podejrzanej, ze złą biografią, religijną, wiernej swoim przekonaniom. Poezję dziecięcą uprawiać mógł każdy, nie każdemu wszelako dane było ją ogłaszać.

Można powiedzieć, że poetyckie wygnanie Rudawcowej z obiegu publicznego, oficjalnego zaczęło się w kwietniu 1940 roku i za jej życia nie miało końca.

Do Braci

Zły los nas rzucił w stepy Kazachstanu,
Zły los nas wygnał na tułaczkę w świat,
Gdzie każde serce jest otwartą raną,
Gdzie każda chwila jest szeregiem lat.

Upiorny pociąg wiózł nas poprzez rzeki
I przez uralskich gór zębaty pas,
Ojczyzny uśmiech – smutny i daleki
Błął coraz bardziej, wreszcie całkiem zgał.

Złapało życie w swe żelazne tryby,
W stalowe koła, sploty srebrnych szyn,
Wygnańców tłum, rzucony tu, na Sybir,
Za ciężki grzech nie popełnionych win.

Nie trzeba łez! Nie trzeba słów ni wyznań,
Bo każda skarga zagrzmie tu jak zgrzyt.
O, Bracia moi! Ludzie bez Ojczyzny!
Przeminie noc, a po niej przyjdzie świt!

(Sybir, 1940 rok)

*

Sybirska kołysanka

Śpij Córeczko, śpij mój Synu,
Za oknami wilcze ślepia,
Za oknami nocka sina,
Sztynna z zimna śpi na stepie.

Smutny księżyc oczy stracił...
Z białym mrozem, w śnieżnym wirze,
Błądzą dusze naszych dzieci
Pochowanych na Sybirze.

Wyją wilki, kruki kraczą,
Mróz lodowe wkłada trepy –
Wiatr chichocze, stepy płaczą,
Syberyjskie białe stepy.

Tęskni słonko do świtania,
Uwiązane śpi za kratą...
Na tułaczkę, na wygnanie,
Poszła wiosna, poszło lato...

Zawierucha zęby szczyrzy,
Wiatr zaprasza ją do tańca...
Cicho! Zmówcie trzy pacierze
Na ziarenkach z łez różańca...

Za tatusia, co w więzieniu,
Za to wszystko, co go boli –
I za braci zmarłych cienie
I za matuś, co w niewoli.

Śpij Córeczko, Synku mały,
Już nie płaczcie – baju, baju!
Wśród sybirskich stepów białych
Śnijcie sen o swoim Kraju!
(Sybir-Kazachstan, 3 listopad 1940)

*

W sybirskiej chacie

Zimno, ponuro w mej sybirskiej chacie
Białej od szronu i od siwej troski:
Na ośnieżonym oknie zlodowaciał
Mały posążek smutnej Matki Boskiej.

W mojej sybirskiej chacie mróz zagościł
Głód do drzwi puka coraz natarczywiej:
Dokąd się udać? Gdzie szukać litości?
Kto nas usłyszy – umarli czy żywi?

Gdzie prawo dla nas – bydła i nędzarzy,
Pariasów ludzkich, ofiar złej przemocy?
Kto nas osądził i kto się odważy
W ostatniej chwili pośpieszyć z pomocą?

W sybirskiej chacie głodne dzieci płaczą,
Skulone, sine na barłogu leżą,
Kto skazał je na ten psi los tułaczy,
Na podły los zamkniętych w klatce zwierząt?

Kto nasze ścieżki tak tragicznie splątał,
Kto rzucił nas w sybirskich śniegów kłęby,
Gdzie mróz i nędza czają się po kątach,
Gdzie śmierć i obłęd szczyrzą czarne zęby?

Tak strasznie jest umierać na obczyźnie,
Ostatni błysk nadziei w sercu dobić
I obcą ziemię prochem swym użyźnić
I śnić o Polsce, tęsknić nawet w grobie.
Nie! Przetrwąć wszystko – głód i mróz piekący
Nie mówić nic, nie skarżyć się nikomu,

Jak wściekły pies zaszczuty, zdychający,
Ostatkiem sił chcę dowlec się do domu!

(Sybir, 1941 rok)

*

Litania Wygnańców

Matko miłosierdzia,
Matko wszystkich matek,
Matko z Jasnej Góry,
Matko w Ostrej Bramie!
Zstąp z błękitnych wyżyn do ubogich chat,
Módl się za nami!

Gwiazdo dni samotnych,
Gwiazdo czarnych nocy,
Gwiazdo, co tułaczkę dzielisz z wygnańcami!
Zetrzyj w proch kajdany gwałtu i przemocy,
Módl się za nami!

Wyzwolenie więźniów,
Pocieszenie smutnych,
Opiekunko sierot,
Zorzo nad zorzami!
W czas najcięższej próby,
W chwilach tak okrutnych,
Módl się za nami!

O, Królowo świata!
O, Królowo nieba
I Korony Polskiej rozbitej wrogami!
Broń nas, Jasna Pani,
Ratuj nas w potrzebie,

Módl się za nami!

(Sybir, 1942)

*

Morituri te salutant

Bądź pozdrowiona Polsko!
Dość już upokorzeń!
Jest śmierć, której nie znają swobodni i syci...
Patrz, jak wspaniale giną Twój gladiatorzy,
W nierównej walce z losem na arenie życia!
Patrz, tą areną krwawą są stepy Sybiru,
Niewola ciał wychudłych i niewola ducha...
Czy Ty nas wydrzesz, Polsko, z łap okrutnych zbirów,
Ty, co z daleka patrzysz obojętna, głucha?
Władczyni bez królestwa!
Jesteś tylko cieniem!
Gdzieś w świecie szerzy się Twych czarnych dni pokuta,
A my giniemy, śląc ostatnie pozdrowienie:
Ave Polonia! Morituri te salutant!

Sybir, 1942 rok

*

Sen o Polsce

Dziś miałam sen o Polsce...
Jak przed laty kwitły przede mną bujne krzewy głógów
Nie poszarpanych bombą i granatem,
Nie stratowanych przez okrutnych wrogów.

Dziś miałam sen,
Że wierzby nad strumykiem ubrały się w pluszowe, srebrne bazie,
Że przez zakątki parku zarośnięte, dzikie
Szła wiosna ze mną, jak królowa z paziem.

Dziś miałam sen,
Że starą, polną gruszę pokryło gęsto puchem białe kwiecie,
Że w jej gałązkach siedział mały duszek
I tak żałośnie, cicho grał na flecie.

Śniłam, że słyszę szepty i rozmowy
Figlarza – wiatru z zadumaną sosną,
Że świat jest jasny, cudny, kolorowy
Jak bywa w bajce albo w Polsce wiosną.

I śniłam też, że było mi tak błogo,
Że serce biło rytmem tak spokojnym,
Jakby nie czuło żalu wcale, do nikogo,
Jakby nie było nigdy wojny.

(Karaganda 1945 rok)

*

Powrót

Wracam do Ciebie, Ojczyzno, stepem srebrnego burzanu,
Idę przez pustkę złych nocy, dni obłąkanych tęsknotą...
Chcę ucałować Twą ziemię, bólem i męką zoraną,
Chcę ucałować Twą ziemię, zlaną krwią, łzami i potem.

W smutnej tułaczkiej wędrówce długie miesiące i lata
Ty mi świeciłaś w ciemnościach gwiazdą złocistej latarni,
Wolno mijały godziny, smutek z nadzieją się bratał,
Ty gdzieś czekałaś daleko, Ty gdzieś walczyłaś ofiarnie.

Wracam do Ciebie Ojczyzno... To co mi było tak drogie,
To co się stało dalekie – może już wkrótce się zbliży...
Spotkasz mnie słońcem wolności, szeptem skarżących się moglił,
Szumem zwycięskich sztandarów, jękiem chylących się krzyży.

Przyjdę do Ciebie, Ojczyzno, stanę na progu Twych granic,
Klęknię, jak pielgrzym strudzony, w jasnym obliczu świętości
I zem nareszcie wróciła z dróg dalekiego wygnania
Tylko to jedno Ci powiem, powiem jak można najprościej...

(Karaganda, 1946)

ANNA ZAPALEC

GOLGOTA GUŁAGU – BUTUGYCZAG (RELACJA Z PODRÓŻY PO KOŁYMIE)

Od likwidacji Gułagu upłynęło już sporo lat i wiele jego pozostałości zarosła tajga, rozmył je deszcz, a stare budynki rozsadził mróz lub rozebrali je ludzie. Jednak na dalekiej Kołymie zachowały się kamienne mury łagierniczych zabudowań, drewniane baraki dla więźniów, słupy i druty obozowych zon. W jednych z najcięższych kopalń Gułagu określanych jedną wspólną nazwą „Butugyczag” stoją one nadal, jakby broniły się przed zniszczeniem, aby dać świadectwo zbrodni sowieckiego totalitaryzmu.

Butugyczag był zespołem kopalń oraz przedsiębiorstw wraz z istniejącymi przy nich łagami, które powstały w różnym czasie. Znajdowały się one kilkaset kilometrów na północny-zachód od Magadanu. Pierwszy obóz pracy utworzono tutaj jeszcze zanim wybudowano drogę biegnącą w tym kierunku, tak zwaną drogę tionkińską. Był on budowany od 1937 r., gdy założono w tym miejscu kopalnię ołowiu. Według ustaleń badaczki rosyjskiej Inny Gribanowej do pracy w tak trudne warunki skierowano od razu więźniów i pierwsi z nich przewożeni byli etapami. Z Magadanu wieziono ich lokalnym transportem, ale ostatni odcinek trasy odbywali pieszo idąc wiele dni przez góry. Jeden z tych szlaków prowadził z miejscowości Atka i pokonywano go przez miesiąc. Niektórzy zesłańcy umierali już w drodze z powodu ciężkich warunków podróży, zwłaszcza zimą. W tym najwcześniejszym okresie istnienia obozu śmiertelność wynosiła 2/3 stanu osadzonych w nim więźniów. Umierali z głodu i z wycieńczenia od pracy, którą wykonywali w sztolniach na stokach gór. W okresie późniejszym, po 1939 r., gdy zbudowano już drogę, to więźniów przywożono z Magadanu około 230-240 km do miejsca nazywanego Dolny Butugyczag i stamtąd pieszo około 12-16 km prowadzono do poszczególnych obozów położonych w Średnim i Górnym Butugyczagu. Wszystkie łagpunkty, sztolnie, budynki obozowej administracji powstały rękami skazańców, ale zanim to stało się spali w namiotach. Następnie w ciągu kilku lat stworzony został cały kompleks składający się z paru łagpunktów, sztolni, elektrowni, stacji meteorologicznej i różnego rodzaju warsztatów, a także bazy transportowej. Wszystko to uczyniło ostatecznie Butugyczag olbrzymim obozem pracy, w którym więźniowie wydobywali najpierw ołów, a od połowy lat 40-tych XX w. także rudę uranu przetwarzaną w miejscowej fabryce. Nazwa całego zespołu łagrów i przedsiębiorstw pochodzi od nazwy kopalni – „Butugyczag” oraz od nazwy jednego ze szczytów w tamtejszym paśmie górskim. Ze względu na rodzaj i warunki

pracy było to jedno z wielu przedsiębiorstw łagrowych na Kołymie owianych bardzo złą sławą wśród więźniów¹.

Miejsce to znajdowało się głęboko w górach w zupełnie bezludnym terenie. Od końca lat 30-tych XX w. byli tutaj przetrzymywani więźniowie polityczni różnych narodowości, przede wszystkim sporo Rosjan, z wyrokami sięgającymi kilkunastu lat. Po 1944 r. osadzeni zostali tu także żołnierze Armii Krajowej – zarówno kobiety jak i mężczyźni – których sądy sowieckie skazały na wieloletnie wyroki poprawczego obozu pracy. Łagier kobiecy był położony dużo głębiej w górach kołymskich, ale obsługiwał te same przedsiębiorstwa. Pod koniec lat 40-tych i na początku lat 50-tych Polacy mówili o Butugyczagu „polski obóz”, tak duży był odsetek polskich więźniów. Dzisiaj nadal bardzo trudno o określenie dokładnych liczb, bo archiwalia są rozproszone lub w Rosji niedostępne. Niezależnie jednak od tego było to miejsce, w którym polscy więźniowie przebywali bardzo licznie. Jednym z nich był Bronisław Radomski z Sambora, skazany we wrześniu 1945 r. na 10 lat obozu pracy. W 1949 r. został przewieziony do Magadanu wraz z innymi Polakami i w latach 1950-1951 przebywał w Butugyczagu. Wspominał o tym miejscu: „piekło na ziemi”; „droga na Golgotę”; „więźniowie masowo umierali z wycieńczenia, chłodu, głodu i ciężkiej pracy”; „to był najgorszy obóz”².

Dla więźniów było to miejsce straszne, gdzie panowała rozpacz i beznadzieja. Cudem było tu przetrwać. I nawet rzekom, które płynęły tutaj dolinami górskimi, nadano upiorne i piekielne nazwy: Czort, Bies, Szatan, Kocugan i Belzebub. To tu na jednej z głównych bram można byłoby umieścić słowa Dantego Alighieri, które trafnie oddawałyby realia panujące w tych obozach przez większość okresu ich istnienia: „Porzucicie wszelką nadzieję, wy, którzy wchodziście”.

W całej historii swojej działalności ten kompleks łagrowo-przemysłowy podlegał różnym strukturom zarządzania. Łagry i więźniowie od początku przynależeli Północno-Wschodnim Poprawczym Obozom Pracy, a pracowali dla przedsiębiorstw górniczo-przemysłowych Dalstroju. Od 1948 r. kopalnie i istniejące przy nich łagry pracujące przy wydobyciu uranu w Butugyczagu włączono do nowoutworzonego Bierłagu (Brzegowy Łagier; Obóz Specjalny nr 5), a pozostałe, gdzie wydobywano ołów pozostały w dotychczasowej strukturze jednego z zarządów górniczo-przemysłowych. Ten podział jednak ewoluował i ulegał zmianom. Nie jest też jeszcze możliwe jego precyzyjne scharakteryzowanie. Wcielenie części Butugyczagu do Bierłagu (podlegały mu różne łagry, kopalnie i przedsiębiorstwa na Kołymie o szczególnym znaczeniu gospodarczym i przemysłowym) skutkowało tym, że obowiązywał w nim szczególnie zastrzony reżim życia i pracy, dużo cięższy od pozostałych sowieckich poprawczych obozów pracy. Wśród więźniów łagry te nazywane były „katorżniczymi”. W takich miejscach całkowicie izolowano więźniów od pozostałych grup osadzonych, obowiązywał rygor więzienny w barakach mieszkalnych, co oznaczało m.in. zakaz opuszczania baraków w czasie wolnym i zamykanie ich na noc oraz istniało dodatkowe wyposażenie zapobiegające ucieczkom, a powierzchnia mieszkalna dla więźnia wynosiła czasami jedynie 1 m kw. na osobę. Do obozów specjalnych trafiło dużo więźniów z najwyższymi wyrokami.

¹ J. Grabinowa, *Tion'ka. Witok spirali*, Magadan 2013, s. 29-37.

² B. Radomski, *Z Sambora na Kołymę*, [w:] „Wspomnienia Sybiraków”, t. 6, Warszawa 1992, s. 76-80.

Dzisiaj do Butugyczagu nie prowadzi żadna droga, nie ma tego miejsca na mapie i nie znajdzie się żadnego drogowskazu, który tam kieruje. Pierwszy etap – najłatwiejszy – około 240 km pokonuje się z Magadanu piaszczysto-żwirową drogą do Ust-Omczuga w ciągu kilku godzin. Na Kołymie jednak nie jest pewne w tej podróży, bo gdy zacznie padać silny deszcz, to nawet latem podróż lokalnymi drogami jest często niemożliwa, zwłaszcza tymi biegnącymi przez góry. Dlatego podróż do Butugyczagu podczas mojego pobytu na Kołymie przez prawie dwa tygodnie stała pod znakiem zapytania. Przez cały sierpień padały ulewne deszcze i rzeka Armań oraz inne strumienie podmyły i przerwały tionkińską drogę w kilku miejscach. W końcu jednak udało się dotrzeć do Ust-Omczuga – jednego z nielicznych osiedli na tej trasie. Obecnie, tak jak dawniej, jest ono centrum rejonu tionkińskiego (odpowiednik naszego powiatu, ale o znacznie większym obszarze). Sprawia jednak przygnębiające wrażenie. Część domów jest zupełnie opuszczona, co jest charakterystyczną cechą wielu miejscowości w obwodzie magadańskim, które uległy przez ostatnie lata wyludnieniu. Dzisiaj w całym rejonie tionkińskim obejmującym 35600 km² mieszka jedynie 5105 osób. Dawniej wzdłuż drogi tionkińskiej znajdowało się kilkadziesiąt miejscowości, ale teraz jest ich tylko siedem. Największa z nich to właśnie Ust-Omczug, ale osiedle sprawia wrażenie bardzo biednego. Jest w nim jednak kilka sklepów, administracja i inne budynki organizacji społecznych oraz kilka małych zakładów przemysłowych i przedsiębiorstw.

Dawna droga prowadząca przez tajgę do Butugyczagu znajduje się około 60 km za Ust-Omczugiem. Dzisiaj została już rozmyta przez deszcz i górskie rzeki, które każdego roku pod wpływem ulewnych opadów rujną ten słabo widoczny ślad. Górskie strumienie naniósł kamieni, żwiru, pni wyrwanych drzew i zniósł na rzekach mosty. Wielkie i głębokie błotniste jamy wypełnione czarną wodą, wysokie zarośla i bagniste rozpadliny obecnie zasłoniły lub zagroziły swobodne przejście. Spiętrzone drewniane kłody, żwir oraz błoto tworzą często zapory nie do przebycia. Jeszcze gdzieś widać jednak koleiny wyżłobione przez samochody, które dowoziły więźniów oraz ciężarówki przewożące materiały przemysłowe i urobek z kopalni. Ale dzisiaj tajga w większości już ukryła ten szlak i bez przewodnika znajdującego teren trudno byłoby dojechać do dawnego Butugyczagu. Chociaż od głównej drogi to tylko 16 km, to odcinek ten pokonuje się około 2-2,5 godziny w zależności od pogody.

Droga przez tajgę w pewnym momencie się kończy, przy byłej fabryce przetwarzającej uran. Ukazują się wysokie góry. Wielkie głazy, które stoczyły się ze zboczy w dolinę zasypały przejazd i naruszyły koryta rzek, które jednak przebijają się pomiędzy nimi. Niosą one w dół doliny pozostałości łagru: narzędzia, drewno i drut kolczasty z ogrodzenia obozu. To upewnia, że jest się na miejscu. Dalej trzeba już iść na piechotę, dawnym szlakiem łagierników, wspinając się stopniowo pod górę. Wokół tylko krajobraz księżycowy, bardzo surowy: stoki gór bez jakiegokolwiek roślinności, bez krzewów, bez trawy, wielkie gołoborza, na których ostre kamienie nagrzone słońcem czuje się wyraźnie nawet pod grubymi podeszwami butów. Zimą skuwa wszystko mróz, przysypuje śnieg i czyni widok jeszcze bardziej ostrym. Dzisiaj to też teren w niektórych miejscach skażony, gdzie występuje podwyższone promieniowanie jonizujące, zwłaszcza koło dawnej fabryki wzbogacania uranu i chyba dlatego tak wiele tu zostało śladów po łagrach. Leżą więc tu nadal rozrzucone narzędzia, naczynia,

urządzenia przemysłowe, których nikt nie zabrał. Miejscowi ludzie, rzadko tu przyjeżdżają. Trasa jest daleka, czasochłonna i kosztowna.

Stopniowo wchodząc pod górę coraz więcej drutów i elementów ogrodzenia obozowego widać w korycie strumienia o wymownej nazwie „Błądajuszczij”, co na język polski można tłumaczyć jako „błądzący” lub „wędrowny” (ros. Блуждающий). Nieopodal na stokach stoją jeszcze pozostałości oświetlenia, słupów elektrycznych i ogrodzenia z drutu kolczastego. Po pewnym czasie przedzierania się po wysokich kamieniach korytem strumienia, za kolejnym zakolem wyłaniają się zabudowania jednego z byłych obozów Butugyczagu, który określano nazwą „Centralny”. Położony w dolinie, a otoczony wokół szczytami gór sprawia wrażenie przytłoczonego wielkimi stokami górującymi nad nim. Kamienne ściany budynków wyglądają jak małe klocki na tle wysokich wzniesień górskich. Dzisiaj tych starych budynków łagru zachowało się już niewiele. Stoją jedynie kamienne ściany, które utraciły już swoje drewniane dachy i wyposażenie. Nawet one zaczynają się już kruszyć, stropy runęły w dół, jakieś ich części wiszą jeszcze niebezpiecznie nad ziemią, grożąc w każdej chwili zawaleniem. W tym łagrze nie ma też już drewnianych baraków dla więźniów. Ale zachowało się wiele szczegółów: główne mury niektórych zabudowań, ciężkie i grube kraty w oknach, a nawet drewniane beczki wkopane w ziemię na wodę, ślady wysokiego i kolczastego ogrodzenia, dawne oświetlenie łagru i narzędzia pracy porozrzucane wokół. Jest w tym miejscu groza oraz ból tamtych dni, gdy wejdzie się do byłego karceru, który nie uległ zniszczeniu - małe, kamienne, mroczne cele z czarnymi, grubymi kratami w oknach i zamiast drzwi. Klaustrofobiczna ciasnota korytarza i pomieszczeń. Jest to miejsce straszne i upiorne, nawet dzisiaj.

Nieopodal, trochę w górze, znajduje się niewielka polana, gdzie leżą do dnia dzisiejszego setki czarnych, schodzonych łagierniczych butów. Wiele z nich to tzw. „czunie”. Były robione ze zużytej opony samochodowej, gdzie bieżnik stanowił podeszwę, a resztę wykonywano z boków opony, zszywano drutem i przybijano ręcznie wykonanymi gwoździkami do podeszwy. Takie buty nosili więźniowie, którzy nie mieli już własnego obuwia. Nie były one ocieplone, więc stanowiły liche zabezpieczenie przed 50 stopniowym mrozem. Dzisiaj właśnie setki tych butów leżą na jednej z polan w Butugyczagu: wykrzywione od słońca i mrozu, zniszczone, podarte, zdjęte z nóg więźniów. I widok ten powoduje powstanie tak bardzo ciężkiej myśli, że przecież swoich butów nikt nie zostawia i nie idzie boso przez góry i tajgę, więc to w jakiejś części buty zmarłych skazańców Butugyczagu. Zmarli, którzy dzisiaj całkowicie zostali zapomniani, których nazwisk nikt nie zna, a miejsca ich śmierci nikt nie upamiętnia. Śnieg i słońce co roku coraz bardziej niszczy pozostałości łagru: budynki obozowe i także to cmentarzysko łagierniczych butów.

Całkowicie z boku i dużo dalej na stoku kolejnej góry, spoczywają ciała zmarłych. Groby oznaczono wbitym w ziemię drewnianym słupkiem z zawieszoną na nim małą blaszką z numerem więźnia i tylko tyle. Jednak wielu więźniów grzebano bez żadnego oznaczenia, w przygotowanym latem dole, do którego spychano nagie ciała, przysypując je kamieniami, a zimą śniegiem. A następne ciała zmarłych tworzyły kolejną warstwę, aż dół się nimi wypełnił. Tych zbiorowych mogił nie można dzisiaj odnaleźć.

W łagrze „Centralnym” już po zakończeniu wojny przebywali również żołnierze Armii Krajowej oraz harcerze Szarych Szeregów. To prawdopodobnie w tym właśnie obozie jednym z nich był Bronisław Aleksander Engelhardt (ur. 1929 r.), który jako 15-letni chłopak działał w 1944 r. w konspiracyjnym harcerstwie w Wilnie. Aresztowany przez NKWD 2 czerwca 1946 r. w wieku 17 lat i rok później skazany na 10 lat pozbawienia wolności oraz pracę w sowieckim łagrze, trafił ostatecznie na Kołymę do kopalni uranu. O historii Bronisława Engelhardta dowiedziałam się w czasie podróży do Butugyczagu. Miesiąc wcześniej dotarł tam przede mną Juliusz Engelhardt – syn Bronisława – który szukał miejsca, gdzie katorżniczo pracował jego ojciec i jednocześnie swojego miejsca urodzenia. Juliusz urodził się niedaleko, w małym robotniczym osiedlu o nazwie Transportnyj, po tym jak jego ojciec w 1952 r. wyszedł z łagru i przymusowo musiał pozostać na osiedleniu na Kołymie, gdzie ożenił się i gdzie urodził się mu syn. Cała rodzina wróciła do Polski, gdy tylko nadarzyła się ku temu okazja. W październiku 1955 r. opuścili oni już na zawsze na jednym ze statków Magadan i po długiej drodze przybyli do Szczecina. Spotkałam się z Juliuszem Engelhardtem w Polsce, już po moim powrocie z Kołymy. Opowiedział mi wtedy historię swojego ojca, który zmarł dość młodo i mówił też o losach swojej rodziny. Na temat pobytu ojca w Butugyczagu wspominał:

Ojciec opowiadał straszne rzeczy o tym obozie. Właściwie każda rozmowa, o czym by się nie zaczęła, schodziła i tak na ten temat. [...] Tam nie było żadnych ludzkich odruchów. Liczyło się tylko przetrwać i przeżyć, nie dać się okraść, aby nie zabrano ci chleba i ubrania i uchronić się przed *blatnymi* i aby nie stać się *dochodiagą*, co oznaczało śmierć. Ojciec przeżył, bo był młody, szczupły, ale umięśniony i zdrowy, starał się zawsze pracować w brygadach, w których pracowali silni mężczyźni i dzięki temu wyrabiali normy. Wyrobić normę oznaczało dostać więcej jedzenia.

Od łagru „Centralny” idąc wzdłuż potoku „Szajtana” (Szatan; ros. Шайтан) w kierunku jego źródła, którego latem koryto prawie zupełnie wysycha, mijają się dawne wyrobiska, gdzie wydobywano kasyteryt (cyneń). Znakami tej działalności są usypane hałdy kamieni oraz częściowo jeszcze istniejąca droga, która biegła równoległe do potoku. Po lewej stronie na stoku, w znacznej odległości, ale widoczne z doliny, przetrwały rdzawe ślady po byłej kolejce do przewozu rud ołowiu, a nawet niektóre jej fragmenty w postaci elementów konstrukcyjnych. Wyznaczają one jej przebieg od łagru „Centralny”, następnie górą lewego stoku aż do szczytu „Sobka” i tamtejszych sztolni, gdzie następnie przechodzą na drugą stronę góry i po jej stoku zniżają się w kolejną daleką dolinę do tamtejszego łagru.

U źródła Szajtana znajduje się podejście na górę „Sobka” (1689 m n.p.m.). To właśnie na niej, prawie na samym jej szczycie zachowały się pozostałości kolejnego łagru. Więźniowie potocznie nazywali go „Sobka”, analogicznie do nazwy szczytu, pod którym został ulokowany (prawdopodobnie formalnie nosił on inną nazwę). Został zbudowany na wysokości około 1500-1600 m n.p.m. Wspomnienia więźniów politycznych, którzy tu odbywali karę określają to miejsce jako straszliwe i pozbawione jakiegokolwiek nadziei. Tu między innymi trafiali ludzie skazani na najcięższe wyroki – 10, 15 lat, a po zakończeniu drugiej wojny światowej także ci, którym zasądzono karę 25 lat poprawczego obozu pracy.

Podchodząc na „Sobkę” trzeba wspinać się po bardzo stromym zboczu, a ruchome kamienie ciągle uskakują spod nóg. Pomiedzy nimi wszędzie znajdują się zardzewiałe puszkę po konserwach. Pełno ich przy jednym z maleńkich budynków mijanych po drodze, gdzie wielki kocioł do gotowania kaszy i prymitywnie ręcznie wykonana chochła świadczą o istnieniu jednej z kuchni. Wchodząc pod górę mija się głębokie sztolnie wcinające się poziomo w środek gór, które straszą ciemnymi czeluściami wejść i głębokie, niezwykle wąskie i płytkie tunele zalane wodą i nawet latem wypełnione częściowo lodem – dawne kopalnie, w których pracowali łagiernicy wykonując wyśrubowaną normę. W innym zaś miejscu widać wielkie kamienne wyrobiska kopalni, gdzie odkuwano pionowo skały i wydobywano rudy. Widoczne są resztki kolejki, po której jeździły wagoniki z urobkiem. Od dawnej fabryki przetwarzającej uran, gdzie zaczyna się tę drogę, dotarcie do tego miejsca zajmuje około 5-6 godzin marszu przez górski teren. Z miejsca dawnego łagru „Sobka” rozpościera się przepiękny widok na szczyty gór. Ale kiedy spojrzeć się w dół, to w dolinach i na stokach górskich widać dawne granice i pozostałości łagrowych zon.



Obozowa zona w łagrze „Sobka” (stan obecny);
w dolinie widoczny potok „Szatan”

Na początku lat 50-tych przebywało tu, oprócz innych więźniów, co najmniej kilkuset byłych żołnierzy Armii Krajowej. Ilu ich przeszło w sumie przez ten obóz nie jest jeszcze wiadome. Bronisław Radomski wspominał, że łagier „Sobka” składał się z dwóch dużych drewnianych baraków więźniarskich przylegających do skały, wewnątrz których były jedynie drewniane piętrowe nary, bez jakiegokolwiek nakrycia, koca. Więźniowie spali w tym co mieli na sobie. Przy jednym z baraków była wydzielona i odgradzona służba sanitarna. Przez teren łagru prowadziła droga, na końcu której była łaźnia. Poza tym znajdowały się pod namiotem trzy kuchnie polowe. W lecie wodę czerpano ze strumieni, zimą natomiast topiono śnieg i lód. Więźniowie wstawali około 4.30, ubierali

się i ustawiali przed bramą wyjściową w piątce i pod konwojem byli prowadzeni kilkaset metrów w dół do niżej położonego obozu. Stamtąd każdy z nich zabierał na plecy 2-metrowy kloc drewna na opał (bałan) i kolumna ruszała szybkim tempem w górę niosąc drzewo ze sobą. Potem było śniadanie złożone z wrzątku, zamrożonego chleba, niewielkiej ilości kaszy lub mąki, łyżki oleju i zamrożonego suszonego śledzia. Od 8 do 18.00 lub dłużej trwała praca w kopalni przy pomocy kilofów, łopat i taczek. Norma do wykonania ponad siły. A po pracy znowu zejście po opał i znowu na plecach więźniów były wnoszone kłoc drewna na górę. Potem dopiero kolacja składająca się z chochli kaszy, kawałka chleba i wrzątku. Jakby tego cierpienia było mało jeszcze długi apel połączony z liczeniem więźniów. Zimą mrozy od 45 do 65 stopni Celsjusza (dopiero przy 55 nie wyprowadzano więźniów do pracy).



Jeden z baraków w łagrze „Sobka”

Pozostałości łagru „Sobka” zachowały się wyjątkowo dobrze. Najbardziej zniszczone są oba więźniarskie drewniane baraki, których dachy dzisiaj już zapadły się. Podobno jeszcze kilka lat temu jeden z nich stał w całości. Dzisiaj już bardzo niebezpiecznie jest wejść do ich środka, bo stropy leżą na ziemi lub wiszą tuż nad nią. Pod ścianami stoją jednak jeszcze drewniane nagie przyce i można zobaczyć okna oraz całą konstrukcję baraku. W innych częściach obozu zachowały się pozostałości budynków przemysłowych i administracyjnych z częścią wyposażenia, a powyżej, już za obozem mała elektrownia, która dostarczała prąd do obozu i do kopalni, dzięki czemu nawet, gdy zapadała noc więźniowie pracowali, a cały teren był oświetlony. Nadal dobrze w tym miejscu widać elementy łagrowej strefy: wysokie ogrodzenie z drutu kolczastego, słupy elektryczne oraz tory kolejki. Ogólnie jednak cały teren zabałaganiony jest wielką ilością części maszyn, turbin, a nawet łopat, powywracanych wagoni-

ków, rozrzuconych i powyginanych szyn. Przetrwiała nawet huśtawka wybudowana na jednym z uskoków skalnych ponad obozem, gdzie prawdopodobnie bawiły się dzieci komendanta obozu lub robotników wolnonajemnych, których niewielka liczba przebywała także nieopodal. Wychowywały się patrząc na dolinę pełną pracujących więźniów. Złowieszczy i przygnębiający to widok (zdjęcie tego miejsca i obozu wykonał w 1995 r. Tomasz Kizny).

Ale ostatnim wrażeniem jakie wynosi się z Butugyczagu stojąc na najwyższym miejscu „Sobki”, to widok kolejnych wyrobisk górniczych, które znajdują się po jej drugiej stronie oraz świadomość, że dalej jeszcze w kolejnych dolinach znajdują się następne łagry. A góry kołymskie ciągną się aż po horyzont³.

*

Tragiczna historia Kołomy – jednej z części dawnego archipelagu Gułagu – nadal jest widoczna w tożsamości wielu kołymskich miejscowości i bardzo dużo osób tu żyjących posiada w swojej historii rodzinnej doświadczenia represji sowieckich. Obecnych mieszkańców Kołomy zahartowała ich historia, klimat, przyroda i ciężkie warunki życia. Zima trwa tu przez większość roku, mrozy sięgają poniżej 40-50 stopni Celsjusza, a w niektórych częściach Kołomy jeszcze niżej. Jest to królestwo mrozu, gdzie goszczą częste wichury i zamiecie śnieżne, a krótkie i mało ciepłe lato nie wynagradza zimy. Ziemia jest jałowa i skuta lodem, którego tylko niewielka warstwa topnieje pod wpływem letnich promieni słońca odsłaniając cienką warstwę ziemi. Te warunki powodują, że panuje tutaj surowa i niebezpieczna przyroda, której człowiek do dzisiaj nie ujarzmił.

Moje podróże w głąb Kołomy pomagali mi organizować Rosjanie, którzy poświęcili swój czas, sprzęt i zaangażowanie, aby zabrać mnie w odległe miejsce, gdzie widać tragiczną historię Gułagu. Bez ich pomocy byłoby to niemożliwe. Robili to trochę wbrew sobie, bo dużo chętniej chcieli pokazać mi miejsca, z których są dumni: piękną i dziką przyrodę, krajobrazy mało spotykane w innych częściach świata lub zabrać mnie na górskie i łowieckie wyprawy.

³ Relacja o Butugyczagu opisuje fragment wyprawy autorki na Kołymę w sierpniu i we wrześniu 2013 r. w poszukiwaniu materiałów o Gułagu oraz dotyczących represji Polaków na Kołymie.

RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane były także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth. Obecnie zesłańcze relacje drukuje też rocznik „My Sybiracy” wydawany przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacamy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące deportacji Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony byłego Związku Radzieckiego. (red.)

*

Bohdan Rudawiec – *Z rozkazu najwyższych władz...*

Byliśmy normalną polską rodziną z rodowodem i tradycjami patriotycznymi, tata nauczyciel, kierownik szkoły, mama nauczycielka pisarka, poetka i aktorka, siostra Halinka gimnazjalistka lat 14, no i ja Bohdanek 5 lat. Miejsce zamieszkania Grodno – Polska. Wszystko jeszcze było przed naszą młodą rodziną, cele, zamiary, marzenia. Dla mnie rodzice przygotowywali świetlaną przyszłość. Wybuch wojny i wkroczenie Armii Czerwonej do Polski i do Grodna zniweczył całkowicie wszystkie ich plany. Rozpoczęły się represje, przesłuchania i aresztowania a następnie zesłania na Syberię.

Tata został aresztowany za patriotyzm i ratowanie polskich książek, które przez okupanta sowieckiego przeznaczone były na spalenie. Za tę „zbrodnię” przeciwko Związkowi Sowieckiemu zesłano go do łagru. Mamę, przyjaciela i znajomi ostrzegali przed dalszymi represjami ze strony NKWD, co w stosunkowo krótkim czasie sprawdziło się. Zaczęli nas odwiedzać tajniacy wyrażając chęć kupna różnych rzeczy jak: dywanu perskiego, lisa srebrnego, futer. Mama jeszcze tego nie zrozumiała co nam grozi, ale był to już widoczny znak, że jesteśmy na liście do wywózki, a ci ludzie mieli już tę świadomość.

Pierwsze transporty z deportowanymi odjechały z Grodna już w lutym 1940 r., a my za namową najbliższych przyjaciół mieliśmy się przenieść na wieś i tam się ukryć. Ponieważ mama po długich staraniach dostała zezwolenie od władz więzienia na przekazanie ojcu paczki w dniu 14 kwietnia, nasza ucieczka

musiała się o kilka dni opóźnić. Do podania paczki nie doszło. Wspomniane zezwolenie, to była przewrotność i obłuda okupanta gdyż 13 kwietnia byliśmy już w pociągu wiozącym nas na zesłanie! Przyszli w nocy, uzbrojeni, kolbami karabinów uderzali w drzwi, mama nie otwierała naiwnie myśląc, że odejdą, że zrezygnują, pomyślą, że nikogo nie zastali. Otworzyła dopiero gdy zamierzali sforsować drzwi przy pomocy siekiery. Weszli, trzymając wycelowane w nas karabiny, obawiając się zasadzki. Dopiero jak zobaczyli bezbronną kobietę, a obok niej 14 letnią dziewczynkę wróciła im pewność siebie. Jeden z nich powiedział: „Nu hrabianka sobierajsia” – „Z rozkazu najwyższych władz Związku Sowieckiego jesteście skazana na zsyłkę na Sybir” – taki był wyrok.

Gdy przyszli po nas mama i Halinka jeszcze nie spały odmawiały modlitwę „Pod Twoją Obronę”. Mnie obudziło łomotanie do drzwi, siostra płakała, a ja czułem, że dzieje się coś złego. W końcu też zrozumiałem, że wyrzucają nas z domu. Do dziś mam przed oczami ten rozgardiasz spowodowany rewizją, rzeczy powyrzucane z szafy, książki z biblioteki leżące na podłodze, pościel rozrzuconą w nieładzie. Od tego momentu wszystko pamiętam, chyba spowodował to wstrząs jakiego doznałem po przebudzeniu się i wtargnięciu uzbrojonych obcych ludzi. Mama nie płakała, dostojna i wyniosła dla wroga, lecz wewnątrz całkowicie otępiiała i roztrzęsiona nerwowo patrzyła na to ze zgrozą. W większej części bagaż podręczny, jaki wolno nam było zabrać, pakowany był przez Halinkę, jednak jeszcze jako dziecko, wkładała do niego przede wszystkim swoje ulubione książki i lalkę, a dla mnie parę gumowych krasnoludków, czyli bardzo niepraktyczne jak na Sybir rzeczy. Żadnych dokumentów nie pozwolili nam zabrać. W porozrzucanych rzeczach i książkach na podłodze Halinka zobaczyła teczkę naszego dziadka z dokumentami, rodowodem, historią rodziny, drzewem genealogicznym i innymi starymi pergaminami z pieczęciami lakowymi i wstążkami. Gwałtowność z jaką teczkę podniosła wzbudziła podejrzenie żołdaka, wyrwał jej z rąk i natychmiast ją zabrał. Pozostaliśmy bez dokumentów, utraciliśmy swoją tożsamość, staliśmy się ludźmi znikąd.

Uzbrojonych 3-ch mężczyzn wyprowadzało z domu kobietę z dwójką dzieci, padał deszcz, na dworzec towarowy w Grodnie wieźli nas przez miasto otwartą ciężarówką. Było mi zimno i mokro! Z opowiadań mamy i siostry wiem, że czułem się bardzo skrzywdzony. Gdy dotarliśmy na dworzec inni nieszczęśnicy już tam byli, pakowano nas do wagonów bydłowych jak groźnych przestępców. Jedna prycza dla 3-ch osób. Kobiety, mężczyźni i dzieci w różnym wieku, kilkanaście rodzin w jednym wagonie. Zesłańców żegnał tłum krewnych, znajomych i przyjaciół, ale kordon uzbrojonych żołnierzy nie dopuszczał nikogo w pobliże wagonów. Pamiętam dobrze okrzyki pożegnań i płacz kobiet, ogólny rwetes przekrzykujących się wzajemnie ludzi. Przekazywano sobie ostatnie polecenia i wskazówki, a potem zgrzyt zasuwanych drzwi i dźwięk ryglowanych sztab, który towarzyszył nam już do końca tej naszej dwutygodniowej „podróży”. Pociąg ruszył wraz z pieśnią „Boże coś Polskę” i dopiero teraz mama się rozplakała. Za nami pozostał spokojny, ciepły, zaciszny dom rodzinny, a przed nami daleka, zimna, obca Syberia.

Okno w okno z wilkiem

Od kilku dni szalała burza śnieżna tak zwany „buran”. Sąsiedzi rano odkopywali zasypane śniegiem drzwi od naszego baraku, mamie i innym groziło

spóźnienie się do pracy i różne tego przykre konsekwencje. Moja siostra Halina nie mogła nabrać śniegu, aby po jego roztopieniu ugotować herbatę. W taką zawieję wyjście po wodę do studni wymagało nie lada odwagi, gdyż zdarzały się wypadki utraty orientacji przez śmiałków ryzykujących wyjście z baraku. Pomylenie kierunków w powrotnej drodze i pójście zamiast do baraku w step, to niemal pewna utrata życia, zwana tam „białą śmiercią”. Biel śnieżna zasypywała oczy, widoczność była na odległość wyciągniętej własnej ręki. W obawie przed zaginięciem podczas takiej zamieci niektórzy wysyłali po wodę swoich bliskich zabezpieczając im powrót przy pomocy sznurka przywiązywanego do odzieży, który pociągany przez domowników wskazywał drogę powrotu.

W tym czasie na polecenie lekarza mama dostała pracę zaliczaną do lekich. Była nią woszobojka, czyli obsługa szafy z grubej blachy, pod którą znajdowało się palenisko. Zawieszane w niej ubrania (najczęściej były to kufajki i watowane spodnie) ulegały w ten prosty sposób dezynfekcji, a dokuczliwe insekty ginęły. Aby osiągnąć temperaturę od 60 do 80 stopni w szafie trzeba było utrzymywać stały ogień w palenisku, co miało tą zaletę, że wokół woszobojki było stosunkowo ciepło.

W dniach, gdy zimowa aura była nieco łaskawsza pomagałem mamie dokładać opał do paleniska. Był to jednak środek zimy i nawet wówczas gdy nie było zamieci, temperatury były bardzo niskie. Nie siedziałem jednak w baraku beczynnie, ale tak jak inne dzieciaki, 7/8-latki musiałem sam sobie radzić i pomagać mamie i siostrze. Dzieliliśmy zajęcia sprawiedliwie. Halinka jako starsza (16 lat) bez względu na pogodę, miała obowiązek iść z kartkami po dzienną porcję gliniastego chleba, która nam przysługiwała (200 g dla osoby pracującej i po 100 g dla dzieci). Chleb był jak glina, w dodatku zmarznięty, co powodowało, że ważył więcej niż wynosiła jego faktyczna waga. Często trzeba było długo czekać na mrozie, ponieważ dowozili go nieregularnie. Dziś nie smakuje tak ciastko, jak wtedy ten gliniasty chleb i niezapomniane są chwile, gdy wieczorem po powrocie mamy z pracy siadaliśmy w trójkę na pryczy i niemal rytualnie zjadaliśmy, każdy swoją porcję z uprzednio na równe części podzielonego kawałka. Wtedy obiecywaliśmy sobie wzajemnie, że gdy Dobry Bóg da powrócić kiedyś do Polski, każdy z nas kupi bochenek chleba żeby go samemu zjeść. Tego przyrzeczenia nie dotrzyaliśmy, ale szacunek dla chleba już na zawsze pozostał, podobnie jak podświadomy strach przed tym, że w pewnym momencie może go zabraknąć. Marzenia nasze o tym co będziemy jedli po powrocie do Polski, na które wówczas nie było żadnej nadziei, popijaliśmy wodą ze stopionego śniegu.

Często do moich obowiązków należało przyniesienie przysługującej raz dziennie na kartki, dla każdego porcji woda-zupy. Po taką zupę w skład, której wchodziła woda, a w niej kilka ćwiartek zielonych, niedojrzałych jeszcze pomidorów, albo inną dla urozmaicenia zwaną kapuśniakiem, czyli też woda z kilkoma pływającymi listkami kapusty. Chodziłem po tę zupę z dwoma puszkami po konserwach, jak z wiaderkami na drucianych rączkach. Ta „głodna kuchnia” znajdowała się w nieodległym sąsiednim baraku-lepiance. Udając się tam musiałem mieć na głowie czapkę uszatkę i ubraną kufajkę. Obydwie rzeczy były z osoby dorosłej, zatem czapka spadała mi na oczy, a w kufajce miałem podwinięte rękawy. A gdy śnieżycą, wiatr i mróz zelżały droga po zupę była łatwiejsza.

Stale jednak głód doskwierał ludziom i zwierzętom, a wygłodzone wilki podchodziły niemal pod zabudowania. Od czasu do czasu słyszało się, że ośmielone głodem bestie kogoś rozszarpały. Dużo nie brakowało żeby i mnie to się przytrafiło, gdy wracałem ze zdobyczną i drogocenną zupą, ostrożnie pokonując kilka oblodzonych schodków, żeby nie rozlać gorącej wodo-zupy i nie pozbawić całej naszej rodziny „kolacji”. Było ciemno, późne popołudnie, około godziny 16-tej. Gdy oderwałem wzrok od zlodowaciałej i śliskiej powierzchni śnieżnej ścieżki, ujrzałem wpatrujące się we mnie zielone oczy wilka w odległości 5, a może 7 metrów ode mnie. Stałem jak sparaliżowany, on siedział w pozycji wyczekiwania, widocznie zastanawiał się, czy zaatakować w takiej bliskości siedzib ludzkich. A może powstrzymywało go to, że był sam?

Myśli kotłowały mi się, i podpowiadały co robić? Co będzie z zupą? Chyba instynkt samozachowawczy sprawił, że postanowiłem powoli wycofać się. Czy robiłem to intuicyjnie? Czy ze względu na zupę (tego już nigdy nie ustaliłem)? Ale tak samo jak wilk we mnie, tak ja wpatrując się w tę żarłoczną bestię, ostrożnie cofałem się, aż dotarłem do schodków stołówki i dopiero wtedy zacząłem krzyczeć: Wołk! Wołk! Wybiegło kilku mężczyzn z łopatami do odśnieżania. Wilk niechętnie się wycofał i wnet zniknął w ciemnym stepie, a pode mną po tym spotkaniu długo jeszcze drżały nogi. Opatrzność Boża mnie uratowała! Nie było mi więc dane stać się ofiarą wilka, gdyż sam byłem jak ten wilk stepowy, gdy starałem się radzić sobie w różnych skrajnie niebezpiecznych sytuacjach.

*

Donat Poważynski – *Zniewolone dzieciństwo*

Okres po drugiej wojny światowej, sprawił, że mieszkańcy tzw. Kresów Wschodnich mieszkają obecnie w różnych rejonach naszego kraju, a wśród nich są także mieszkańcy Słonima, miasta mojego dzieciństwa. Niewielu z ich zapewne jeszcze dzisiaj pamięta, że Słonim leży w dolinie Szczary przy ujściu do niej Issy i zaliczany jest do najstarszych oraz sławnych miast kresowych ziem Rzeczypospolitej. Jego dzieje wypełnione były zróżnicowanymi etnicznie plemionami, walkami o prymat władzy, rozwojem i upadkami następującymi po zbrojnych najazdach. Z miastem związane są postaci najrozmaitszej maści – przedstawiciele rodów rycerskich, osoby świeckie i duchowne żyjące w okresie gdy czas miecza i walki był silnie powiązany z tą ziemią i miał ogromne znaczenie w jej rozwoju. Pojawiają się one w różnych sekwencjach bezpowrotnie minionych stuleci, nieraz z ostrością konturów, z których jedne czas wyostrzył, drugie skutecznie zatarł.

Dość wspomnieć, a dobrze to pamiętam, że w okresie międzywojennym z wieży strażackiej Słonima, codziennie o godzinie dwunastej rozlegał się hejnał Ogińskiego. Imię tego zacnego włodarza Michała Kleofasa Ogińskiego nosiła też jedna z ulic oraz kanał, który zawdzięczał swoje powstanie tej zacnej postaci związanej z dziejami miasta. Kanał ten łączył Dniepr z Niemnem przez Szczarę i jezioro Wyganowskie. W latach 1867-1883 spławiano nim drewno do Morza Bałtyckiego. Ziemia Słonimska przechodziła swoje losy, zabory, rozwój, pożary, odbudowy i upadki a jej mieszkańcy syberyjską katorgę, na którą zsyłano nie tylko Polaków, ale i mieszkających tu Tatarów oraz Białorusinów.

Podczas pierwszej wojny światowej miasto przeżyło inwazję bolszewickie, podczas których doznało ciężkich ofiar wielu najświetlejszych jego obywa-

teli. Między innymi w okrutny sposób zamordowano wówczas słonimskiego proboszcza ks. Ignacego Jana Webera, którego grób znajduje się w kościele na tzw. Zamościu. Trzeba też wspomnieć imponujące jednością zróżnicowane etnicznie społeczeństwo tego kresowego miasteczka. Dodajmy tu, że np. w 1937 roku pogrzeb Tatarskiego płk. Bojraszewskiego, pierwszego po wojnie światowej burmistrza Słonima stał się, rzecz można, wielką manifestacją wszelkich stanów i grup etnicznych składających w ten sposób hołd pamięci temu Człowiekowi wielce zasłużonemu dla rozwoju miasta i szacunku dla jego mieszkańców. Wówczas to cała ulica Tatarska zapełniła się, jak nigdy, tłumem Polaków, Białorusinów oraz Żydów.

W okresie międzywojnia kresowy Słonim żył swoim spokojnym życiem. Miasto braci Ogińskich, położone malowniczo nad piękną rzeką Szczarą i kanałem Ogińskiego, w który zamieszkiwały żyjące zgodnie cztery diaspory – polska, żydowska, białoruska i tatarska – posiadał cztery kościoły rzymskokatolickie, cerkiew prawosławną, synagogę oraz meczet. Splendoru dodawały mu stacjonujące tu dwa pułki piechoty – 79 i 80, które podejmowały wiele działań patriotyczno-edukacyjnych z wyraźnym adresem do młodzieży. Pamiętać więc trzeba, że dorobek z tego zakresu był znaczący, częstokroć też nastawiony na sprawy żywotne dla życia miasta i jego mieszkańców. Scharakteryzowane tu w wielkim skrócie i ze znacznym zubożeniem dzieje miasta, są o wiele bogatsze i wielostronne tematycznie.

Tu wspomnę, że po śmierci Taty w 1936 r., który był kapelmistrzem orkiestry stacjonującego w Słoniemiu 79 pułku piechoty, Mama – absolwentka Wyższej Szkoły Kupieckiej w Petersburgu przystąpiła do odbudowy naszego drewnianego domu, który wówczas spłonął. W roku 1938 cała nasza rodzina, składająca się z pięciu osób, wprowadza się do nowego domu. Radość z własnego kąta trwała jednak zbyt krótko. Wrzesień 1939 roku był wyjątkowo pogodny a mieszkańcy otulonego „babim latem” Słonima dowiedzieli się o tym, że Niemcy napadły na Polskę, a w ślad za tym 17 września 1939 roku hordy bolszewickie wkroczyły do miasta. Fakt ten przyjęto ze zgrozą i tylko niektórzy spośród ludności żydowskiej i białoruskiej witali bolszewików chlebem i solą wykrzykując „My Was żdali 20 let”!

Okupacja sowiecka rozpoczęła się aresztowaniami, grabieniem majątków, politycznymi mityngami, walką z religią, której najwidoczniejszym przejawem występującym w szkołach była ateizacja dzieci. Usiłowano odsunąć je od Boga i religii – głosząc hasła „Boh daj pirog” i „Sowiet daj kanfiet”. Oczywiście Pan Bóg pierogów nie dawał, za to Sowiet obdarowywał dzieciaki ciurkami. Oczywiście tego rodzaju spektakle przekonywały wyłącznie dzieci z rodzin białoruskich i żydowskich. Początki roku 1940 stały się tragiczne dla naszej rodziny. 15 marca 1940 r. w nocy został aresztowany mój brat Edward, mający lat 19 i osadzony w więzieniu słonimskim. Po miesiącu przewieziono go do więzienia w Orszy, gdzie odbyła się rozprawa sądowa, podczas której otrzymał wyrok – 5 lat łagru w okolicach Archangielska.

W niespełna miesiąc później (13. kwietnia.) o brzasku dnia enkawudzista z dwoma cywilami, prawdopodobnie nacjonalistami – białoruskim i żydowskim przyszedł do naszego domu i po rewizji nakazał: „Sabirajties”. Pojedźcie tam, gdzie wasz syn. I tak rozpoczęła nasza tułaczka wiodąca zesańcym szlakiem z miasta mojego dzieciństwa do „sowieckiego raj”!

Dwa tygodnie minęły, gdy towarowy eszalon zatrzymał się na malutkiej stacji kolejowej Pietuchowo w północnym Kazachstanie przed Pietropawłowskiem. Z 65 wagonów bydłęcych wyległo na pobocze torowiska kilkaset polskich zesłańców – kobiet, mężczyzn, dzieci i starców, wystraszonych oraz wygłodzonych, aby rozpocząć dalszą wędrówkę w nieznanym rejonie tej ziemi. Moją rodzinę – matkę, dwie starsze siostry i starszego brata – załadowano wraz z pięcioma innymi rodzinami na rozklekotany „gruzawik” (samochód ciężarowy) i ruszono w nieznaną stronę. Jechaliśmy kilka godzin przez stepy i lasy brzozy, w których miejscami leżał jeszcze śnieg, a był to już początek maja 1940 roku. Wreszcie przyjechaliśmy do niewielkiego „pasiołka” o dźwięcznej nazwie Sow-Ług. Ujrzałem dwa szeregi malutkich ziemianek ledwie wystających z ziemi, z malutkimi oknami usytuowanymi przy samej ziemi. Osada wyglądająca dziwnie, położona była dość malowniczo, bo dookoła rósł olbrzymi las ze smukłymi i białymi jak śnieg brzozy. Enkawudzista, który nas eskortował, przedstawił przewodniczącemu kołchozu (był to kołchoz typowo rolniczy) przywiezionych polskich zesłańców i nakazał zakwaterować wśród rodzin rosyjskich.

Zamieszkaliśmy w jednoizbowej ziemiance z kuchnią, w której był olbrzymi piec chlebowy, dostosowany również do spania. Ściany i podłoga ziemianki były wysmarowane gliną zmieszaną z krowim łajnem. Smród był niesamowity i nie do zniesienia. Rodzina rosyjska składała się z czterech osób a nas doszło jeszcze pięć, więc można było sobie wyobrazić, jak w tak małym pomieszczeniu musiało zmieścić się dziewięć osób. Nie mieliśmy żadnego wpływu na to, aby warunki naszego pobytu zmienić na lepsze. Pomału rozlokowaliśmy się w tym dziwnym mieszkaniu, a każdy z nas był jakby zamurowany. Nie wiedzieliśmy po prostu, po co nas tu przywieziono i za co, i za kogo mamy cierpieć?

Mając skończonych dziewięć lat i ukończoną jedną klasę szkoły powszechnej w Słonimie, nie zdawałem jeszcze sobie sprawy z tego wszystkiego, co się wokół dzieje. W pierwszej chwili nawet na myśl mi nie przychodziło, że w tych warunkach i w takim otoczeniu przyjdzie mi żyć. Od samego początku nie opuszczała jednak nas nadzieja, że ten pobyt jest tymczasowy, że to wszystko nie będzie trwało długo. Ta myśl pozwalała nam nie rozpaczyc nad tą nową sytuacją oraz prosić Boga o pomoc i przetrwanie. Na nasz widok mieszkańcy kołchozu powychodzili ze swoich ziemianek i z ciekawością obserwowali nieznaną przybyszów. Byli poubierani w dziwaczne łachmany, a dzieci, przeważnie bosonodzy chłopcy, mieli głowy ostrzyżone na zero. Dziwny to był widok, bo dotychczas nikt z nas w życiu nie przebywał w takim środowisku. Określano nas, jako: „bieżeńcy” (uciekiniery), „polskie pany” i wrogowie Sojuza. Większość mieszkańców tej osady było analfabetami, a jedyną w kołchozie szkołę zamknięto, bo nie było nauczyciela.

Po krótkim zapoznaniu się z życiem kołchozu i jego mieszkańcami, dostaliśmy prowiant w postaci chleba i słoniny. Mogliśmy wreszcie, jako tako zaspokoić głód, bo żywność, którą mieliśmy w pociągu już dawno się skończyła. Dzięki temu, że Mama ukończyła w Petersburgu „Wyższe Kamierczewskoje Uczyliszcze” (Wyższa Szkoła Kupiecka) i znała bardzo dobrze język rosyjski, mogła swobodnie prowadzić konwersację z tutejszymi mieszkańcami i uzyskać wszelkie informacje na temat życia i pracy.

Pierwszy okres pobytu przebiegał dość monotonnie. Nasz przyjazd do Sow-Łagu zbiegł się ze świętem pierwszego maja i pierwszym dniem prawosławnej Wielkanocy. Chociaż wszelkie święta religijne były zakazane, to tu w dalekim Kazachstanie Rosjanie obchodzili je, jako rosyjską tradycję. Przeważnie w każdej ziemiance była ikona ozdobiona haftowanymi długimi rącznikami. Ponieważ zbliżał się okres żniw, obowiązkowo do prac polowych zmuszano wszystkich, nawet dzieci, które ukończyły dziesięć lat. Dziwołagiem karnym w kodeksie bolszewickim był artykuł, który zezwalał wydawać wyroki już na dwunastoletnie dzieci. Oczywiście dzieci wykonywały w polu prace pomocnicze, jak plewienie buraków i ziemniaków oraz przy sianokosach i zwózce zboża do mechanicznych młockarni.

Pierwszą pracę rozpocząłem od obsypywania ziemniaków bardzo ciężką „haczką”. Po takiej całodziennej pracy nie czułem ani rąk, ani nóg. Lżejsza była praca przy zgarnianiu siana drewnianymi grabiami. Z zaciekawieniem przyglądałem się kombajnom zbożowym, które widziałem po raz pierwszy, dziwnym traktorom na stalowych kołach, zakończonych ostrymi zębami, żniwiarkom zwanym „łabagrejkami”. Ponieważ lato trwało tu bardzo krótko, dlatego w czasie żniw zboże koszone i układano w stogi, żeby w okresie zimy można było je młócić. Uprawiano przeważnie pszenicę, żyto, proso, słonecznik, a z roślin: ziemniaki i buraki pastewne. Przy wykopkach ziemniaków nie stosowano żadnej mechanizacji. Mężczyźni i kobiety wykopywali je szpadłami, a najczęściej dzieci zbierały je do wiadra i sypały na kopce. Wszystkie prace polowe wykonywano od świtu do zmierzchu. Dorośli pracowali na okrągło, dzień i noc. Na pole przywożono posiłki w postaci chleba i mleka lub jakiejś zalewajki. Za wykonywaną pracę rozliczano dorosłych tak zwanymi „trudodniami” (roboczo-dniówki), dzieciom nic nie naliczano. Stosowano tu stałą sowiecką zasadę: „kto nie pracuje ten nie je” (nawet dzieci).

Każdy kołchoźnik miał półhektarową działkę, na której przeważnie sadił ziemniaki i trochę warzyw oraz tytoń. Żadnego zboża nie wolno było uprawiać. Wolno natomiast było trzymać krowę, jednego cielaka, dwie świnie, pięć owiec oraz kury i gęsi. Z każdego zabitego zwierzęcia trzeba było oddawać kołchozowi skórę, nawet ze świni. Do roku 1941, to znaczy do wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, mieszkańcy kołchozu żyli dość dobrze, bo mieli, co jeść. Wybuch wojny spowodował, że z kołchozu zabrano do wojska wszystkich mężczyzn w wieku od osiemnastu do sześćdziesięciu lat. Zabrano wszystkie zdrowe konie i opróżniono ze zboża wszystkie magazyny. Widmo głodu rysowało się przed oczyma Polaków, bo przecież żadnej działki uprawnej nie mieli, a w kołchozie nie wiele mogli liczyć, że za wykonaną pracę dostaną trochę zboża czy ziemniaków.

Tu wspomnę, że na mocy porozumienia Sikorski – Majski, brat mój Edward zwolniony został z łagru, skąd po uciążliwej wędrówce dotarł obdarty i wynędzniały do kołchozu w Kazachstanie gdzie przebywaliśmy razem z Mamą. Nie długo jednak pozostawał z nami bowiem już w grudniu 1941 roku wyruszył na kolejny uciążliwy syberyjski szlak. Tym razem podążał do formującej się w ZSRR Armii Polskiej pod dowództwem gen. Władysława Andersa. Wędrówka ta zakończyła się po dwu Na początku kwietnia został aresztowany 18-letni brat i wysłany do łagru w okolicach Archangielska. Po dwóch miesiącach w Uzbekistanie, gdzie w lutym 1942 roku znalazł się w Wojsku Polskim, w formacjach którego wędrował przez Persję, Palestynę, Egipt, Liban, kończąc ten wojenny szlak udziałem w bitwie pod Monte Cassino.

Pierwsza zima na zesłaniu upłynęła w miarę spokojnie, chociaż mrozy były duże i zamiecie niesamowite. Po żniwach i wykopkach w 1941 roku nikt nie dostał za wykonaną pracę. Wszystkie zbiory z pola były zwożone do magazynów, a stamtąd zabierały je przyjeżdżające z Presnowki (powiat) samochody. W tym roku zacząłem wozić zboże wymłócone przez kombajn do magazynu. Miałem wóz skrzyniowy zaprzężony w dwa wychudzone byki i tak w ciągu dnia po kilka razy kursowałem tam i z powrotem. Z kombajnu zboże sypano bezpośrednio do skrzyni, a w magazynie trzeba było rozładować je za pomocą drewnianej łopaty. Ile w ciągu dnia przerzuciłem zboża, jako jedenastoletni chłopak, trudno mi dzisiaj wyliczyć. Po takiej całodzienniej harówce zmęczenie było okropne. Jediną pociechą było to, że po skończonej zwózce mogłem po kryjomu wynieść ze skrzyni trochę zboża i napełnić kieszenie. Musiałem to robić bardzo ostrożnie, bo gdyby mnie przy tym przyłapano, to groził mi sowiecki poprawczak. Ale dzięki Bogu, jakoś ten proceder się udawał. Wieczorem można było zboże zemleć na żarnach i upiec jakieś placki lub ugotować zacierkę.

Zima tego roku nadeszła dość szybko i wszystkich zaskoczyła, szczególnie nas Polaków, olbrzymimi opadami śniegu i srogim mrozem, dochodzącym do pięćdziesięciu stopni Celsjusza. W okresie zimowym, kiedy większą część dnia spędzałem w ziemiance, Mama udzielała mi lekcji z języka polskiego i rosyjskiego oraz matematyki. Według jej słów byłem uczniem dość zdolnym i szybko nauczyłem się pisać oraz czytać po rosyjsku. Język polski miałem dość dobrze opanowany, ale żeby go nie zapomnieć, dyktowała mi z pamięci różne wiersze lub opowiadała bajki, a ja to wszystko musiałem pisać. Jediną polską książkę, którą mogłem czytać, stanowiła książeczka do nabożeństwa. Podobnie było wśród innych zesłańców bo akurat nikt z Polaków przebywających w tej co i my osadzie jadąc na zesłanie nie zabrał żadnych polskich książek. Tak więc codzienna modlitwa poranna i wieczorna w języku polskim pozwalała utrwać mowę ojczystą.

W kołchozie była mleczarnia, gdzie odwirowywano śmietanę, a z odtłuszczonego mleka produkowano kazeinę. W mleczarni był dość duży piec z w murowanym weń był olbrzymim kotłem napełnionym wodą. Do wody wstawiało się bańki z mlekiem celem podgrzania do odpowiedniej temperatury, aby dokładnie można było odwirować śmietanę. Codziennie chodziłem do tej mleczarni. Rąbałem drzewo, paliłem pod kotłem, a często ręczną wirówką odwirowywałem śmietanę. Za wykonywaną pracę dostawałem parę litrów serwatki i mogłem napić się mleka, a po skończonej pracy oblizywać ze śmietany wyjęte z wirówki talerzyki, potem zaś dokładnie je umyć. Jeżeli w domu były ziemniaki, to serwatka smakowała jak najlepsza śmietana.

Aby zdobyć trochę ziemniaków i pszenicy, Mama z dwiema siostrami haftowała poszewki na poduszki dla Rosjanek i wyszywały różne wzory na długich ręcznikach. Mój brat, starszy ode mnie o trzy lata, wpadł na pomysł, żeby z sowieckich kopijek wyrabiać pierścionki i krzyżyki. Zdobył kawałek szyny, która zastępowała mu kowadło, młotek, przecinak, pilnik i przebijak. Warsztat był gotowy. Wykonane pierścionki i krzyżyki wymienialiśmy przeważnie na ziemniaki, a czasami dostawaliśmy parę garści prosa lub pszenicy. Doszliśmy do takiej wprawy, że każdy następny wyrób był doskonalszy.

W okresie zimowym moim i brata obowiązkiem było dostarczanie do domu drzewa na opał. Braliśmy wówczas siekiery i nie zważając ani na mróz, ani na śnieżycę szliśmy do lasu, aby ściąć brzozę, potem przyciągnąć ją do domu i popiłować na wymiarowe kłocce. Ręce z mrozu po prostu nam kostniały, a nóg w ogóle się nie czuło. Z takiej wyprawy wracałem z płaczem, z bólu nie mogłem wytrzymać. Mama nacierała mi ręce i nogi śniegiem, aby nieco złagodzić ból, zabieg ten zawsze pomagał. Takich wypraw do lasu w czasie zimy było sporo. Często trzeba było zaopatrzyć w drzewo kogoś z Rosjan, bo za taką pracę dostawaliśmy zawsze trochę chleba lub ziemniaków. Na tym odludziu nikt nikomu za darmo nic nie dawał, za wszystko trzeba było płacić pracą, często ponad siły. Pocieszeniem zawsze było to, że po takiej pracy można było wleźć na piec i ogrzać przemęczone ciało.

Oprócz głodu zaczęły nam dokuczać wszelkiego rodzaju insekty. Wszy, karaluchy i pluskwy stały się plagą nie do zniesienia. Wszędzie ich było pełno i nie było żadnego sposobu, żeby je wyniszczyć. Najgorsze były noce, kiedy karaluchy z sufitu spadały na twarz, a pluskwy łążyły wszędzie jak szarańcza. Najgorzej było z wszami, bo te były zarówno w pościeli, jak i w ubraniu, we włosach na głowie, a nawet na brwiach słowem wszędzie tam gdzie były włosy! Mydła nie było, a jedynym środkiem stosowanym do mycia podłóg był popiół z brzozy. Rozpuszczony w gorącej wodzie czynił ją miękką. W takiej wodzie prano bieliznę, w niej też się kąpano. Jedyna w kołchozie bania była najczęściej odwiedzana przez Polaków. Rosjanie już od dawna przyzwyczaili się do takich warunków i to ich nie raziło. Rzadko mieli grzebienie i często jedni od drugich pożyczali je, żeby wycesać wszy.

Przyglądając się takiej sytuacji brat wpadł na pomysł (on miał zawsze zadziwiające pomysły), żeby wyrabiać grzebienie z bydłęcych rogów. Nazbieraliśmy trochę rogów, gotowaliśmy je kilka godzin, a następnie młotkiem rozbijaliśmy na cienkie płytki, nacinaliśmy nożem ząbki i po ogólnej obróbce grzebienie były gotowe. Oczywiście zaraz wymienialiśmy je na żywność z Rosjanami. Był to bardzo dobry pomysł. Wyrób igieł do szycia i gwoździ też był ważnym, doskonałym pomysłem i sposobem na zdobycie żywności, która jakże często zaspakajała nasz totalny głód. Okres zimowy zawsze sprzyjał uczeniu się czegoś nowego, a do tego wszystkiego mobilizował zawsze nieustający głód. Wykonywałem wszystkie prace, za które mogłem coś otrzymać z żywności, a więc odśnieżałem, nosiłem wodę ze studni na drewnianym pałaku ułożonym na ramionach. Taki pałak, zwany „koromystem”, obciążony dwoma wiadrami wody wpijał się w barki jak drut kolczasty. Po takiej pracy miało się wszystkiego dosyć.

Dzięki Matce nauczyłem się dobrze czytać po rosyjsku, nawet lepiej aniżeli moi rosyjscy rówieśnicy. Książki do czytania mogłem zdobyć jedynie u weterynarza Puzyrowa. Całą jego niewielką bibliotekę potrafiłem przeczytać nawet kilkakrotnie. Czytałem Puszkina, Lermontowa, Gogola, Dostojewskiego i Tołstoja. Przeważnie czytałem na głos w rodzinie Gopcowych, gdzie było dwoje dzieci w moim wieku – córka Wala i syn Tola. Na takie wieczorne czytanie przy „kopciółce” przychodziły inne dzieci. Moja znajomość języka rosyjskiego wzbudzała szczególne do mnie zaufanie nie tylko wśród rówieśników, ale i wśród dorosłych Rosjan. Nawet przyłgnęło do mnie przezwisko – „mudryj Jożik” (mądry Jeżyk). Jeżyk – z uwagi na to, że zawsze kurczyłem się z zimna, a mądry – ze względu na moje wiadomości i wspomnianą umiejętność

czytania. Ponieważ Gopcow był szewcem i szył buty z cholewami, zacząłem przy nim uczyć się zawodu szewskiego. Robiłem drewniane gwoździe, tak zwane szpilki, nici i dratwy z włókna konopi. Nauczyłem się szyć cholewki i przybijać spody. Po kilkumiesięcznej praktyce potrafiłem już samodzielnie uszyć sobie buty z cholewami. Wprawdzie długo w tych butach nie chodziłem, bo musiałem dać bratu Edwardowi, który przybył do nas z łagru w kapciach i po krótkim pobycie wyruszył do Armii Polskiej tworzonej w ZSRR przez gen. Władysława Andersa, właśnie w moich butach.

Trwająca wojna sowiecko-niemiecka przyczyniła się do tego, że nawet Rosjanie zaczęli głodować. Tylko jakoś sobie z głodem radzili. Po kilku zmianach miejsc zamieszkania usadowiliśmy się w końcu u Wronowej, która mieszkała z dwoma synami. Pożycie nasze było zgodne i układało się dobrze. Taką jaśniejszą osobistością w Sow-Ługu była Wasilisa Mielnikowa, zwana popularnie „babuszką Wasiunój”. Była to kobieta 60-letnia, służyła w konnej armii Budionnego i coś niecoś słyszała o Polsce. Nie umiała czytać i pisać, a zajmowała się wyłącznie hodowlą królików. Miała ich duże stadko w związku, z czym trzeba było przygotowywać dla nich sporo pokarmu. Tak się złożyło, że stałem się stałym bywalcem „babuszki Wasiuni”, a potem głównym hodowcą królików. Nauczyłem się posługiwać kosą, żeby kosić trawę. Uprawiałem tytoń i przygotowywałem machorkę i „kareszki”, bo babuszka była jedyną kobietą w kołchozie, która paliła papierosy. Zwijała z gazety stożkowy rulonik, wsypywała do niego tytoń i tak paliła. W okresie zimowym dokonywałem uboju królików, ściągałem skórki. Po ich wysuszeniu na drewnianych palikach, wyprawiałem je za pomocą skwaszonego zacieru, sporządzonego z żytniej mąki. Oczywiście wszystkie jelita królicze przeznaczone były dla mnie. Sporządzałem z nich zupę, coś w rodzaju flaków. Bawiłem się również w weterynarza, bo bauszka Wasiunia miała dużo samców, które trzeba było kastrować. Za pomocą ostrego scyzoryka nacinałem błonę i wycinałem jądra. Doszedłem do bardzo dużej wprawy. Za swoją pomoc w hodowli dostałem parę królików. Po jakimś czasie, gdy się rozmnożyły, miałem ich około piętnastu. Przyszło jednak nieszczęście. Ulewny deszcz zalał zagrodę i wszystkie się potopiły. Przez cały dzień płakałem, a potem musiałem ściągać skórki i patroszyć. Co prawda było na jakiś czas, co jeść, bo mięso królicze nawet padnięte smakowało całej rodzinie, ale żal po stracie pozostał.

Książki, o których wspomniałem, musiałem też czytać w wolnych chwilach dla babuszki Wasiuni. Praktycznie cały okres zimowy na okrągło miałem pracę i zajęcie w różnych zawodach. Najcięższe chwile przeżywałem, gdy przyszło mi iść z 16-kilogramowym workiem pszenicy na plecach do wiatracznego młyna, który stał poza kołchozem na niewielkim wzniesieniu. Oczywiście młyn pracował wtedy, kiedy były silne wiatry, a więc „burany” i zawieje. Brnąłem po kolana w śniegu z ciężarem na plecach wśród zamieci. Nieraz po prostu nic nie było widać. Szło się na odgłos skrzypiących skrzydeł wiatraka. Droga powrotna taka sama – śnieg i mróz, do tego wałący z nóg wiatr ze śniegiem. Pocieszeniem była zdobyta porcja mąki, którą dostawałem od gospodarza. Przyniesiona do domu zaraz była zagospodarowana przez Matkę. Placki, sporządzone na samej wodzie i upieczone bezpośrednio na fajerkach, smakowały jak najlepsze ciasto. Był też taki okres, kiedy głód tak dokuczał, że myślało się o zupełnym zagłodzeniu. Nawet babuszka Wasiunia nie mogła mi pomóc. Poradziła,

aby iść do kołchoźników, którzy jeszcze jako tako dawali sobie radę, i prosić o kawałek chleba lub parę ziemniaków. Nauczyła mnie, jak prosić: *Podajcie miłaścinu Christa radzi* (Dajcie jałmużnę radzi Chrystusowi). Z płaczem i ze wstydem odwiedzałem niektórych Rosjan prosząc o żywność. Zawsze trochę się uzbierało i można było poratować całą rodzinę.

Każda nadchodząca zima przynosiła na zesłaniu nieopisane głodowe życie i ciężką pracę w mroźnych i śnieżnych warunkach. Ileż to razy Mama ze starszą siostrą Lodzią musiały wędrować po śnieżnym stepie do Pietruchowa czy Presnowki, żeby dokonać wymiany jakiejś odzieży na mąkę. Srebrny kornet – pamiątka po ojcu – został wymieniony na pud pszenicy. Cztery złote krzyżyki z łańcuszkami, pamiątki pierwszej komunii, zamieniono na mąkę. W taki sam sposób Mama pozbyła się złotych kolczyków i pierścionka, a w najbardziej krytycznej sytuacji wymieniła na mąkę kilim, który dotychczas służył całej rodzinie, jako kołdra.

Nastanie wiosny zawsze napawało radością i nadzieją, że niedługo skończy się nasza udręka, ale była to tylko nadzieja. Z tą nadzieją żyliśmy i to dawało nam siły do przetrwania. Ta ziemia syberyjska, określana, jako „ziemia nieludzka”, w okresie wiosny i lata stawała się ziemią żywicielką. Wyruszyłem wówczas z workiem na rozmokłe pola i wygrzebywałem z ziemi zamrożone ziemniaki, które po ugotowaniu były czarne jak węgiel. Kiedy pola opustoszały ze śniegu i pokazały się rżyska po skoszonych zbożach, zbierałem kłosa, które suszyłem, wyłuskiwałem zboże i mieliłem na żarnach, żeby otrzymać mąkę. Wiosna przyniosła pożywienie – zbierałem pokrzywę i lebiodę na zupę, a czomber na herbatę. W rejonie naszego kołchozu były dwa jeziora. Jedno, Łabanowo, było prawie martwe – zarosnięte trzcina, a w wodzie żadnej ryby. Drugie, Czyścimir, obfitowało w dość duże ilości drobnych ryb – przeważnie karasi – i gromadziło w swoich szuwarach sporą ilość wodnego ptactwa.

Gnieździły się tam łyski, nurki i dzikie kaczki. Wędrowałem po zimnej wodzie boso i wyszukiwałem ptasich jaj. Jeżeli udało mi się trochę nazbierać, to pożywienie było dla całej rodziny. Często w znalezionych gniazdach, gdzie już były jaja zapłodnione. Ustawiałem też w sposób zamaskowany: kapkany” (metalowe sprężynujące szczęki), w które od czasu do czasu dało się złapać jakiegoś ptaka. Nie gardziłem też jajami wrony czy sroki, a wieczorem w oborze łapałem wróble i z nich przyrządzaliśmy coś w rodzaju rosółu. Przysmakiem też były jeże. Złapanego jeża wrzucało się do pieca i żywcem opalało się z kolców, a następnie patroszyło. Mięso jeża, podobne do mięsa dzika, przerośnięte było tłuszczem. Zdechłego konia, którego wywieziono poza „pasiołek” i zakopano w dole, odkopywaliśmy w nocy i wycinaliśmy kawałki mięsa, ażeby w domu Mama mogła coś z tego mięsa ugotować. Zdarzały się też takie przypadki, kiedy napotykalismy wilka, który upolował dziką kozę i pożerał wnętrzności. Wówczas grupa wyrostków ruszała z widłami, krzycząc i gwizdząc, żeby odgonić wilka. Wystraszony wilk pozostawiał ofiarę, a my zbieraliśmy resztki mięsa i dzieliliśmy je między sobą.

Nad brzegiem jeziora Czyścimir znajdowała się zniszczona łódka, którą z bratem połataliśmy i zaczęliśmy pływać po jeziorze. Właścicielem łódki był Mielnikow, który miał niewidomą żonę. Swego czasu łowił ryby siecią i „morduszkami” (kosze plecione z wikliny z podwójną gardzielą). Był już

w podeszłym wieku i strasznym dziwakiem. Wykonał sobie trumnę drewnianą, w której spał. Nauczył nas wiązać sieci z nici sporządzonych z włókna z konopi oraz wykonywać „morduszki” z wikliny. Dostyc szybko nauczyłem się robić sieci oraz „morduszki”, a także ustawiać je na jeziorze przeważnie na noc. Rano, gdy się przyplęnęło łódką pod ustawione sieci i „morduszki”, widać było, że połów się udał. Po zabraniu ryby do domu przeważnie ją gotowano, a że była drobna, jadło się ją z ościami.

Plagą w okresie lata były komary i olbrzymie bąki, które strasznie dokuczały, szczególnie bydłu. Zdarzało się nieraz, że ugryziony przez bąka byk dostawał szału i gonił na złamanie karku, ciągnąc za sobą wóz, który w końcu rozwałał gdzieś na drzewie. Z komarami walczyło się odganiając je brzoową miotełką i rozpalaniem ogniska wysuszonym łajnem bydłęcym. Ze wszystkiego, czym natura obdarzyła nas na zesłaniu wspomnieć należy i o tym, że bardzo uciążliwe też były wszy, pluskwy, karaluchy, bąki i komary. Nie było żadnych środków ani sposobów na ich likwidację. Wszystko było tylko półśrodkami. Tej strasznej, przygnębiającej, uciążliwej i okrutnej plagi insektów trudno mi do dzisiaj zapomnieć!

Wspomnieć tu należy, że nasz kołchoz był prawie rosyjsko-narodowy. Rosjanie pomimo tego, że władze zabraniały odprawiać obrzędy religijne, świętowali na swój sposób Boże Narodzenie, Wielkanoc, obchodzili Dzień Zadusznych, a zmarłym stawiali krzyże. W czasie prawosławnych świąt Bożego Narodzenia chodziliśmy z bratem po domach z gwiazdą i śpiewaliśmy nauczoną rosyjską kolędę – *Rożestwo twoje Christo Boże nasz*, a podczas Świąt wielkanocnych pozdrawialiśmy słowami: „Christos Woskres” (Chrystus Zmartwychwstał). Z takich wędrówek zawsze uzbieraliśmy sporo żywności. Zwyczajem prawosławnych jest przynoszenie na cmentarz pożywienia w dniu zmarłych. Korzystaliśmy z tego zwyczaju i wieczorem zbieraliśmy z grobów chleb, jajka i „lepieszki”. Każdy pogrzeb był także okazją do korzystania z przygotowanych posiłków stypowych. Na stypach gromadzili się wszyscy mieszkańcy kołchozu. Nieraz jadła było sporo, a nieraz dostało się też „lepieszki”.

Wspomniałem już jak nauczyłem się szyc buty z cholewami, ale podstawowym obuwiem zimowym były „pimy” (walonki). Tak jak wszystko, trzeba było „pimy” wyrabiać własnym sposobem. Przypadek sprawił, że tę umiejętność zdołałem także opanować. Pewien Rosjanin, który wyrabiał „pimy”, był chory na gruźlicę i potrzebował środka leczniczego tj. psiego tłuszczu. Zaproponował mnie i bratu, żeby dostarczyć mu tego tłuszczu. Pod osłoną nocy złapaliśmy psa i po prostu udusiliśmy go. Wyjeliśmy tłuszcz, a zwłoki zakopaliśmy. Właściciel był przekonany, że pies padł łupem wilków. Za dostarczony tłuszcz dostaliśmy używane „pimy”. Była to bardzo przydatna zdobycz, szczególnie w okresie zimowym. Przy tej okazji miałem możliwość nauczyć się wyrabiać owe „pimy”. Rozkładało się na stole wełnę i rozdrabniało się ją za pomocą drewnianego wałka. Następnie układano ją na drewnianych kopytach odpowiednimi warstwami i polewało gorącą wodą. Wełna filcowała się i dokładnie przylegała do kopyta. Uformowane „pimy” wkładało się do gorącego pieca w celu dokładnego sfilcowania, następnie opalało się wełniane końcówki i „pimy” były gotowe.

Okres lata syberyjskiego to okres zyciodajny. W lasach pojawiły się grzyby i jagody – „kościéniga” (w smaku przypominające nasze porzeczkę),

a na polach poziomki. W wolnym czasie, gdy nie pracowałem w polu, wyruszałem na zbiór runa leśnego. Zresztą to był mój obowiązek, bo starsze rodzeństwo musiało pracować w polu. Podczas leśnych wędrówek pragnienie gasiłem sokiem brzoźowym. Nacinałem nożem korę i ssałem sok bezpośrednio z drzewa. Uzbierane grzyby i jagody były podstawowym środkiem spożywczym w lecie. Odczuwało się systematyczny brak soli, bo nie było jej gdzie kupić. Od czasu do czasu organizowało się wyprawę nad tzw. słone jezioro, odległe o 16 km od naszego kołchozu. Jeżeli była pogoda, to na brzegu jeziora można było zbierać trochę soli zmieszanej z piaskiem, a jeżeli pogody nie było, to brało się po prostu słoną wodę i transportowało w bańkach, często na własnych plecach. Innym moim zajęciem była produkcja węgla drzewnego. Trzeba było w lesie przygotować trochę pni brzoźowych, wózkiem przewieźć do kołchozu, ustawić stożkowo i podpalić. Gdy drzewo dobrze się rozpałiło, trzeba było obsypać je ziemią, żeby ograniczyć dostęp tlenu. W ten sposób tłące się drewno bez dostępu powietrza zmieniało się w węgiel. Przy tej okazji z klocków ściągano się białą korę, z której wyrabiano „żwaczkę” (guma do żucia – czarna jak węgiel). Korę z odrobiną masła topiło się w garnku. Otrzymana substancja była doskonałym środkiem czyszczącym zęby. Przez jakiś czas byłem niańką 4-letniego chłopca, porażonego chorobą kończyn dolnych. Mama chłopca, Radionowa, była listonoszką i musiała codziennie chodzić na pocztę do odległej o 8 km Kładbinki, w związku z tym nie miała z kim zostawiać chłopca. Za opiekę dostawałem wyżywienie i trochę ziemniaków do domu. Wieczorami w wolnych chwilach uczyłem się u „Babuszki Wasiuni” prząść wełnę i bawełnę na wrzecionie i na nożnym kołowrotku. Nauczyłem się też z wyrobionych nici robić na drutach skarpety.

Udręką mojej Rodziny było to, że często wzywano Matkę do NKWD w Presnowce, aby podpisała obywatelstwo białoruskie. Po każdej odmowie straszono, że jako „bieżeńcy” zginiemy z głodu i chłodu, bo do Polski nigdy nie wrócimy. Po takich rozmowach zawsze była załamana psychicznie, ale pocieszała ją to, że nie ulegała naleganiom władz. Kiedyś pretekstem do aresztowania 17-letniej siostry był list, który napisała do koleżanki w Karagandzie. NKWD dopatrzyło się w tym liście jakichś zwrotów, które wydały im się podejrzanym. Przesłuchiwali ją w Presnowce kilka dni, żeby się przyznała do tego, że list zawierał antysowieckie fragmenty. Dzięki interwencji i prośbie Matki siostrę wypuszczono.

Wspominałem na wstępie, że nasza kołchozowa „Polonia syberyjska” liczyła początkowo ponad 30 osób i składała się z siedmiu rodzin: Kozakowych – 3 osoby, Majowych – 4 osoby, Nowakowskich – 5 osób, Tubilewiczów – 4 osoby, Wutkowów – 5 osób, Kołajdów – 2 osoby i moja czyli Poważyńskich – 5 osób. Nowakowscy zostali przesiedleni do Karagandy, a pani Kołajda zamarła na śmierć wędrując za chlebem podczas ostatniej zimy. Jej 12-letni syn został zabrany do „Dietdoma” (dom dziecka). Niewielka grupa Polaków nie zapomniała języka polskiego, polskich tradycji narodowych i religijnych. W każdą niedzielę i w każde polskie święto Polacy wyruszali do lasu, gdzie po kryjomu odmawiali modlitwy i czytali Mszę świętą. Książeczkę do nabożeństwa miała pani Wutkowa ona też była główną katechetką w naszym posiołku. Oczywiście takie spotkania miały miejsce jedynie w okresie wiosenno-letnim.

Opisałem poprzednio swoją edukację syberyjską, która pozwoliła mi samodzielnie nauczyć się wykonywania wielu prac, co w normalnym życiu nie mogło się zdarzyć. Zmuszały mnie do tego warunki. Musiałem być samodzielny i w jakiś sposób pomóc rodzinie w dostarczaniu żywności. Biorąc pod uwagę wiek, potrafiłem nieraz ponad siły wykonywać bardzo ciężką pracę. Wiek 12-14 lat, bo w tych latach najwięcej pracowałem, zapisał się w mojej pamięci, jako wiek dorosłego mężczyzny. Opisane prace wykonywałem okresowo, ale zawsze z myślą, żeby nie zginąć śmiercią głodową. Podstawową pracą, którą wykonywałem przez okres dwóch lat, oczywiście w porze wiosenno-letniej, było pasterstwo. Byłem po prostu typowym syberyjskim pastuchem z polskim rodowodem.

Początkowo zajmowałem się wypasaniem gęsi i świń, będących własnością kolchoźników. Każdy kolchoźnik dostarczał za to żywność w postaci mleka, ziemniaków, czasem trochę mąki. Stado gęsi składało się z 20 sztuk, a świń – z 15 sztuk. Szczególnie niewdzięczny był wypas świń, które były nieprzyzwyczajone chodzić w stadzie. W ciągu dnia musiałem nabiegać się do tego stopnia, że wieczorem nie mogłem w ogóle się ruszać. Wszystko mnie bolało, a stopy piekły, jakby obłożone były gorącym węglem. Ten wypas nie trwał długo – Mama bowiem zawarła słowną umowę z kolchoźnikami, że podejmiemy się letniego wypasu cieląt. Oczywiście wynagrodzenie, ustalono w naturze – ziemniaki, mleko i mąka w odpowiedniej ilości od każdego cielaka. Wypas cieląt rozpoczynał się ze wschodem słońca i trwał tak długo, jak słońce kończyło swoją wędrówkę po niebie. Rano zbierała wszystkie cielaki do stada i wyprowadzała na pastwisko. Ja z bratem musieliśmy wstawać bardzo wcześnie i zmieniać ją, bowiem szła do pracy w kolchozowym polu. Wszystkie poranki były zimne, a poranna rosa paraliżowała bose nogi. Dochodziłem do siebie dopiero wtedy, gdy słońko ogrzało ziemię.

Bardzo trudno było, szczególnie w początkowym okresie, utrzymać stado w grupie. Cielaki rozbiegały się, więc bez przerwy musiałem je pilnować. Spokojniej już było w środku lata, gdy stado było przyzwyczajone do wspólnego wypasu, wówczas mogłem zapolować na chomiki czy świstaki i nabierać jakiegoś zielska do sporządzenia zupy. Czasami po kryjomu wykopało się kilka ziemniaków, jeżeli rosły w pobliżu i upiekło na ognisku. Zdarzało się też, że w pobliżu pasły się krowy, więc ukradkiem udało mi się do garnuszka udoić trochę mleka. W porze obiadowej Mama przynosiła nam na pastwisko zupę z lebiody lub pokrzywy. I tak całymi dniami wędrowałem z tymi cielakami po polach i stepach Kazachstanu. Po takich wędrówkach nogi miałem pokłute, a często występowały pod stopami bąble, tak, że mogłem jedynie chodzić na piętach. Łydki miałem pocięte rżyskiem zbożowym i ostrą trawą do tego stopnia, że krew leciała strumieniami. Wieczorem po skończonym wypasie Mama za pomocą wywarów z różnych ziół doprowadzała moje nogi do względnie normalnego wyglądu. Pod koniec letniego wypasu stopy były twarde, jakby podszyte skórą, a na łydkach tworzyła się skorupa, przypominająca narośl lub rdzę.

Na pastwisku każdy dzień był jednakowy. Wtedy, kiedy padał deszcz, nakładałem na głowę worek a cielaki zapędzałem do lasu pod drzewa. Często w pobliżu mojego stada pojawiały się wilki. Żeby ich odstraszyć gwizdałem, krzyczałem i uderzałem drążkiem w blaszany kubek, co odstraszało wilki.

Zdarzył się też przykry wypadek. Otóż pewnego dnia, po przeprowadzeniu stada do kołchozu zabrakło jednego cielaka. Właścicielka cielaka narobiła szumu i powiadomiła „predsiedziela”, że *Palaczonki patierali tielonka*. Przez dwa dni i dwie noce cała moja rodzina była zajęta szukaniem cielaka po okolicznych lasach. Strach ogarnął mnie i brata. Bo gdyby cielaka nie znaleziono, groziła nam kara sowieckiego poprawczaka. W czasie tych poszukiwań, tyle się wyplakałem i tyle się wymodliłem, że wystarczyło tego na kilka lat. Dzięki Bogu po trzech dniach poszukiwań cielak odnalazł się w Kładbince. Po prostu obok stada przejeżdżała „telega” (wóz) do którego zaprzężona była krowa i cielak za tym wozem powędrował. Cała rodzina odetchnęła z ulgą. Nie zapomnieliśmy jeszcze o tym wydarzeniu, a tu nagle pojawiło się drugie, początkowo bardzo radosne. Znaleźliśmy w stogu słomy worek pszenicy, około 30 kg. Widocznie robotnicy, którzy dokonywali wysiewu, „zaoszczędzili” go sobie. Brat pobiegł po wiadro, a potem z pełnym pszenicy powracał się do domu. Pech chciał, że spotkał po drodze brygadzystę. No i znowu nieszczęście. Podejrzanego o kradzież brata zabrano na przesłuchanie do NKWD w Presnpwce. Widocznie skuteczne, wprawdzie prawdziwe zresztą było jego tłumaczenie, że pszenica została znaleziona i przekonało ono NKWD zatem brata wypuszczono. Całe szczęście, że to wszystko tak się skończyło. Pan Bóg czuwał nad nami i nas bronił. W okresie, kiedy cielaki nauczyły się paść w stadzie, na pastwisku pozostawałem sam. Brata wyznaczono do wożenia śmietany z kołchozowej mleczarni do mleczarni w Noworybinie. Dwa razy w tygodniu odbywał taką podróż bykami. Od czasu do czasu udawało mu się przynieść do domu nieco śmietany. Woził z sobą nieduży czajnik z wodą, w lesie zatrzymywał się, wylewał wodę z czajnika i nalewał do niego śmietanę. Czajnik chował w lesie, a w drodze powrotnej zabierał i chował w sianie. Był to dobry zastrzyk tłuszczu w rodzinie. Tym razem wszystko mu się szczęśliwie udawało.

Lato na pastwisku przebiegało monotennie i jednostajnie. Najbardziej we znaki dawała się jesień. Często w przenikliwym zimnie musiałem, zawsze boso, bo obuwia żadnego nie miałem, chodzić po pastwisku. Nieraz Mama owijała mi nogi onucami, a na to nakładała korę brzożową i wiązała sznurkiem. Zabieg ten łagodził trochę zmarznięte nogi. Wówczas nie zwracając uwagi na urąganie kołchoźników przyprawdzałem cielaki do kołchozu. Zdrętwiałe nogi wkładałem do zimniej wody i w nieustającym płaczu czekałem aż ustąpi piekielny ból. Północny Kazachstan zamieszkiwali wówczas przede wszystkim Rosjanie. W naszej okolicy były tylko dwa auły: „Oktiabr” i „Leninsk”, w których mieszkali wyłącznie Kazachowie. W roku 1944 do naszego kołchozu przywieziono z Kaukazu Czeceńców. Byli dość dobrze ubrani i mieli ze sobą sporo worków mąki kukurydzianej, z której wypiekali placki i gotowali zalewajki. Mieli swój charakterystyczny sposób życia i muzułmańską religię. Każdy Czeceńiec od najmniejszego dziecka do siwiejącego starca podczas załatwiania potrzeb fizjologicznych posługiwał się metalową amforą napełnioną wodą – zamiast papieru toaletowego.

W końcowym moim pobycie na zesłaniu przyszło mi wspólnie z Czeceńcem o imieniu Kanta prowadzić wypas stada owiec. Charakteryzowało go lenistwo, nie był więc koleżeńskim pastuchem za to jednak był dość odważny. Mieliśmy taką sytuację, gdy nasze stado owiec zaatakowały dwa potężne wilki. Wilki, kiedy wpadały do stada, dusiły owce, podgryzały gardła, a następnie jedną ofiarę ciągnęły do lasu. Strachu najedliśmy się, co niemiara.

Kanta chwycił wówczas jednak uprowadzaną przez wilka owcę za wełnę, a napastnika okładał kijem. Potem długo zastanawiałem się dlaczego, wilk nie rzucił się na Czezeńca i pozostawił owcę. Po naszej nagonce wilki uciekły do lasu, ale po skończonym wypasie do kołchozu przywieźliśmy sześć uduszonych owiec.

Wspomnę tu jeszcze, że deportowanym Czezeńcom władze kołchozu od razu nakazały budować ziemianki. Naród ten, koczujący w górach i zajmujący się wyłącznie wypasem koni i owiec oraz uprawą kukurydzy, nie potrafił budować ziemianek, więc przydzielono im rosyjskich i polskich pracowników, którzy nadzorowali tę pracę. Do murowania pieców używano cegły wyprodukowanej systemem chałupniczym. W tym celu kopano głęboki dół, aż do wystąpienia pokładu gliny. W dół ten wlewało się wodę i powstające w ten sposób błoto mieszano bosymi nogami. Przez pewien czas i ja byłem takim mieszaczem. W dole było nas czterech wyrostków i tak godzinami mieszaliśmy tę glinę aż była na tyle plastyczna, że można ją było wkładać do form, a następnie suszyć na słońcu. Ostatnim etapem było wypalanie cegły w piecu chlebowym. W ten sposób zdobyłem jeszcze jeden zawód – wytwórcy cegły.

Sześcioletni okres zesłania, w którym przyszło mi wykonywać różne prace i zawody, zmienił moją psychikę chłopięcą, kształtował charakter, był szkołą przetrwania i przeżycia. Wszystkie upokorzenia, zniewagi, głód i chłód przeżywałem jak dorosły mężczyzna. Dzięki Mamie zachowałem swą narodowość i język ojczysty. Nie utraciłem nigdy wiary w Boga, a nadzieja powrotu do Polski, która towarzyszyła mi przez cały okres zesłania, została spełniona w 1946 r. Tak oto od 1940 do 1946 roku w warunkach bardzo ciężkich, przepracowałem tysiące godzin przy różnych zajęciach, nie otrzymując w zamian ani jednej kopiejki. Jedynym wynagrodzeniem była często miska „zalewajki” lub parę ziemniaków w łupinach. Przeżycie ciężkich lat zesłania, to – jednak przede wszystkim sprawa Opatrzności.

Tam wśród stepów spotkaliśmy wielu przyjaznych ludzi. To Rosjanie sami zniewoleni przez reżim bolszewicki wyciągali do nas pomocną dłoń. Sami, cierpiąc głód i niedostatek, dzielili się z nami kawałkiem chleba, nieraz ostatnim, szczyptą ziarna i resztkami kartofli. Moje prośbne wędrówki do rosyjskich ziemianek spotykały się z dobrocią i do dzisiaj wspominam kawałki czarnego razowca, którym mnie obdarowywano. Dobroduszość „Babuszki Wasiu-ni” zachowałem w pamięci. Pamiętam serdeczność Grafiny Woronowej, u której mieszkaliśmy, dobroć rodziny Bykówów, Radionowów, Gopcowych i Czebatariowych. Wspominam je ze wzruszeniem i wdzięcznością. A gdy opuszczaliśmy „gościnną ziemię radziecką”, cała ludność kołchozu, w którym pracowaliśmy odprowadzała nas daleko poza rogatki osady. Żegnano nas ze łzami w oczach, życząc szczęśliwej drogi. Dzięki im za to, a Tobie Matko Boska dzięki, żeś Nas zachowała przy życiu i doprowadziła na Ojczyzny łono!

Tutaj muszę oddać szczególny hołd mojej Mamie, która przeżyła w Petersburgu rewolucję 1905 i 1917 roku, wojnę domową w Rosji 1918 roku oraz zesłanie na Sybir. Tymi zesłańczymi zapiskami podziękować Jej chcę za to, że szczególnie na zesłaniu potrafiła uratować czworo dzieci przed głodem i chłodem, zachować wiarę w Boga i przywiązanie do polskości, zachowując

w domu język polski. Jej żelazna konsekwencja w wychowaniu dzieci w duchu polskości i pobożności, pozwoliła przezwyciężyć głód, chłód, upokorzenie i poniewierkę, a często znieważenie i poniżenie.

Dziś z perspektywy czasu dochodzę do wniosku, że przetrwanie tego zesłania zawdzięczamy drewnianemu krzyżkowi, wyrzuconemu ze szkoły przez bolszewików w 1939 roku, który Mama znalazła na śmietniku i 13 kwietnia 1940 roku zabrała ze sobą na zesłanie. Pomimo różnych przeszkód i trudności krzyż ten powrócił z nami do Polski i jest przechowywany w domu, jako relikwia naszej rodziny. Ten zniewolony krzyż dla nas był ostoją, wsparciem, nadzieją i przetrwaniem na wygnaniu.



Stara kartka pocztowa z widokiem Słonima

APEL

Szanowni Państwo

W związku z przygotowywaną publikacją książkową oraz reportażem telewizyjnym poświęconym ostatniej wielkiej budowie Stalina: Transpolarnej Magistrali Kolejowej zwanej Martwą Droga lub Droga Umarłych zwracamy się prośbą o kontakt do wszystkich osób oraz rodzin osób represjonowanych w łagrach zlokalizowanych przy tej budowie. Projekt Magistrali realizowano w ramach dwóch inwestycji położonych w środkowej Syberii na wysokości koła podbiegunowego określanych jako:

Strojka 501 (Budowa 501) na obszarze dzisiejszego Jamalsko-Nienieckiego Obwodu Autonomicznego – od miasta Salechard i Łabtyngangi nad rzeką Ob przez Nadym i Nydę do miasta Nowy Urengoj nad rzeką Taz.

Strojka 503 (Budowa 503) na obszarze dzisiejszego Kraju Krasnojarskiego – od miasta Igarka nad Jenisejm, przez Jermakovo oraz osady Kastjor i Janov Stan do miasta Taz na rzeką Taz.

Martwa Droga budowana była w latach 1949-1953 i ewakuowana w kilka tygodni po śmierci Stalina, a zatem więziono tam osoby aresztowane pod koniec II Wojny Światowej lub już w okresie powojennym.

Poszukujemy wszystkich mogących mieć informacje o jakichkolwiek polskich śladach na tym terenie. Prosimy o zgłaszanie się wszystkich osób, bez względu na wysokość wyroku oraz charakter pracy wykonywanej w okresie uwięzienia. W szczególności poszukujemy rodzin lub osób mogących znać Pana Wojciecha Borsuka (ostatnie miejsce pobytu: Ręczyn, województwo dolnośląskie, powiat zgorzelecki) oraz Pana Józefa Duńca (ostatnie miejsce pobytu: Szczecin), którzy zgodnie z ich relacjami zachowanymi w Archiwum Historii Mówionej Ośrodka Karta byli więzieni na Strojce 503.

Wspomniane publikacje przygotowywane są w ramach projektu „Martwa Droga 1953-2013” – wyprawy reportersko-badawczej, której uczestnicy dotarli do zaginionych łagrów zlokalizowanych na Strojce 503 w okolicach osady Janov Stan. Przedsięwzięcie realizowane było we współpracy z magazynem historycznym „Odkrywca”, New York University oraz Domem Spotkań z Historią i pod patronatem honorowym Prezesa Instytutu Pamięci Narodowej. Więcej informacji można znaleźć na stronie:

www.martwadroga2013.pl

Osoby mogące udzielić informacji prosimy o kontakt z redakcją „Zesłańca”.

Z poważaniem
Tomasz Grzywaczewski
Kierownik projektu „Martwa Droga 1953-2013”

KRONIKA

- **„ZESŁANIEC” – KWARTALNIK RADY NAUKOWEJ
ZARZĄDU GŁÓWNEGO ZWIĄZKU SYBIRAKÓW**

Mało jest dzisiaj w naszym kraju periodyków naukowych i popularno-naukowych, poświęconych obecności polskiej na bezkresnych obszarach b. Związku Radzieckiego. Jednym z najważniejszych jest z pewnością „Zesłaniec”, Kwartalnik Rady Naukowej Zarządu Głównego Związku Sybiraków. Pismo zostało założone przez Wiesława Krawczyńskiego z Krakowa (obecnego przewodniczącego Rady Naukowej Związku Sybiraków) i profesora Antoniego Kuczyńskiego z Wrocławia. Jego pierwszy numer ukazał się w 1996 roku, jednak początki kwartalnika sięgają dodatku pod tym samym tytułem, jaki ukazywał się z inicjatywy A. Kuczyńskiego w „Dzienniku Dolnośląskim” od 1991 roku. Sama nazwa nawiązuje natomiast do serii wydawniczej Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego „Biblioteka Zesłańca”, w ramach której ukazało się wiele książek wspomnieniowych, opracowań monograficznych, biografii oraz reprintów dokumentujących tragiczne dzieje polskich zesłańców, tak w XIX, jak i w XX wieku. Wiele z tych publikacji omawianych było na łamach kwartalnika.

Od początku kwartalnikiem kieruje A. Kuczyński, a jedynie tylko trzy numery „Zesłańca” (2/1997, 3/1998 i 4/1999) ze względu na to, że drukowane były w Krakowie ukazały się pod red. Władysława Masiarza, jako redaktora naczelnego. Skład pierwszej redakcji tworzyli m.in. Feliks Milian, Edward Duchnowski, Wiesław Krawczyński, Janusz Przewłocki i Paweł Zworski. Obecnie natomiast w skład kolegium redakcyjnego wchodzi: Adam Dobroński, Anna Dzieńkiewicz, Maria Bożena Kuczyńska (sekretarz redakcji), Wiesław Krawczyński, Stanisław Sikorski i Paweł Zworski. Pismo należy do kategorii non profit i wydawanie jest dzięki dotacjom Rady Ochrony Walk i Męczeństwa oraz dobrowolnym wpłatom członków Związku Sybiraków.

Od chwili pojawienia się pierwszego numeru (1996) pismo spotykało się z bardzo przychylną oceną czytelników, stąd przez siedemnaście lat stosunkowo niewielkie zmiany zaszły w jego formule tematycznej. O ile początkowo dużo miejsca na jego łamach zajmowało dokumentowanie bieżącej działalności Związku Sybiraków, to w miarę upływu czasu zamieszczano coraz więcej artykułów poświęconych historii polskiej obecności na Syberii oraz związkowi polsko-syberyjskim. Wiele z nich zostało opartych na słabo znanych w naszym kraju materiałach źródłowych, zgromadzonych m.in. w archiwach i bibliotekach w Barnaulu, Irkucku, Omsku, Tomsku, do których polscy badacze z różnych względów, np. finansowych, także dzisiaj mają utrudniony dostęp. Publikacje te nie byłyby możliwe, gdyby nie kontakty redaktora naczelnego z historykami rosyjskimi (np. Iriną Nikuliną (Barnauł), Wasylim Haniewiczem (Tomsk), Ser-

giuszem Leończykiem (Abakan), Swietłaną Muliną (Omsk), Bolesławem Szostakowiczem (Irkuck), Katarzyną Tumanik (Nowosybirsk) i innymi, z których niektórzy mają świadomość swoich odległych polskich korzeni. Niektórzy są działaczami tamtejszych stowarzyszeń polonijnych, przyczyniając się do odkrywania i dokumentowania historii polskiej obecności na tych ziemiach oraz odradzania się poczucia narodowego wśród tych mieszkańców Syberii, którzy mają świadomość swoich odległych polskich korzeni.

Dzięki temu, czytelnicy „Zesłańca” mogą zapoznać się z najnowszymi ustaleniami dotyczącymi dziejów polskiej obecności na Syberii, w Azji Środkowej na Kaukazie, czy Dalekim Wschodzie. Dobrze więc się stało, że autorzy tych tekstów starają się prezentować tematy stosunkowo mniej znane, jak np. działalność Kościoła katolickiego na Syberii, czy funkcjonowanie towarzystw dobroczynnych i samopomocowych w latach pierwszej wojny światowej.

Choć w zdecydowanej większości obecność polska na dalekich rubieżach carskiego a potem sowieckiego imperium była przymusowa, to na łamach pisma ukazały się również artykuły o Polakach, którzy nie tylko dobrowolnie przyjechali na te ziemie, ale także wnieśli ogromny wkład w ich rozwój społeczny, gospodarczy i kulturalny. Przykładem tego, jest np. artykuł autorstwa Walerego Skubniewskiego z Barnaulu, poświęcony dziejom rodziny Koziół-Poklewskich, znanych przemysłowców i działaczy gospodarczych, którzy odegrali znaczącą rolę w nie tylko dziejach Polonii syberyjskiej, ale także samego Tobolska. Należy mieć nadzieję, że na łamach „Zesłańca” pojawią się dalsze teksty mówiące o syberyjskich Polakach, nie tylko jako ofiarach carskiego i sowieckiego bezprawia, ale także jako tych, którzy włożyli ogromny wysiłek na rzecz zagospodarowania tych obszarów. Choć z oczywistych względów, Syberia w polskiej tradycji, historii i kulturze zawsze będzie przedstawiana jako miejsce martyrologii setek tysięcy naszych rodaków, to warto także pamiętać i o tym aspekcie polskiej obecności na tych ziemiach. Za podejmowanie na łamach pisma tej deficytowej w polskiej historiografii tematyki redakcji należą się ogromne wyrazy uznania.

Równie interesującym tematem, są teksty poświęcone kontaktom Polaków z innymi narodami zamieszkującymi carskie, a potem sowieckie imperium. Przykładem mogą być tutaj artykuły pióra redaktora naczelnego A. Kuczyńskiego poświęcone związkom polsko-kazachskim. W wielu polskich publikacjach naukowych i popularno-naukowych dominuje, bowiem postrzeganie obecności polskiej na Syberii, Kaukazie, Azji Środkowej, czy Dalekim Wschodzie, tylko i wyłącznie przez pryzmat poniewolnych stosunkach polsko-rosyjskich. A przecież w wielu przypadkach to właśnie polscy zesłańcy nie tylko inicjowali i prowadzili badania na zamieszkującymi wymienione obszary ludami, ale także przyczynili się w znaczący sposób do zachowania ich kultury. Przykładem tego może być działalność Bronisława Piłsudskiego, brata Józefa, znakomitego badacza Sachalinu i kultury jego pierwotnych mieszkańców Ajnów, o którym tak interesująco pisze w swoich licznych publikacjach A. Kuczyński. Dlatego też dobrze się stało, że na łamach kwartalnika przybliżono polskiemu czytelnikowi tę stosunkowo mało u nas znaną problematykę.

Warto również dodać, że na łamach „Zesłańca” pojawiają się również teksty dotyczące funkcjonowania skupisk polonijnych za naszą wschodnią granicą. Tak było np. w numerze 16 (2004), w którym opublikowano blok tekstów

poświęconych nie tylko historii polskiej diaspory w Rosji, ale także jej współczesnym problemom. Należy mieć nadzieję, że na jego łamach będą się pojawiać kolejne artykuły, poruszające tę problematykę. Jest to tym bardziej ważne, że na tych ziemiach po latach sowieckiego terroru odradzają się wspólnoty polonijne, dlatego też tak ważne jest przypominanie tamtejszym Polakom, o ich etnicznych i kulturowych korzeniach.

Obecnie „Zesłaniec” jest jednym z nielicznych polskich czasopism, zajmujących się różnymi aspektami związków polsko-rosyjskich. Tematyka ta niestety nie jest zbyt często obecna na łamach polskich czasopism. Jeżeli już pojawiają się artykuły o tej tematyce, to dotyczą one przede wszystkim martyrologii Polaków w Rosji. Tyle mówi się dzisiaj o pojednaniu polsko-rosyjskim, dlatego też ważnym jest, pokazywać również wkład Polaków w rozwój Syberii i innych dalekich kresów rosyjskiego imperium. Mało które z polskich czasopism naukowych i popularnonaukowych zrobiło tak wiele dla przybliżenia polskiemu czytelnikowi tej problematyki jak „Zesłaniec”, a niektóre z nich zupełnie pomijają tę problematykę. Poszczególne numery „Zesłańca” przenoszą polskiego czytelnika, w egzotyczny i ciągle chyba u nas stosunkowo mało znany świat autochtonicznych narodów byłego ZSRR. Bardzo ważne jest również i to, że obraz wydarzeń, prezentowanych na jego łamach, jest przekazywany w sposób bardzo obiektywny i wyważony, pozbawiony jakiegokolwiek nienawiści i żądzy zemsty. Jest to tym bardziej godne uznania, bowiem Wiesław Krawczyński – przewodniczący Rady Naukowej Związku Sybiraków, jak i niektórzy członkowie zespołu redakcyjnego mają w swoim życiorysie pobyt na zesłaniu. O poziomie merytorycznym pisma decydują również autorzy tekstów, publikowanych w jego poszczególnych numerach. Redaktorowi naczelnemu udało się skupić wokół pisma liczne grono utalentowanych badaczy, zarówno tych o uznanym dorobku, jak np. profesorowie Zbigniew Wójcik, Grzegorz Hryciuk, Władysław Masiarz czy Adam Dobroński, jak i tych mniej znanych, jak np. Anna Milewska Młynik czy Jolanta Załączny z Muzeum Niepodległości w Warszawie.

Poszczególne numery pisma, które z powodów finansowych ukazują się niestety ostatnio niezbyt regularnie, można podzielić na cztery odrębne części. W pierwszej możemy znaleźć teksty naukowe i popularnonaukowe poświęcone syberyjskiej problematyce. Wydaje się, że dobrze się stało, że redakcja zaczęła nieco wychodzić poza tematykę zesłańczą. Przykładem tego może być artykuł Ewy Rogalewskiej, omawiający wystawę poświęconą zagładzie polskich dworów na terenie województwa białostockiego, który został opublikowany w numerze 54 (2013) kwartalnika. To właśnie z tej warstwy społecznej wywodzili się w dużej mierze deportowani w latach 1940-41 w głąb Związku Radzieckiego. Innym interesującym jest też opublikowany w 55 (2013) numerze artykuł Ewy Ziółkowskiej, poświęcony kwaterze powstańczej na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie. Artykuł, ten jak najbardziej przystaje do profilu pisma. To przecież właśnie na terenie Galicji z jednej strony, chronili się po upadku powstania jego uczestnicy, z drugiej zaś przybywali tam ci, którym było dane przeżyć syberyjską katorgę. Wielu z nich spoczęło zresztą snem wiecznym na łyczakowskiej nekropoli, żeby wymienić tylko dwóch członków rządu narodowego z okresu powstania styczniowego, Bronisława Szwarcego i Benedykta Dybowskiego.

Dobrze, że redakcja publikuje również teksty z pogranicza różnych dziedzin nauki – historii, historii nauki, etnografii, etnologii, socjologii, a nawet

filozofii, czego przykładem mogą być rozważania sybiraka i opiekuna polskich sierot ojca Łucjana Królikowskiego, który starał się odpowiedzieć na pytanie „*Gdzie był Bóg?*”, kiedy setki tysięcy Polaków cierpiało w sowieckich łagrach.

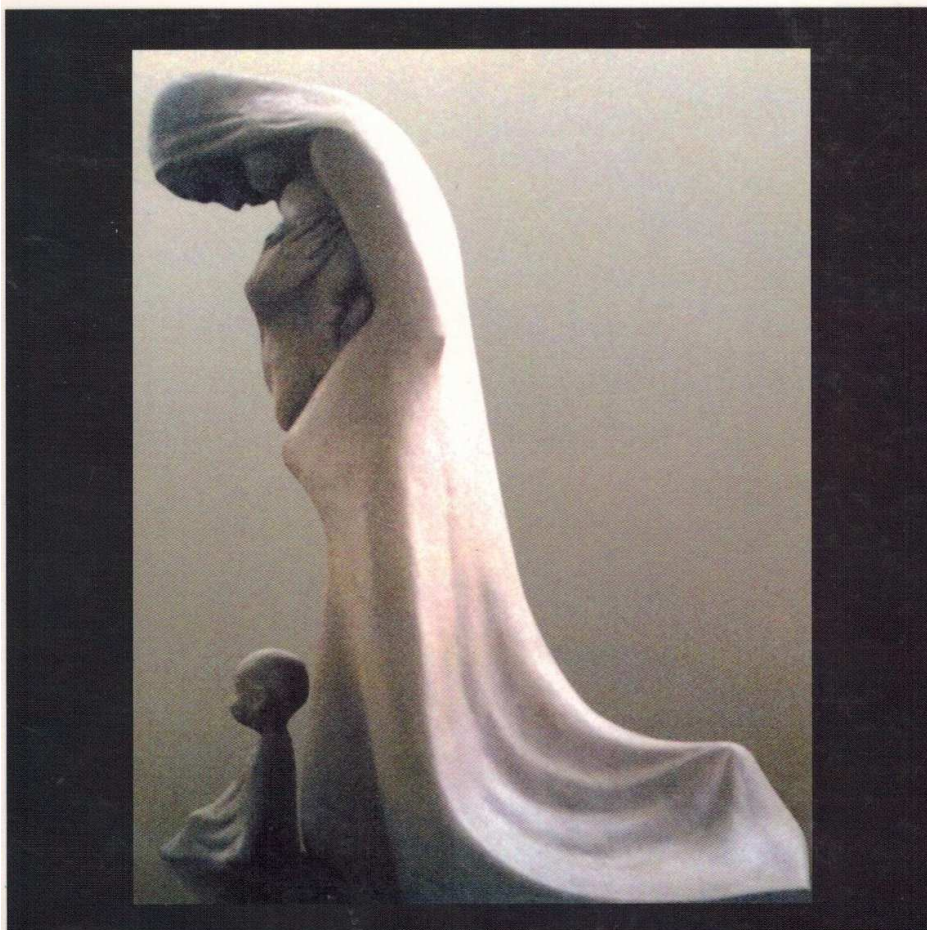
W drugiej części kwartalnika noszącej nazwę „Relacje z zesłania” publikowane są materiały źródłowe, będące zawsze bardzo mocną stroną każdego numeru. Redakcja nie ogranicza się tylko i wyłącznie do relacji i wspomnień z okresu ostatniej wojny, pochodzących często z domowych archiwów, ale stara się także publikować teksty dotyczące innych okresów historycznych, w których nasi rodacy byli deportowani na bezkresne przestrzenie imperium rosyjskiego. Jako przykład można tu podać relację ks. Stanisława Matrasia, zesłanego na Syberię za udział w powstaniu 1863 roku na Lubelszczyźnie. Innym interesującym tekstem są również wspomnienia Anny Charchan. Rodzina autorki, po 1945 roku pozostała na ojcowiznie w okolicach Starego Sambora. W 1949 roku w ramach zaostrzającego się terroru, autorka wraz z całą rodziną została deportowana w głąb Związku Radzieckiego. Dopiero śmierć Stalina i przemiany 1956 roku spowodowały, że mogli oni przyjechać do Polski. Dobrze się stało, że autorka zdecydowała się na spisanie wspomnień, a redakcja na ich publikację. Ciągle bowiem bardzo mało wiemy o losach naszych rodaków, którzy po 1945 roku zdecydowali się pozostać na swojej ziemi, czyli na tzw. Kresach Wschodnich płacąc za to niejednokrotnie straszliwą cenę. Dziś, kiedy od tych dramatycznych wydarzeń minęło już wiele dziesiątków lat i nieubłagany upływ czasu powoduje, że coraz mniej jest wśród nas świadków tych dramatycznych i bolesnych chwil, takie publikacje, przybliżające te stosunkowo mało znane wydarzenia szerszemu gronu czytelników, są tym bardziej cenne. Należy podkreślić, że po okresie fascynacji wschodnimi losami Polaków, obecnie niewiele jest miejsc, gdzie tego rodzaju materiały mogłyby zostać publikowane. Wprowadzenie ich do publicznego obiegu poprzez publikacje na łamach „Zesłańca” przyczynia się również do upowszechnienia ich treści wśród szerszego grona zainteresowanych, np. uczniów, nauczycieli, studentów.

Kolejną część pisma stanowi dział „Kronika”, w którym publikowane są sprawozdania z wystaw – poświęconych np. 150 rocznicy powstania styczniowego, sesji naukowych, organizowanych w kraju i zagranicą, poświęconych różnym aspektom polskiej obecności na rozległych obszarach rosyjskiego imperium, relacje z wypraw badawczych za Ural, informacje o znakach pamięci utrwalających syberyjską niewolę itp. Redakcja nie zapomina również o omawianiu wydarzeń, których organizatorem lub współorganizatorem jest Związek Sybiraków. Prezentowane są też informacje z życia Związku Sybiraków, sprawozdania z rozmaitych przedsięwzięć środowiskowych, obchodów rocznicowych, takich jak Marsz Żywej Pamięci Sybiru – o którym w numerze 52 (2012) pisze Maria Bożena Kuczyńska, oraz licznych konferencji naukowych i spotkań. Wszystko to razem służy nie tylko odnotowywaniu aktywności społecznej byłych deportowanych, ale także wymianie doświadczeń i popularyzacji wielu cennych inicjatyw. Sporo miejsca zajmują w tym dziale także teksty poświęcone współczesnym pobytom na Syberii. Jednym z bardziej interesujących, jest relacja Dagmary Dworak, poświęcona podróży, jaką wraz z ojcem Bogusławem odbyła do miejsca jego zesłania w czasie ostatniej wojny. Należy mieć nadzieję, że artykuły o podobnej tematyce będą częściej gościć na łamach kwartalnika.

ZESŁANIEC

PISMO RADY NAUKOWEJ
ZARZĄDU GŁÓWNEGO
ZWIĄZKU SYBIRAKÓW
PL ISSN 1426-21-2126

13 2003



Okładka zeszytu poświęconego Matkom – Sybiraczkom

Ostatnią część każdego numeru zatytułowaną „Regał z książkami”, tworzą recenzje i omówienia opracowań naukowych i wspomnień, poświęconych nie tylko szeroko rozumianym dziejom Polaków za naszą wschodnią granicą, ale także ich wkładowi w rozwój tych ziem. Na łamach „Zesłańca” można znaleźć m.in. interesujące omówienia prac zbiorowych, będących plonem sesji naukowych, a poświęconych znakomitym etnologom: Wacławowi Sieroszewskiemu, czy Marii Czaplickiej. W tym dziale można znaleźć również omówienia publikacji o bardzo niszowym charakterze np. *Grajcie echa, grzmijcie skały* – poświęcone stosunkowo mało znanym wydarzeniom z okresu powstania styczniowego w dolinie Prądnika. Ważne miejsce zajmują tutaj także omówienia licznych wspomnień sybirackich, jakie ukazały się po 1989 roku na naszym rynku księgarskim, często wydanych w stosunkowo niewielkim nakładzie. Z pewnością, dzięki promocji na łamach pisma, wielu czytelników zdecydowało się po nie sięgnąć. Można tutaj również znaleźć bardzo interesujące omówienia materiałów pokonferencyjnych oraz zagranicznych periodyków, często słabo znanych w naszym kraju, a zajmujących się podobną problematyką, takich jak np. pismo Kongresu Polonii w Rosji „Rodacy”, wydawnictwo uniwersytetu tomskiego „Sibirskaja starina”, popularnonaukowe czasopismo „Ziemia irkutskaja”, czy wydawany w Krasnojarsku almanach literacki „Jeniszej”.

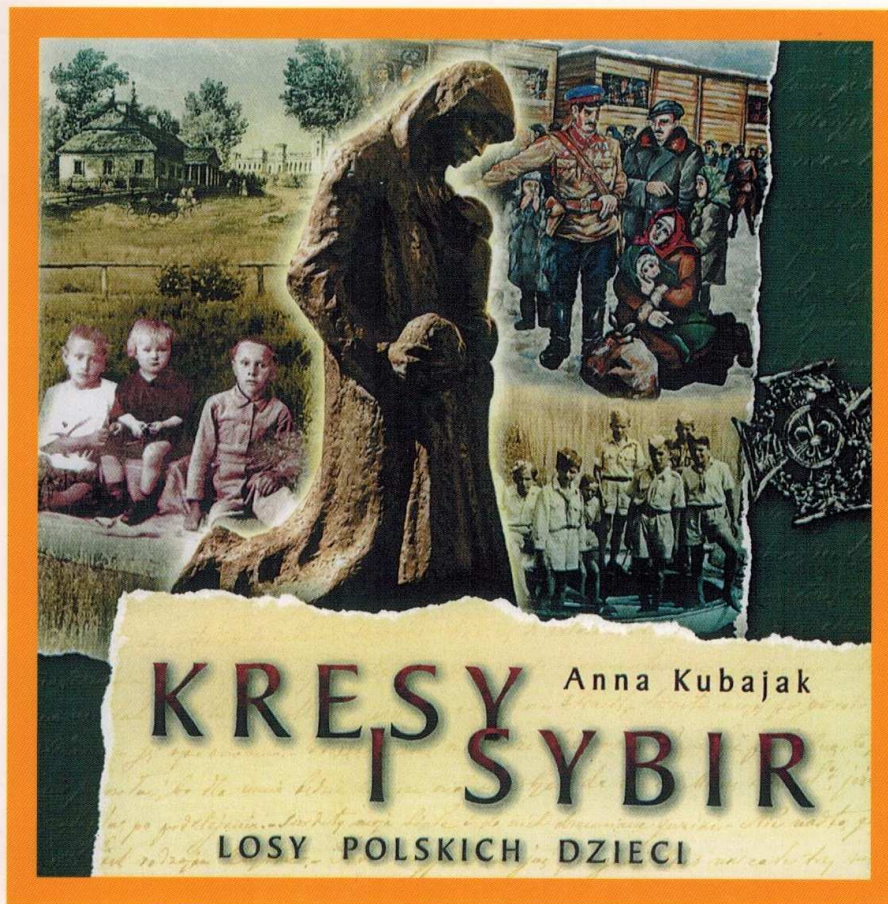
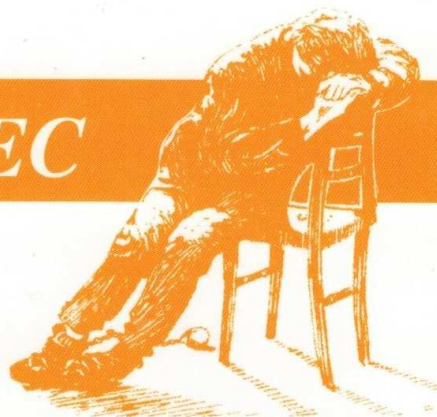
Niektóre z numerów pisma noszą charakter monograficzny. Wydawane były one z okazji okrągłych rocznic ważnych wydarzeń historycznych takich jak np. 150 rocznica wybuchu powstania styczniowego. Dotąd ukazało się ich pięć. Pierwszym numerem o charakterze monograficznym był numer poświęcony matkom sybiraczkom (13/2003), będący swoistym hołdem za ich cierpliwość, dobroć i poświęcenie, jakie okazywały swoich dzieciom w trudnych chwilach syberyjskiego zesłania. Kolejnym (30/2007) był tom poświęcony dziejom Polaków w Kazachstanie, dedykowany pamięci Mariana Jonkajtysa, sybiraka, aktora i poety – autora „Hymnu Sybiraków”. Trzecim był numer (32/2007), dedykowany generałowi W. Andersowi, dzięki któremu wielu z naszych rodaków mogło opuścić nieludzką ziemię. Szczególnie wstrząsający materiał przynosi numer (47/2011), poświęcony syberyjskim dzieciom. To właśnie najmłodszy, najbardziej ucierpiał na dalekim zesłańczym szlaku. Trudne warunki życia, głód, choroby, śmierć najbliższych członków rodziny, spowodowały, że rany spowodowane tymi dramatycznymi wydarzeniami do dzisiaj się nie zablizniły. Dobrze się stało, że numer (55/2013), został wypełniony w całości tekstami poświęconymi przypadającej w 2013 roku, 150 rocznicy wybuchu powstania styczniowego. To właśnie po klęsce tego powstania, wielu z jego uczestników zostało zesłanych na Syberię.

Należy mieć nadzieję, że redakcja, będzie nadal starała się kontynuować wydawanie numerów monotematycznych. Pomimo upadku systemu komunistycznego do dziś wiele faktów i zdarzeń ciągle jest mało znanych w naszym kraju. Dotyczy to np. tzw. „polskiej operacji NKWD” z 1936 roku i związanej z nią deportacjami ludności polskiej mieszkającej na Ukrainie do Kazachstanu i na Syberię. Warto więc w miarę istniejących możliwości poświęcić tej tematyce jeden z kolejnych numerów „Zesłańca”. Równie interesujące mogą być szersze rozważania poświęcone dramatycznym losom cywilnej ludności polskiej, pozostałej na bezkresnych przestrzeniach ZSRR, po wyjściu armii gen. W. Andersa i zerwaniu przez Stalina stosunków dyplomatycznych z rządem polskim w Londynie.

ZESŁANIEC

PISMO RADY NAUKOWEJ
ZARZĄDU GŁÓWNEGO
ZWIĄZKU SYBIRAKÓW
PL ISSN 1426-21-2126

47 2011



Okładka zeszytu poświęconego losom polskich dzieci na zesłaniu

Na łamach kwartalnika zamieszczane są również liczne fotografie, często wcześniej nigdzie niepublikowane, przedstawiające zarówno samych zesłańców i miejsca, w których się znaleźli. Zdjęcia te stanowią ważne dopełnienie do artykułów i stanowią swego rodzaju tekst kultury, ważny dla pełniejszego przedstawienia trudnych zesłańczych losów. Pochodzą one zarówno ze zbiorów publicznych, jak i prywatnych.

Obecnie czytelnikami pisma są członkowie Związku Sybiraków, nauczyciele (zwłaszcza ze szkół noszących imię Sybiraków), uczniowie i studenci oraz wszyscy zainteresowani tematyką wschodnią. Oprócz tego poszczególne numery zesłańca docierają również do skupisk polonijnych w wielu krajach świata, takich jak Wielka Brytania, USA, Kanada, Australia, czy Nowa Zelandia, gdzie po 1945 roku osiadło wielu ocalałych z syberyjskiego piekła. Szczególnie cieszy fakt, że pismo dociera także do naszych rodaków w Rosji, przyczyniając się w ten sposób, po latach komunistycznego zniewolenia, do odrodzenia i umocnienia świadomości narodowej, wśród mieszkańców tego wielkiego kraju, posiadających polskie korzenie.

Niestety, pismo dostępne jest jedynie tylko w 16 większych bibliotekach krajowych (np. Ossolineum, Jagiellońska, Narodowa, Sejmowa), co w znaczący sposób ogranicza krąg jego odbiorców. Dobrze więc się stało, że na zasadzie wolontariatu udało się dokonać digitalizację poszczególnych numerów (od numeru 29). Dzięki Internetowi zaistniała możliwość dotarcia do szerszego kręgu czytelników, w kraju i poza jego granicami. Nieubłagany upływ czasu powoduje, że coraz mniej jest wśród nas uczestników tamtych tragicznych chwil. Dlatego też tak ważne jest, aby „Zesłaniec” docierał także do młodszych czytelników. To przecież na nich spocznie kiedyś obowiązek przekazywania następnym pokoleniom prawdy o tych dramatycznych wydarzeniach. Dlatego warto może w tym miejscu zaapelować do decydentów (Rady Ochrony Pamięci Walki i Męczeństwa, Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego) nie tylko na znalezienie środków na dalsze jego wydawanie, ale także na digitalizację jego archiwalnych numerów.

Publikowane artykuły i materiały źródłowe, często pochodzące z archiwów domowych, odgrywają ogromną rolę w upowszechnianiu wiedzy na temat dziejów polskich na Wschodzie, utrwalają patriotyzm oraz ukazują sylwetki ludzi, którzy mimo prześladowań, jakie spadały na nich ze strony najpierw władz carskich, a potem sowieckich, potrafili zachować swój język, wiarę, kulturę i świadomość swojego polskiego pochodzenia. Ich postawa także dzisiaj stanowi przykład do naśladowania, stąd tak ważne jest, aby „Zesłaniec” docierał także do młodszego pokolenia czytelników.

Warto podkreślić, że kwartalnik swój wysoki poziom merytoryczny i ciekawą szatę graficzną zawdzięcza społecznej pracy redakcji. To właśnie dzięki wysiłkom ludzi, tworzących zespół redakcyjny, na jego łamach ukazało się tak wiele interesujących tekstów, reprezentujących różnego rodzaju gatunki pisarskie – od tekstów naukowych i popularnonaukowych poczynając, poprzez wspomnienia i relacje b. zesłańców, dokumenty archiwalne, recenzje, noty bibliograficzne, komunikaty i nekrologi na prozie i poezji kończąc.

Mimo, że minęło już przeszło pół wieku od czasów, kiedy to do kraju powrócili ostatni więźniowie sowieckich łagrów, to tematyka ta jest nadal aktualna i ciągle budzi duże zainteresowanie nie tylko wśród byłych łagierników, ale także tych, którym los oszczędził tych dramatycznych doświadczeń.

Redakcji, członkom Rady Naukowej Związku Sybiraków i wszystkim zaangażowanym w tworzenie kwartalnika należy życzyć, aby jeszcze przez długie lata to jakże interesujące i ważne dla poznania polskiej historii pismo mogło wypełniać swoją misję.

Tomasz Dudek

• MANDŻURSKIE SPOTKANIE

Wiek XIX przez humanistów nazwany wiekiem historii, przez przedstawicieli nauk ścisłych, przemysłowców i techników określany jest wiekiem mechaniki lub techniki. W tym czasie nastąpił bowiem wielki, żywiołowy wprost rozwój maszyn, przekształcanie się manufaktur w fabryczne kombinaty, doskonalenie wydobycia surowców kopalnych, w tym węgla kamiennego, pierwsze zastosowania ropy naftowej, a nade wszystko zmiana w środkach komunikacji. Konne bryki zastąpione zostały przez parowozy i pociągi, nagle skurczyły się odległości między stolicami, usprawnił handel.

Miejscowości, przez które przechodziły tory zaczęły się dynamicznie rozwijać, inne, które kolej omijała, gwałtownie podupadały. Zdarzało się także, jak podaje podlaska anegdota, że właścicielka Suraza dała inżynierom i mierniczym wysoką łapówkę by kolej właśnie ominęła jej majątek, co się stało. Rozwinęły się na to miejsce nadnarwiańskie Łapy, które uzyskawszy tory, szybko przekształciły się z małego szlacheckiego zaścianka w stację kolejową i spore kolejarskie miasto.

Transport zmieniał się wyjątkowo szybko. Jeszcze wujek Józefa Ignacego Kraszewskiego z Romanowa do Włoch i na Węgry wojażował okutą bryką, a jego siostrzan jechał już do Rzymu wygodnie i szybko pierwszą klasą pociągu. Nasz wielki, choć dziś już nie tak ceniony romantyk, Zygmunt hrabia Krasieński śpieszył do chorego ojca do Opinogóry wynajętą w Paryżu salonką. A uznany malarz historyczny Jan Matejko zafascynowany wynalazkiem namalował cały cykl poświęcony lokomotywowi i kolei.

Warszawa połączenie z Wiedniem otrzymała w latach 40-tych a z Petersburgiem we wczesnych latach 60-tych. Nic tedy dziwnego, że Cesarstwo Rosyjskie odkrywając na nowo swoje azjatyckie włości, zdopingowane majątkami robionymi przez Amerykanów na Alasce, zbudowało sobie linię transsyberyjską i starało się skrócić o 500 kilometrów drogę do Władywostoku. Nie było to proste, bowiem konflikt z Chinami o ziemie nad Amurem trwał. Przebiegał różnie i nic nie zapowiadało jego definitywnego zakończenia. Przeto na miejsce rządów kłócących się państw weszła spółka akcyjna, która podjęła się budowy wschodniochińskiej linii kolejowej. Koncesję podpisano w 1896 roku w szczyrim polu mandżurskim, skąd miały się rozchodzić dwie odnogi torów kolejowych. Jedna prowadzić miała do Władywostoku, skracając o 500 km. drogę do tego portu, druga skierowana była bardziej na południe do Port Artur.

Według danych Kim Yong Deog'a za koncesję na budowę kolei i towarzyszących jej inwestycji chiński dygnitarz Li Hungan otrzymał trzy miliony rubli łapówki. Nie była to szokująca suma zważywszy, iż na przykład polski przemysłowiec Kronenberg, któremu za wspieranie styczniowego zrywu groził Sybir i utrata

znacznej części majątności, ofiarował carowi prezent imieninowy w wysokości miliona rubli. Car upominek przyjął. O zsyłce donatora nie było już mowy!

Do prac przy budowie Kolei Wschodniochińskiej ściągali Polacy z Syberii, gdzie odbywali karę zsyłki, a także ich dorosłe dzieci, gdyż na terenie wschodnich rubieży Rosji o pracę nie było łatwo, a ta, która była przynosiła niewielkie zarobki. Spółka akcyjna zaś dawała przyzwoite wynagrodzenia, potrzebowała bowiem fachowców i solidnych, piśmiennych, pracowników. Warunki życia na budowie nie były jednak łatwe. Antoni Ossendowski, który porzucił pracę docenta na politechnice w Tomsku na rzecz owej budowy wspomina, że mieszkał w jednej klitce drewnianego baraku obok innych kolegów, gdzie miał i swoje biuro i miejsce do spania, bo najpierw budowano tory, a potem domy i biura.

Praca była niebezpieczna, gdyż ekipy napadali chunchuzi czyli chińscy rozbójnicy żyjący z grabieży, tak że trzeba było mieć broń pod ręką. Stopniowo nadrzeczne pole przekształcało się w miasto, jego plan przestrzennego zagospodarowania był dziełem innego Polaka Eugeniusza Dynowskiego wybranego burmistrzem. Dzięki jego działalności Harbin rozwijał się w sposób planowy, na wzór miast europejskich. Powstające ulice były szerokie i proste, układ miasta logiczny. Dbano o funkcjonalność powstających budowli, ich ekonomię, i prostotę. Nie było tego, co kojarzy nam się ze sztuką Azji – nadmiaru dekoracji, smoków, jaszczurów, ozdobnych detali. Dzięki temu miasto leżące w dalekiej Azji wydaje się nam znajome i bliskie. Mamy wrażenie, że wędrujemy po Łapach, Sokółce, czy Wołominie.

Zatrudnieni tam Polacy szybko się zorganizowali, zbudowali kościół, założyli chór o nazwie Lutnia, takiej samej jak ten działający w końcu XIX i początkach XX wieku w naszej Łomży. Nawet repertuar śpiewanych pieśni był podobny. Przypadek czy świadoma łączność z małą ojczyzną w dalekiej Azji? Ukończony pierwszy kawałek linii kolejowej był okazją do stworzenia polskiej szkoły podstawowej już w 1904 roku. Wydawano też własną, polską gazetę.

W 1916 roku utworzono w Harbinie polskie gimnazjum z wyłącznie polskim językiem nauczania. Był to rok zakończenia budowy linii do Władywostoku. Nosiła ta otwarta świeżo szkoła imię Henryka Sienkiewicza. W tym czasie do polskich szkół uczęszczało już 300 dzieci. Jednym słowem zbudowano zwartą polską enklawę w samym sercu Mandżurii. Nawet prawo, a nie tylko administracja było w naszych rękach.

Naczelnikiem Cywilnego Zarządu Kolei był Bronisław Grąbczewski, badacz Azji Centralnej, odznaczony przez Cesarskie Towarzystwo Geograficzne złotym medalem za swoje prace. W jego ręku było także karanie za przewinienia. Stosował zresztą specyficzny system. Europejczycy podlegali karom wymierzonym przez Spółkę, a Chińczyków odsyłało do ich władz, czego bardzo się bali, gdyż kary wymierzane były od razu i to bardzo surowe ze ścięciem włącznie. Antoni Ossendowski w *Pamiętniku* wspomina takie wydarzenie, którego był świadkiem.

W czasach rewolucji październikowej Polonia harbińska zatrudniała rodaków uchodzącymi przed walkami wewnętrznymi w Rosji, opiekowała się sierotami i dziećmi. Tam trafił między innymi 12-letni zbieg z Korpusu Kadetów we Władywostoku Teodor Parnicki – nie znający polszczyzny, którym się serdecznie zajęto. Chłopiec skończył tam Sienkiewiczowskie gimnazjum, zdał maturę i przez tamtejszego Konsula RP a zarazem nauczyciela historii został

wyprawiony na studia do Lwowa na Uniwersytet Jana Kazimierza, pod skrzydła znanego i cenionego badacza romantyzmu profesora Juliusza Kleinera.

Dobrze więc iż tę mało znaną kartę naszych dziejów przypomniła konferencja zorganizowana przez Katedrę Etnologii i Antropologii Kulturowej oraz Katedrę Międzynarodowych Stosunków Kulturalnych i Badań Etnicznych Wydziału Zamiejscowego Nauk Prawnych i Ekonomicznych Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II w Tomaszowie Lubelskim przy wydatnej pomocy organizacyjnej Zarządu Krajowego Stowarzyszenia Wspólnota Polska. Referaty przypomniły polski wkład koncepcyjny nie tylko w budowę samej linii kolejowej przebiegającej przez trudny, zmieniający się teren poprzecinany górami, z charakterystycznymi dla Azji szerokimi, głębokimi rzekami, ale też wkład polskich inżynierów w budowę lokomotyw i taboru kolejowego. Zarząd Spółki Akcyjnej doceniając wiedzę Polaków wysłał nawet grupę inżynierów do Stanów Zjednoczonych, aby przyjrzeni się tamtejszej magistrali kolejowej i używanym na niej parowozom.

Nasi inżynierowie nie tylko obejrzeni amerykańskie lokomotywy, ale rozłożyli je na czynniki pierwsze i po powrocie do Harbina wprowadzili znaczące zmiany konstrukcyjne usprawniające pracę maszyn. Rządy dwudziestolecia międzywojennego doceniały rolę i poziom działalności Polaków w Mandżurii, czego dowodem było utworzenie tam konsulatu i mianowanie konsulem znanego sinologa Konstantego Symonolewicz. Dzięki temu stosunki nasze z Państwem Środka układały się bardzo dobrze. Innym dowodem było uznanie polskiego gimnazjum w Harbinie za polskie gimnazjum humanistyczne. Druga wojna światowa właściwie przecięła rozwój kulturalny i ekonomiczny polskiej enklawy w Mandżurii, ale ślady naszej tam obecności istnieją do tej pory. Co ciekawe władze chińskie Harbina, teraz już ogromnego, milionowego miasta, zachowały w niezmiennym stanie zbudowane przez Polaków centrum. Wdaje się, iż jest to dowodem na szacunek i dobre wspomnienia, który zostawili po sobie Polacy i w samym Harbinie i wzdłuż całej zbudowanej linii kolejowej. Został więc po nas kawałek Europy w samym sercu Azji. I dobre wspomnienia ludzi innej kultury, i innego obyczaju, na których szacunek na pewno nie było łatwo zapracować.

Uczestniczący w konferencji uczeni w referatach swoich przypomnieli też, iż mandżurska enklawa przeżywała również trudne chwile. Przede wszystkim z przyczyn międzynarodowych wydarzeń historycznych, na przykład w czasie walk rosyjsko-japońskich, gdyż działania frontowe przenosiły się na tereny należące do spółki. Także rewolucyjne wrzenia październikowe w Rosji oraz walki „białych z czerwonymi” docierały na mandżurskie pogranicze. Dodajmy, że do Harbina przybyli także żołnierze V Syberyjskiej Dywizji po poddaniu się pod Krasnojarskiem 2 stycznia 1920 r.

Dobrze zorganizowana Polonia cicho i spokojnie kontynuowała swoją pracę u podstaw i doskonaliła aktywność swoich agend. Wrócili Polacy do kraju dopiero po zakończeniu działań wojennych II wojny światowej po pół wieku pracy w Mandżurii. Zostawili tam dużą część swojego życiowego dorobku, ale i dobre po sobie wspomnienia. Dobrze więc, że wspomniana konferencja przypomniła tę mało znaną kartę naszych dziejów, gdyż jest to trwały wkład Polaków w światowe dziedzictwo techniczne i kulturalne. Wkład trudny do przecenienia.

Barbara Noworolska

• **10 LAT „POLONII TOMSKIEJ”
I DNI KULTURY POLSKIEJ (TOMSK, 11-13 X 2013)**

Ślady polskiej diaspory w Tomsku sięgają najdawniejszych dziejów miasta, a w XVII wieku właściwie ostrogu, w budowie którego uczestniczyli jeńcy wojenni, poddani Rzeczypospolitej, uczestnicy wojen polsko-moskiewskich. Czterechsetletnia burzliwa historia polskich zesłańców i dobrowolnych przesiedleńców na te obszary, w znaczącym stopniu zadecydowała o kształcie kulturowym miasta i regionu. Nie dość wspomnieć tu triumfujący nad Tomskiem kościół pw. Matki Bożej Różańcowej, zbudowany przez polskich zesłańców, czy oddaloną o niespełna dwieście kilometrów od miasta wieś Biełostok (Białystok) założoną w końcu XIX w. przez dobrowolnych przesiedleńców z guberni grodzieńskiej.¹

Pomimo jednak długiej obecności naszych rodaków na ziemi tomskiej nie we wszystkich okresach możliwy był tu swobodny dla nich rozwój życia kulturalnego i duchowego. Ogromne piętno na współczesne dzieje polonii tomskiej wywarły represje sowieckie lat trzydziestych XX wieku, przymusowa kolektywizacja i inne decyzje polityczne wymuszające na Polakach ukrywanie swej narodowej tożsamości. Doprowadziło to w wielu przypadkach do zupełnej rusyfikacji polskich środowisk. Upadek ZSRR stworzył nowe możliwości dla rozwoju kulturalnego mniejszości narodowych na obszarach Federacji Rosyjskiej. Już w 1990 roku w Tomsku zostało utworzone stowarzyszenie Dom Polski, a pięć lat później powstała organizacja polonijna Tomskie Polskie Centrum Narodowe „Orzeł Biały”. 11 października 2003 roku organizacje połączyły się tworząc Narodową Autonomię Kulturalną Polaków Tomska „Polonia Tomska”.

W październiku 2013 roku przypadła dziesiąta rocznica tego wydarzenia stając się tematem przewodnim Dni Kultury Polskiej organizowanych przez „Dom Polski” od 1996 roku. Ze względu na rocznicowy charakter wydarzeń w uroczystościach wzięli udział Ambasador RP w Moskwie Wojciech Zajączkowski, Konsul Generalny RP w Irkucku Marek Zieliński, liczni przedstawiciele środowisk polonijnych z Federacji Rosyjskiej (m.in. z Irkucka, Barnaui, Nowosybirsk, Abakanu), a także goście z Polski i Londynu. Uczestniczyli oni w Konferencji Nauczycieli Języka Polskiego oraz seminarium „Polacy w Tomsku. Polacy o Tomsku”.

Pierwszy dzień obrad (11 X 2013) rozpoczął się w auli Tomskiego Państwowego Uniwersytetu Pedagogicznego (TPUP), nota bene najstarszej (1902) syberyjskiej uczelni wyższej. Otwarcia dokonała Aleksandra Guziejewa przewodnicząca „Tomskiej Polonii” oraz rektor tego uniwersytetu Walerij Obuchow. Głos zabrał ponadto Ambasador RP Wojciech Zajączkowski oraz Konsul Generalny RP Marek Zieliński, który uhonorował Wasyla Chaniewicza, kierownika Muzeum Represji Politycznych „Więzienie Śledcze NKWD”, Odznaką Honorową Bene Merito. Odznaczenie to przyznaje od 2009 r. Minister Spraw Zagranicznych RP osobom zaangażowanym w działalność wzmacniającą pozycję Polski na arenie międzynarodowej. Po oficjalnej ceremonii otwarcia nastąpiło

¹ Pełniej o tych dziejach traktuje tom pt. *Polacy w nauce i kulturze Tomka oraz Syberii Zachodniej*, pod red. nauk. A. Kuczyńskiego i M. Marczyka, Wrocław 2008; A. Kuczyński, *W Tomsku, ale nie na zesłaniu*, „Zesłaniec”, nr 10, 2002, s. 114-120.

rozpoczęcie obrad Konferencji Nauczycieli Języka Polskiego, w której wzięło udział około pięćdziesięciu pedagogów pracujących Rosji oraz eksperci glotto-dydaktyki z Polski m.in. dr Grażyna Przechodzka (Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie) mgr Urszula Dobesz (Uniwersytet Wrocławski), dr Małgorzata Smereczniak (Uniwersytet Śląski w Katowicach).

Równocześnie toczyły się obrady seminarium naukowego „Polacy w Tomsku. Polacy o Tomsku” prowadzonego przez Wasyla Chaniewicza i prof. Bolesława Szostakowicza z Uniwersytetu Państwowego w Irkucku. W spotkaniu uczestniczyła dziekan Wydziału Historyczno-Filologicznego Tomskiego Państwowego Uniwersytetu Pedagogicznego Tatiana Gałkina oraz badacze dziejów polskich na Syberii – m.in. Wanda Jarmolińska (Barnauł), Aleksiej Żurawkow (Nowosybirsk), Gienadij Iwanow (Ułan-Ude). W trakcie obrad przedstawiono najnowsze publikacje związane z tematyką polską na Syberii – biografię tomskiego lekarza i pedagoga Władysława Piruskiego, autorstwa W. Łobanowa i W. Rewiakiny, a także dwa zbiory dokumentów poświęcone historii Polaków w kraju tomskim w opracowaniu W. Chaniewicza. Szczególną uwagę ze względu na przeglądowy charakter zwróciła publikacja pt. *Polacy w kraju tomskim. Wybór dokumentów archiwalnych i materiałów*. Podczas tej części spotkania Bogusław Kosel przedstawiciel Muzeum Wojska w Białymstoku zaprezentował projekt budowy oraz misję powstającego w tym mieście Muzeum Pamięci Sybiru, a także płaszczyzny współpracy tej placówki z ośrodkami naukowymi w Federacji Rosyjskiej.

Druga część seminarium odbywała się po przerwie w siedzibie Tomskiego Obwodowego Muzeum Krajoznawczego im W. Szatiłowa i w całości poświęcona była kwestiom współpracy pomiędzy tą placówką a Muzeum Wojska w Białymstoku w ramach projektów „Syberyjska Akademia Muzealnictwa” oraz „Białystok – Biełostok”. Spotkanie było transmitowane w czasie rzeczywistym do siedziby Muzeum Wojska, gdzie uczestniczyli w nim dyrektor Robert Sadowski, Sylwia Trzeciakowska, kierownik Działu Badań Zsyłek i Deportacji oraz dziekan Wydziału Historyczno-Socjologicznego Uniwersytetu w Białymstoku prof. Wojciech Śleszyński.

Syberyjska Akademia Muzealnictwa to wieloetapowy projekt edukacyjny skierowany do studentów i absolwentów kierunków humanistycznych zainteresowanych tematyką syberyjską. Zadaniem jej jest uzupełnienie wiedzy uczestników zdobytej w trakcie studiów uniwersyteckich o szereg praktycznych kompetencji ułatwiających podjęcie samodzielnej pracy naukowej w obszarze badań nad historią i kulturą odległych obszarów Rosji oraz polskiego dziedzictwa kulturowego za Uralem a także dostosowania jej do potrzeb współczesnego muzealnictwa, czy animacji kultury. W Białymstoku w pierwszej edycji Akademii bierze udział 9 słuchaczy. Plan wykładów i warsztatów zaprogramowany został na cały rok akademicki. Zajęcia rozpoczęły się w październiku 2013 r. Zakończenie planowane jest w czerwcu 2014 roku. Przez okres realizacji projektu uczestniczący w nich uczą się bezpłatnie języka rosyjskiego na lektoracie zorganizowanym przez Muzeum Wojska w Białymstoku. Program przewiduje również wizyty studyjne słuchaczy w największych polskich muzeach, a jeśli organizatorzy pozyskają stosowne środki również wyjazd do Tomsku w końcowej części projektu. Ponadto każdy ze słuchaczy jest zobligowany do przygotowania autorskiego przedsięwzięcia związanego z tematyką syberyjską – wystawy, filmu, bądź artykułu naukowego i przedstawienia go na „Międzynarodowej

Konferencji Naukowej Sybir: Doświadczenia. Pamięć”, zaplanowanej na 22-23 maja 2014 r. w Białymstoku. Projekt Syberyjskiej Akademii Muzealniczej jest przedsięwzięciem dwustronnym od stycznia 2014 roku rozpoczęły się zajęcia w tomskiej edycji projektu. Drugi projekt „Białystok – Biełostok” związany jest z modernizacją izby pamięci w syberyjskim Biełostoku. Jednakże dotąd nie zostały jeszcze wypracowane przez strony żadne wiążące ustalenia w tej mierze.

Po telekonferencji przedstawiciele organizacji polonijnych przebywający w Tomsku udali się do Sali Posiedzeń Rektoratu Tomskiego Uniwersytetu Pedagogicznego, gdzie obradowała Konsultacyjna Rada Polonijna pod przewodnictwem Konsula Generalnego RP Marka Zielińskiego.

Zwieńczeniem pierwszego dnia obchodów Dni Polskiej Kultury w Tomsku był festiwal kultury polskiej „Poloniada”, na którym zaprezentowały się zespoły artystyczne z Syberii. Występ rozpoczęła miejscowa grupa taneczno-wokalna „Łowiczanka” w repertuarze pieśni ludowych. Pokazu tańców polskich podjął się zespół młodzieżowy „Syberyjski Krakowiak” z Abakanu. W trakcie wieczoru zaśpiewali również liczni soliści m.in. Anna Helena Lubowska, Wanda Jarmolińska czy Wasilisa Titowa z muzykami ze Studia Akcent. Polonia Tomska z okazji swojego jubileuszu otrzymała życzenia od obecnych na festiwalu Ambasadora RP Wojciecha Zajączkowskiego, Konsula Generalnego RP Marka Zielińskiego, rektora Tomskiego Uniwersytetu Pedagogicznego Walerija Obuchowa i przedstawicieli irkuckiej Polonii prof. Bolesława Szostakowicza i Natalii Bartoszewicz przewodniczącej Polskiej Autonomii Kulturalnej „Ogniwo”.

Drugi dzień obchodów (12 X 2013) Dni Kultury Polskiej w Tomsku rozpoczęła uroczystość odsłonięcia tablicy pamiątkowej na budynku byłego Polskiego Domu Dziecka przy ulicy Róży Luksemburg 48a. W latach 1942-1943 schronienie znalazło tam ponad 180 dzieci obywateli polskich deportowanych do Związku Radzieckiego w 1940 i 1941 roku. Odsłonięcia dokonał Ambasador RP Wojciech Zajączkowski, a tablicę poświęcił ks. Andrzej Duklewski, proboszcz parafii pw. Matki Bożej Różańcowej w Tomsku. Następnie uczestnicy ceremonii udali się do tomskiego kościoła, gdzie w intencji syberyjskiej Polonii odprawiono Mszę św., w której uczestniczyli zaproszeni goście oraz przedstawiciele miejscowej polskiej społeczności.

W dalszej części dnia kontynuowała obrady Konferencja Nauczycieli Języka Polskiego, dydaktycy odbyli wizytę w Szkole nr 16, gdzie przeprowadzono pogładową lekcję, będącą swoistą formą warsztatów edukacyjnych. Równolegle uczestnicy seminarium historycznego przenieśli się do Muzeum Represji Politycznych, którego zwiedzaniu przewodniczył kierownik placówki W. Chaniewicz. W Muzeum gościli także przedstawiciele polskiego korpusu dyplomatycznego Ambasador RP Wojciech Zajączkowski i Konsul Generalny RP Marek Zieliński. Ambasador złożył kwiaty pod pomnikiem poświęconym pamięci Polaków ofiar stalinowskich represji na ziemi tomskiej w latach 1930-1956, a także dokonał wpisu w księdze pamiątkowej Muzeum. Dodajmy tu przy sposobności, że idea powstania tej tablicy zrodziła się podczas oficjalnej wizyty w Tomsku przedstawicieli Zarządu Głównego Związku Sybiraków Antoniego Kuczyńskiego i Janusza Przewłockiego (2002), szczęśliwie urealniona przez organizacje polonijne Tomska.

Wieczorem w Małej Sali Filharmonii Tomskiej znajdującej się w siedzibie Tomskiego Obwodowego Muzeum Krajoznawczego odbył się koncert polskiej

skrzypaczki Katarzyny Duda z akompaniamentem fortepianowym Mirosława Feldebla. Muzycy zaprezentowali bogaty program utworów Witolda Lutosławskiego, wpisując się tym samym w obchody setnej rocznicy urodzin mistrza.

Ukoronowaniem obchodów jubileuszu Polonii Tomskiej był niedzielny wyjazd (13 X 2013) delegacji gości i miejscowych działaczy polonijnych do wsi Biełostok (Białystok), w której zaplanowano spotkanie z mieszkańcami i władzami rejonu krywoszejńskiego. Spotkanie rozpoczęło się w miejscowym kościele pw. św. Antoniego z Padwy, zbudowanym przez osadników z guberni grodzieńskiej na początku XX wieku. Powitania delegacji dokonali przedstawiciele władz rejonowych i pochodzący z Biełostoku Wasyl Chaniewicz. A potem przemawiali też wicekonsul RP w Irkucku Joanna Szeliga, prof. Bolesław Szostakowicz (Irkuck), Bogusław Kosel (Muzeum Wojska Białystok) oraz druhna Grażyna Pietrykowska z Londynu.

Po spotkaniu w kościele delegacja udała się pod pomnik upamiętniający ofiary – mieszkańców wsi Biełostok, rozstrzelane przez NKWD w okresie wielkiego terroru w ZSRR. Następnie goście odwiedzili izbę pamięci w budynku miejscowego przedszkola, w którym zgromadzone są przedmioty z kilkudziesięcioletnią historią, wśród nich narzędzia używane przez założycieli wsi.

W mniej oficjalnej atmosferze przebiegała dalsza część spotkania, w trakcie której rozmawiano o konieczności i potrzebie stworzenia w syberyjskim Biełostoku domu otwartego, stanowiącego bazę noclegową dla turystów, a tym samym miejsca dla spotkań mieszkańców wsi. Życzeniem na przyszłość jest także wznowienie nauczania dzieci i młodzieży języka polskiego oraz modernizacja biełostockiej izby pamięci. Zależnie od możliwości finansowych zadania tego mogliby się podjąć słuchacze Syberyjskiej Akademii Muzealnictwa. W godzinach popołudniowych większość oficjalnych gości wyjechała z Biełostoku. Na nocleg pozostali tu jedynie druhna Grażyna Pietrykowska i Bogusław Kosel, których misja we wsi jeszcze się tu wówczas nie zakończyła.

W południe tego 14 października do Biełostoku przybył proboszcz tomski ks. Andrzej Duklewski wraz z dwiema siostrami zakonnymi, aby odprawić Mszę świętą. Tuż po nabożeństwie druhna Grażyna Pietrykowska przekazała biełostockiej społeczności podarunki ufundowane przez polonię londyńską. Z okazji polskiego Dnia Edukacji Narodowej, dzieci i młodzież ze wsi otrzymały paczki zawierające zeszyty, materiały piśmiennicze, farby i inne drobne upominki. Natomiast najstarsi mieszkańcy zostali obdarowani ciepłą odzieżą – wełnianymi rękawiczkami, szalikami i grubymi bamboszami, a także środkami do codziennej higieny osobistej. Te zupełnie symboliczne pod względem wartości materialnej dary stanowiły swoistego rodzaju dar serca rodaków z Londynu, potwierdzający więź z polskością i Polakami rozsianymi po całym świecie, dowodzi to, że Polskę nie zależnie od miejsca zamieszkania nosi się w sercu.

Przed odjazdem do Tomsku goście odwiedzili biełostocki cmentarz urokliwie położony na skraju wsi. Wiele jest na nim nagrobków zawierających polskie imiona i nazwiska, starsze pisane czcionką łacińską, młodsze grażdanką. Piorunujące wrażenie wywołuje, zwłaszcza kiedy ogląda się starsze nagrobki, brak pochówków męskich. Brakuje tu pokolenia mężczyzn, mieszkańców wsi aresztowanych i rozstrzelanych w 1938 roku.

Obchody rocznicowe Polonii Tomskiej i Dni Kultury Polskiej w Tomsku dowodzą siły i prężności, jakimi cechuje się ta społeczność. Różnorodność

towarzyszących im przedsięwzięć zarówno naukowych jak i artystycznych daje nadzieję na dalszy rozwój kultury i świadomości narodowej naszych rodaków mieszkających w tej części Syberii. Wiąże się z tym jednak konieczność zdecydowanych działań również ze strony Macierzy i prowadzenia konsekwentnej polityki wspierającej syberyjskich rodaków w pielęgnowaniu tradycji i pamięci o polskich korzeniach. Nowe szanse w tej mierze stwarzać będzie również Muzeum Pamięci Sybiru w Białymstoku mające w pewnym sensie stanowić okno na wschód, platformę łączności naukowej i kulturalnej pomiędzy Polakami, dla których słowa Syberia i Sybir nie są obce.

Bogusław Kosel

• SYBERYJSKA LEKCJA HISTORII

Problematyka związków polsko-syberyjskich przez wiele lat naszej powojennej historiografii pozostawała w zasadzie poza sferą badań naukowych. Ożyła ona dopiero po przemianach społeczno-politycznych, w efekcie których nastąpiło zlikwidowanie cenzury. Kolejne lata po tych zmianach przyniosły pojawienie się tzw. literatury syberyjskiej mającej charakter ujęć monograficznych oraz wspomnieniowych. Autorami tych ostatnich są zesłańcy na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony Związku Radzieckiego, którzy znaleźli się tam w rezultacie czterech masowych deportacji w latach 1940-1941, przede wszystkim z Kresów Wschodnich po anektowaniu ich w granice ZSRR po 17 września 1939 roku.

Liczba aresztowanych wówczas obywateli polskich, wśród których byli także Żydzi, Ukraińcy, Litwini i Białorusini, sięgała ponad półtora miliona, jednak przyznać trzeba, że nie są to szacunki dokładne, budzące dość często sprzeczne opinie, zwłaszcza ze strony historyków rosyjskich, znacznie zaniżających te szacunki, a bywa, że podobne opinie wysuwane są przez krajowych badaczy tego problemu.

Do Kraju Ałtajskiego, położonego w południowo-zachodniej Syberii udałam się w ramach programu badawczego pod nazwą „Syberia w poszukiwaniu przeszłości i przyszłości” realizowanego przez Wrocławską Fundację Edukacji Europejskiej i Współpracy Międzynarodowej. Według oficjalnych danych trafiło tam w wyniku wspomnianych około 17 tys. Polaków. Największa fala zsyłek w ten rejon, miała miejsce późną wiosną 1941 roku.

Do dziś jednak pojawiają się rozbieżności, co do ilości obywateli polskich zesłanych wówczas do Ałtajskiego Kraju. Eszelony deportacyjne dojeżdżały do stacji Barnauł, która była tylko czasowym przystankiem dla części zesłańców, których stąd kierowano do osad odległych możliwie najdalej od miasta. Pozostałych konwojowano dalej do stacji wiodących w kierunku Bijska, skąd przewożono ich samochodami ciężarowymi do wsi leżących w głębi tajgi. Spora liczba zesłańców trafiła wówczas do kołchozowych osad, innych zaś umieszczono w barakach znajdujących się w posiołkach, nieopodal rzeki Ob, gdzie najczęściej zajmowali się wyrębem lasów i „przemysłem drzewnym”.

Dzięki wspomnianej fundacji miałam możliwość uczestniczyć w piątej już ekspedycji badawczej (17-27.VIII. 2013) poszukującej śladów zesłanych tam Polaków, ofiar stalinowskich represji by na odnalezionych mogiłach umieścić

tabliczkę memoratywną z napisem „W tym miejscu spoczywają Polacy – zesłani do Kraju Ałtajskiego w latach 40. XX wieku. Cześć ich pamięci”. Ważnym przedsięwzięciem programowym ekspedycji były pobyty we wioskach, w których mieszkali zesłańcy. Wpisywały się one w istotny element historii zesłań mający charakter tzw. antropologii pamięci, stanowiącej ważny punkt dojścia do odtworzenia możliwie pełnego obrazu życia w syberyjskim „domu niewoli”. W takim właśnie odnajdywaniu „innego świata” dopełnia się obraz zesłańczych losów Polaków w Kraju Ałtajskim, pomniejszający poczucie nienasycenia faktografii z tym związanej.



Uczestnicy wyprawy. Od lewej: Mateusz, Joanna, Edyta, Marek

Elementem tej wyjątkowej dla mnie lekcji były wyjazdy do wiosek mniej lub bardziej odległych od Bijska w poszukiwaniu świadectw i świadków pobytu Polaków w tych miejscowościach. Podczas wyprawy udano się dotrzeć do miejscowości Kutasz, w której znajduje się niewielki cmentarz ze znakiem pamięci mającym charakter obelisku poświęconego zmarłym zesłańcom oraz do miejscowości Ozero Pietrowskoje, gdzie według informacji Sybiraczki z Lublina, przekazanej jednej z uczestniczek wyprawy, przebywali również polscy zesłańcy. W Bijsku uporządkowano otoczenie pomnika znajdującego się na symbolicznej mogile miejscowego cmentarza z napisem „Pamięci Polaków – zesłańców i ofiar represji stalinowskich, których prochy spoczywają na Ałtaju. Gdzie są ich groby Polsko? Gdzie ich nie ma! Ty wiesz najlepiej i Bóg wie na Niebie”. Tam też znajduje się mogiła Władysława Jaruzelskiego.

Każde z tych dokumentacyjnych przedsięwzięć ocierało się wśród uczestników wyprawy o atmosferę powrotu do lat minionych, do odtwarzania życia zesłańców w niewoli, ich oczekiwania na wolność i powrót do kraju. Każdy z nas przeżywał to, mniej lub głębiej, wedle miary własnej osobowości, znajomości historii zesłań oraz nabierał przekonania o konieczności trwania pamięci

o tym fragmencie naszych syberyjskich dziejów! Rozmyślania te przebierały charakter próby zrozumienia moralnego i politycznego wspomnianych na wstępie akcji deportacyjnych. Z takich właśnie działań prowadzonych przez fundację tworzy się obraz pobytu Polaków na Syberii w okresie drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu.



Ks. Andrzej Obuchowski – dobry duch wyprawy

Trzeba jednak tu wspomnieć, że działania prowadzone przez fundację, nie były by możliwe gdyby nie pomoc mieszkającego w Bijsku księdza Andrzeja Obuchowskiego, który w 1997 roku wyruszył na trudny, pełen poświęcenia Bogu i bliźnim misyjny syberyjski szlak. Urodził się on 25 kwietnia 1965 roku w Jeleniej Górze, a jego rodzice Regina i Marian Obuchowscy pochodzący z Białorusi, byli Polakami repatriowanymi w 1959 roku. Święcenia kapłańskie przyjął 19 maja 1990 roku, a pierwsza parafia, w której pracował była w Oleśnicy, gdzie spędził cztery lata, drugą zaś był wrocławski kościół pod wezwaniem św. Stanisława, Doroty i Wacława zwany kościołem polsko-niemiecko-czeskiego pojednania. W Polsce w latach 1994-95 studiował dziennikarstwo, po czym trzy lata pracował w diecezjalnym „Radio Rodzina” we Wrocławiu, prowadząc cotygodniowe audycje autorskie pod nazwą: „Sprawy najprostsze”. Pomagał też

redakcji diecezjalnej gazety „Nowe Życie”, często publikował w krajowej prasie katolickiej. Jest autorem ponad 200 artykułów w różnych polskich czasopismach. Po siedmiu latach pracy w Polsce postanowił wyjechać z posługą duszpasterską do Rosji. Zaproszony przez bp. Józefa Wertha do pracy na Syberii, w 1997 roku, trafił do Barnaułu, gdzie pracował z ks. Romanem Całym, swoim młodszym kolegą z seminarium, który w Rosji gościł już od 1993 roku.



Siostra Agnesa z parafialnymi dziećmi

Z woli księdza biskupa została utworzona nowa parafia w Bijsku licząca 130 tysięcy kilometrów kwadratowych, oddalona od Barnaułu o ponad 160 km, którą powierzono opiece ks. Andrzeja. Dzięki ludziom dobrej woli, możliwe stało się kupienie najpierw mieszkania, później zaś, w 1999 roku domu. Obecnie dzięki jego przedsiębiorczości oraz ogromnemu zaangażowaniu znajduje się tam kaplica, są też sale katechetyczne i mieszkanie księdza, które zawsze stoi otworem dla parafian. Wspomagają go w tym siostry zakonne bezgranicznie oddane świadczeniom duchowych potrzeb dzieci uczęszczającym na lekcje religii. On sam zaś często udaje się do okolicznych wsi z posługą duszpasterską, gdzie odprawia Msze św. oraz udziela sakramentów. Ofiarowana mu parafia liczy 130 tysięcy kilometrów kwadratowych. W gościnie u ks. proboszcza przebywają często uczestnicy

fundacyjnych wypraw. Ważkie i potrzebne jest również podkreślenie faktu, że Wielebny ks. Andrzej jest dobrym duchem wszelkich poczynań dokumentacyjnych, prowadzonych przez Fundację „Freya” i często wspomaga ją w działaniach mających upamiętnić Polaków zesłanych w tę część Ałtaju. Podczas swojej syberyjskiej misji, mimo licznych wyzwań związanych z pracą duszpasterską oraz rozbudową kościoła, nie zaniechał działalności dziennikarskiej zajmując się prowadzeniem wydawanej w Nowosybirsku „Syberyjskiej Katolickiej Gazety” oraz prowadząc stronę internetową www.misja-bijsk.org.

Ksiądz Andrzej jest postacią, która świetnie łączy działalność duszpasterską ze swoistą refleksją nad potrzebami wiernych dotyczących nie tylko sfery religijnej, ale także innych potrzeb życiowych wynikających z codzienności. W gruncie rzeczy stworzył przy parafii przystań dla ludzi oczekujących pomocy. Jest Człowiekiem prawdziwej wiary, w życiu którego widać wyraźnie biblijną przypowieść o zwycięstwie dobra nad złem. Za tę postawę jawi się on w zmaterializowanym świecie jako apostoł-pielgrzym, póki co nie dający się pokonać zachowując ludzką godność.

Ale dość tych dygresji i przemyśleń o „księdzu dobrodzieju”, jakie zabrałam z Bijska wracając do kraju, które do dzisiaj wcale nie wygasły, ba nawet absorbują myśl moją, gdy powracam do tej pożytecznej wakacyjnej przygody. To nie wszystko, rzecz jasna, ale pobyt ten na dalekim Ałtaju postrzegam jako ważne doświadczenie życiowe, którego streścić się nie da. Póki co, ważne jest jednak to, że pojawiła się taka okazja aby odbyć tę daleką historyczną i ubogacającą duchowo studyjną podróż, dzięki wspomnianej fundacji „Freya” realizującej program „Syberia w poszukiwaniu przeszłości i przyszłości 2009-2015”. Dziękuję jej za to!

Wyjazd na Syberię to niesamowite dwa tygodnie pełne wydarzeń, nauki historii dającej możliwość poznania jej z innej perspektywy, która w magiczny sposób staje się żywa i przestaje być tylko książkowym faktem, ciężkiej pracy niosącej wiele satysfakcji, bo pracy na miejscach spoczynku zmarłych na zesłaniu Rodaków. Uczestniczenie w tym projekcie uzmysławia jak ważna w życiu jest pamięć i pomoc potrzebującym, zwykła ludzka życzliwość, ponad to jest doskonałą okazją do samorealizacji.

Joanna Okoń

REGAŁ Z KSIĄŻKAMI

- Tomasz Grzywaczewski, *Przez dziki Wschód*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2012, s. 440.

Było trochę odważnych, próbujących pokonać syberyjskie bezkresy uciekając z rosyjskich łagrów. Mordercza tułaczka i pogoń za uciekinierami dla większości kończyła się jednak śmiercią. Tragiczne przeżycia zbiegów i długi marsz ku wolności opisał Sławomir Rawicz w bestsellerze *Długi marsz*, Londyn-Warszawa 1993, poprzedzonej „Słowem wstępnym” Ryszarda Reiffa, ówczesnego prezesa Zarządu Głównego Związku Sybiraków. W nocie redakcyjnej zamieszczonej na czwartej stronie okładki informowano, że książka ta „napisana przez polskiego oficera kawalerii, uczestnika ucieczki, została pierwotnie wydana po angielsku i w ciągu 30 lat została przełożona na wiele języków i wydana w Europie, na Bliskim Wschodzie i na Dalekim Wschodzie, m.in. we Francji, Niemczech, Holandii, Norwegii, Szwecji, Iranie, w krajach arabskich, w Republice Południowej Afryki, w Japonii, w Indiach i Ameryce”.

Okazało się po pewnym czasie, że nie były to jednak autentyczne przeżycia autora.. Ucieczkę z gułagu, zakończoną sukcesem, zorganizował Witold Gliński. Ten zesłaniec zainspirował trzech młodych podróżników, między innymi autora książki *Przez dziki Wschód*, by przebyć szlak tej legendarnej ucieczki. Tomasz Grzywaczewski, Filip Drożdż i Bartosz Malinowski podążając śladami Glińskiego i bohaterów *Długiego marszu* przemierzali mikrokosmos niegościnnego dla człowieka rejonu prowadzącego z Jakucka na Syberii przez Mongolię, Tybet i Nepal do Kalkuty. Pokonali ponad 8000 kilometrów nie korzystając z nowoczesnych środków transportu. Płynęli łodziami po syberyjskich rzekach, szli, jechali konno i na rowerach, by móc chociaż w części doświadczyć wschodniej rzeczywistości i trudu tułaczki.

Owoce tej historyczno-podróżniczej ekspedycji jest właśnie prezentowana poniżej reporterska opowieść *Przez dziki Wschód*, która składa się z trzynastu rozdziałów prezentujących ciekawe miejsca oraz zwykłych i niezwykłych ludzi. Czytelnik dowiaduje się skąd pomysł wschodniej wyprawy, jak przebiegały przygotowania do współczesnego „długiego marszu” i czego doświadczyli wędrowcy. Autor stawia sobie wysoko poprzeczkę. Z jednej strony chce oddać „hołd nie tylko bohaterom Wielkiej Ucieczki, ale wszystkim Polakom zesłanym na „niełudzka ziemię”. Również, a może przede wszystkim tym, którym nie dane było z niej wrócić” (s.19). Z drugiej „pokazać fascynującą historię w fascynujący sposób” (s.19), czyli nagłośnić niesamowity fragment polskiej historii, który odchodzi w otchłań zapomnienia. Szybko zmieniający się świat bombarduje człowieka niezliczoną ilością informacji i zmieniających się obra-

zów. Dzisiaj nie wystarczy znaleźć i odkurzyć archiwalne dokumenty, czy dotrzeć do świadków autentycznych wydarzeń, aby zainteresować historią. Trzeba znaleźć niezwykle sposób przykucia ludzkiej uwagi. Autor i jego koledzy poprzez ekspedycję śladami zbiegów syberyjskich odtworzyli mało znany fragment naszej historii.

Wyprawa rozpoczyna się od spotkania z Witoldem Glińskim w jego angielskim mieszkaniu. Dodać też należy, że całość kontekstów z nią związanych to także wiele przygotowań dopełniających i ugruntowujących decyzje o wyruszeniu na ten trudny wędrowny szlak. Zanim jednak to nastąpiło autorzy tego śmiałego, a zarazem jakże trudnego przedsięwzięcia zapoznali się z literaturą pozwalającą wszechstronnie spojrzeć na trasę wędrówki oraz nawiązać kontakty z osobami mogącymi ich wspomagać w realizacji wyprawy. Należały do nich między innymi Walentyna Szymańska, mieszkająca w Jakucku oraz Antoni Kuczyński z Wrocławia, badacz dziejów Polaków na Syberii, któremu na egzemplarzu ofiarowanej mu książki autor umieścił dedykację: *Dla Profesora Antoniego Kuczyńskiego za pomoc w przygotowaniu wyprawy „Przez dziki Wschód”*. Podkreślić też trzeba, że wśród wspierających wyprawę znajdowali się przedstawiciele różnych instytucji i profesji, a z autorskiej relacji dowiadujemy się też o problemach wizowo-paszportowych i logistycznych dotyczących ekspedycji. Mnóstwo trudności trzeba było pokonać, by w końcu 14 maja 2010 roku wyruszyć z warszawskiego Okęcia do Kijowa i dalej do Jakucka. Autor książki pisze: „Lot do Jakucka trwał około szesnastu godzin, z przesiadkami w Kijowie oraz Moskwie, miałem zatem dużo czasu na przemyślenia [...]. Rozmowa z Witoldem Glińskim dała nam niezwykle impuls do działania [...]. Jedziemy po to, aby oddać hołd człowiekowi, który swoim życiem pokazał, że nigdy nie wolno poddawać się w walce o wolność” (s.47).

Reporterska narracja nie pomija wielu szczegółów i spostrzeżeń z przebiegu wyprawy. Autor interesująco relacjonuje przebieg *Long Walk PLUS Expedition*, jednocześnie też opisuje miejsca pobytu, lokalne społeczności oraz ludzi spotkanych na tym długim wędrownym szlaku. O Jakucji np. dowiadujemy się, że ma obszar ponad 3 mln km² i posiada niespełna milion mieszkańców, z czego tylko część stanowią Jakuci. Kraj ten w części jest obszarem niemal bezludnym, gdzie temperatury spadają nawet do minus 65 stopni Celsjusza. Uważny czytelnik bez trudu zauważy, że pewne wątki tej reporterskiej opowieści dotyczą Jakucka, w którym w oczekiwaniu na wiosnę i żeglowność Leny członkowie ekspedycji mieli okazję przyglądać się miejscowemu społeczeństwu, specyfice życia jego mieszkańców oraz różnym sytuacjom o szerokim spektrum faktograficznym. W niczym nieograniczani w tym postrzeganiu mogli liczyć na pomoc wspomnianej już W. Szymańskiej, animatorki przedsięwzięć poznawczych (konferencje, seminaria, publikacje) dotyczących dziejów Polaków w Jakucji, inicjatorce wzniesienia w Jakucku pomnika poświęconego polskim badaczom tego Kraju nad Leną, założycielki stowarzyszenia, którego członkami są mieszkańcy Jakucji mający świadomość swoich polskich korzeni.

Kiedy spływ rzeką stał się możliwy autor omawianej książki zabiera nas z wizytą do nadrzecznych osad i przysiółków, karmi i poi lokalnymi specjami, przybliża tradycje i kulturę tego regionu. Wraz z uczestnikami wyprawy mamy możliwość przeżyć najdziwniejsze przygody, śmieszne, ale też straszne.

W pobliżu miasta Olekmińska ekspedycja dociera do łągru, bardzo podobnego do tego, z którego uciekł Gliński. Są rozczarowani, tym co zastają na miejscu. „Jak okiem sięgnąć, wszędzie były tylko zarośla. Tajga taka sama jak w każdym innym zakątku Jakucji [...]. Nagle dotarło do mnie, że o tym znikającym z powierzchni ziemi miejscu morderczej pracy i śmierci być może wiedzą tylko okoliczni mieszkańcy, a teraz również i my” (s. 168 i 171). Ocalić od zapomnienia, ta szczytna idea, pojawia się także na kartach tej książki.

Tomasz Grzywaczewski wielokrotnie oddaje głos miejscowym ludziom, którzy dzielą się swoimi przemyśleniami i wiedzą, między innymi Piotr Gabyszew, nauczyciel historii z wioski Takko opowiada o życiu w łągrze i ucieczkach zesłańców, a Fiodor, inżynier geofizyk, o Dolinie Śmierci, inni mają także swoje historie i lokalne ciekawostki do zaprezentowania.

Polscy podróżnicy w Ust'-Kut zakończyli etap rzeczny podróży i wsiedli do pociągu jadącego do Siewierobajkalska, kurortu nad Bajkałem. Przy okazji autor przybliży Czytelnikowi Magistrale Bajkalsko-Amurską i sam ośrodek wypoczynkowy.

Po przeprawie przez Bajkał wędrowcy rozpoczęli pieszą wędrówkę przez dziką tajgę. „Las, las i jeszcze raz las [...]. Jak opisać monotonną, wielodniową wędrówkę przez tajgę? Właściwie wiele się nie dzieje, ale człowiek robi się coraz bardziej zmęczony, osamotniony, zrezygnowany” (s. 211). Mimo początkowych dylematów, autorowi znakomicie udało się oddać wyjątkowość tego odcinka marszruty. Jest niezwykłość, zabawność, oryginalność. Są trudy i znoje, ale też pomysłowe i nietuzinkowe rozwiązania beznadziejnych sytuacji, ekstremalne przeżycia i przygoda.

Pieszna wędrówka pozwala na dostrzeżenie piękna otaczającego świata i wszystkich jego detali lecz także daje się we znaki. „Ostrożnie oderwałem z piąty fragment obumarłego naskórka. Pod spodem było czerwone, krwawiące mięso. Na śródstopiu i palcach pootwierwały się podobne rany. Paluch prawej stopy zmienił się w wielki bąbel [...]. Pokonanie kilku metrów sprawiało mi gigantyczny ból, a o trzydziestu kilometrach dziennie nawet nie chciałem myśleć” (s. 264). Odpoczynek i wędrówka, tak członkowie ekspedycji pokonywali kilometry rosyjskiej ziemi, a rozmowy z napotkanymi osobami, często przy wódce i zakąsce, stanowiły cenne źródło informacji o tym, co było i jest. Te spotkania i rozmowy Tomasz Grzywaczewski skrzętnie odnotowuje.

Po dwóch miesiącach wędrówki wyprawa *Long Walk PLUS* znalazła się w stolicy Buriacji Ułan Ude, gdzie gościnne przyjęcie ofiarowało polonijne Stowarzyszenie „Nadzieja”, a stamtąd dalej udała się do Mongolii. W kraju Czingiz-chana podstawowym środkiem lokomocji stał się koń. Konno podróżnicy pokonali kilkaset kilometrów stepów. Świat widziany z wysokości końskiego grzbietu autor zaprezentował Czytelnikom.

Z koni wędrowcy przesiedli się na rowery. O etapie mongolsko-chińskim Grzywaczewski pisze: „Jazda rowerami przez step była prawdziwym przeżyciem. Nic cię nie wiąże, nic nie zatrzymuje [...]. Pedalując na południe korytem rzeki Orchon, zbliżaliśmy się w zawrotnym tempie do skraju pustyni Gobi” (s. 329-331). Przystankiem w podróży było Karakorum. Co dziś pozostało po legendarnym mieście? Jak ono wygląda? Na te pytania znajdziemy odpowiedź po lekturze kilku stron książki.

Kolejnym, ogromnym wyzwaniem dla podróżników jest pustynia Gobi. Wszędzie wciskający się piach, upał, spalone słońcem góry, monotonia. Walka z warunkami przyrodniczymi i samym sobą – tak widzi Grzywaczewski Gobi. „Podziwiać krajobraz można siedząc w wygodnej, klimatyzowanej toyocie land cruiser. Po całym dniu na niewygodnym siodełku ważne jest tylko aby dotrzeć do skrawka cienia i chłodnej wody” (s. 343-344). Morderczy wysiłek i walka z pustynią nie zakończyły się sukcesem. Co spowodowało zmianę planów? To wyjaśnia sam autor. Mimo komplikacji ekspedycja wróciła na trasę Wielkiej Ucieczki na południowym skraju Gobi już w Chinach.

Opis chińskiego etapu wyprawy oddaje różnorodność tego kraju. Podróżnicy odwiedzają miejsca, które nie znajdują się w przewodnikach i folderach turystycznych oraz doświadczają zwykłości chińskiego życia. Docierają do Tybetu. „Pół wieku chińskiej okupacji w niewyobrażalny sposób wpłynęło na tę krainę – stwierdza Tomasz Grzywaczewski – Dramatycznym ciosem dla Tybetańczyków była rewolucja kulturalna. Jej celem w całych Chinach miało być zniszczenie wszelkich przejawów starego porządku, w tym przede wszystkim religii lamaistycznej, postrzeganej jako zabobon i główny filar feudalnego systemu klasowego wyzysku [...] Atak na buddyzm był więc bezpośrednio skierowany przeciwko tybetańskiej tożsamości” (s. 378). Wiele ciekawostek o życiu i zwyczajach Tybetańczyków zawiera ten reportaż. Problemem na Dachy Świata dla polskich podróżników, ale także dla ludzi nieprzyzwyczajonych do dużych wysokości jest powietrze. By normalnie funkcjonować potrzebne są butle z tlenem. Kłopotem dla obcokrajowców jest też zmilitaryzowanie kraju.

Ekspedycja *Long Walk PLUS* zakończyła się w Kalkucie, gdzie na członków wyprawy czekało gorące przyjęcie i zaszczyty. Stamtąd wrócili do kraju pełni doświadczeń, wrażeń i niezwykłych przeżyć. Na własnej skórze doświadczali czym jest dziki Wschód i poznali, w jakim beznadziejnym położeniu byli wszyscy zesłani w głąb Rosji. Ucieczka z łagru to nie tylko wyrwanie się straży i nadzorowi, ale pokonanie tysięcy kilometrów w ekstremalnych warunkach przyrodniczych. Człowiek, zdany tylko na własne siły przegrywa nierówną walkę z naturą. Podróżnicy nie musieli obawiać się pościgu i konfidentów, mogli korzystać z nowoczesnych środków nawigacji i osiągnięć cywilizacji, a mimo to, z wielkim trudem pokonali morderczy szlak wędrówki zesłańców.

Książka jest kalejdoskopem niebezpiecznych zdarzeń, ciekawych spotkań, interesujących ludzi, różnorodnych kultur i pejzaży. Najbardziej wnikliwym studium dzikiego Wschodu jest część jakucka. Pieszko przez Syberię – bez wątplenia ujawnia fascynację autora tym obszarem. Publikacja wychodzi poza sztywne ramy reportażu. Są w niej elementy podróżnicze, przygodowe, historyczne, społeczne, kulturowe. Jest opisem wyprawy śladami słynnej ucieczki z gułagu, ale jednocześnie przybliżeniem sylwetek spotkanych ludzi, pokazaniem historii i teraźniejszości różnych miejsc, obrazem kultury i zwykłego życia. Jest to też opowieść o sile przyjaźni, zaufaniu i wytrwałości. Książka łączy pasję poznawania i ciekawość świata z przeświadczeniem, że robi się coś dobrego. Wszystko „okraszone” przygodą i młodzieńczą pozytywną energią.

Autor proponuje Czytelnikom współtowarzystwo w ekspedycji na Wschód. Nie koncentruje się na krzywdach przeszłości i dawnej ucieczce z „nieludzkiej ziemi”, a pokazuje rejon świata dziki, surowy i mniej cywilizowany, ale godny życzliwej uwagi i poznania. „Lekkie pióro” Tomasza Grzywaczewskiego sprawia, że książkę czyta się jednym tchem.

Małgorzata Dziura

- **Dorota Sula, *Powrót ludności polskiej z byłego Imperium Rosyjskiego w latach 1918-1937*, Wydawnictwo Trio, Warszawa 2013, s. 364+ 8 fot.**

Zakończenie wielkiej wojny postawiło władze odrodzonej Polski przed poważnym problemem, jakim była repatriacja Polaków, rozrzuconych na bezkresnych obszarach b. imperium rosyjskiego. Dobrze się stało, że właśnie tej problematyce Dorota Sula poświęciła swoją książkę *Powrót ludności polskiej z byłego Imperium Rosyjskiego w latach 1918-1937*. Ta tematyka nie była niestety dotąd zbyt eksponowana w naszej powojennej historiografii. Ograniczenia cenzuralne oraz brak dostępu do wielu materiałów źródłowych spowodował, że tematyka ta była pomijana. Za datę początkową swoich rozważań autorka przyjęła rok 1918, natomiast datą końcową jest rok 1937, kiedy to władze sowieckie ogłosiły zakończenie akcji repatriacyjnej informując stronę polską, że na terenie ZSRR pozostali już tylko ci Polacy, którzy zgodnie z postanowieniami traktatu ryskiego, wybrali obywatelstwo sowieckie.

Omawiana praca została podzielona na pięć rozdziałów. W pierwszym autorka starała się przedstawić dzieje ludności polskiej na terenie imperium, przed 1918 r. Jak pisze z jednej strony byli to ci Polacy, którzy w poszukiwaniu lepszego życia wyjeżdżali z ziem dawnej Rzeczypospolitej na dalekie rubieże carskiego imperium, z drugiej zaś, uczestnicy powstań narodowych i ich potomkowie. Liczba polskiej ludności w głębi Rosji znacząco wzrosła po wybuchu I wojny światowej. Jak pisze autorka, na mocy rozporządzeń władz carskich ewakuowano wówczas w głąb Rosji, z terenów kongresówki, dawnych kresów sylacheckiej Rzeczypospolitej i okupowanych obszarów Galicji, przeszło milion osób.

Rozdział drugi, obejmuje okres od traktatu brzeskiego do powstania niepodległego państwa polskiego. W tym czasie sytuacja ludności polskiej, znajdującej się w głębi Rosji uległa znaczącemu pogorszeniu. Narastająca anarchia, bolszewicki terror, wojna domowa, powodowały, że kto tylko mógł czynił wszystko, aby opuścić tereny byłego imperium. Autorka zwraca uwagę, że jeszcze przed oficjalnym odzyskaniem niepodległości Rada Regencyjna i podległy jej aparat administracyjny rozpoczęły przygotowania do masowej repatriacji. Z oczywistych względów do kapitulacji państw centralnych odbywała się ona w stosunkowo niewielkim zakresie. Polskie władze były w tym względzie zależne od dobrej woli obu okupantów. Jednak mimo licznych trudności udało się zorganizować aparat administracyjny zajmujący się tą problematyką oraz przygotować prawne podstawy akcji repatriacyjnej. Autorka zwraca również uwagę na ogromną rolę Aleksandra Lednickiego – prezesa Komisji Likwidacyjnej Królestwa Polskiego, który wraz z podległymi sobie urzędnikami, starał się otaczać opieką Polaków przebywających na terenie Rosji. Równie ważne, jak pisze autorka, były działania organizacji społecznych, funkcjonujących w polskich skupiskach. Zwraca uwagę, że miarę umacniania się reżymu bolszewickiego, sytuacja polskiej ludności ulegała stopniowemu pogorszeniu. Władze sowieckie nie tolerowały na swoim terenie żadnych organizacji, które nie znajdowały się pod ich kontrolą.

Rozdział trzeci został poświęcony powrotowi ludności polskiej w latach 1919-1920. Sytuacja, jaka panowała wówczas na terenie Rosji, oraz rozpoczynająca się wojna polsko-bolszewicka, spowodowały, że zorganizowanie jakiej-

kolwiek masowej akcji repatriacyjnej nie było możliwe. Pomimo tego, jak pisze autorka, jeszcze w marcu 1919 roku przybył do Moskwy, jako przedstawiciel polskiego MSZ, znany działacz socjalistyczny Aleksander Więckowski. Jego zadaniem było doprowadzenie do zwolnienia polskich zakładników oraz przygotowanie podstaw pod zawarcie umowy o repatriacji Polaków. Rokowania zostały przerwane po rozpoczęciu wyprawy wileńskiej. Tematykę repatriacyjną poruszano również podczas zakończonych fiaskiem nieoficjalnych rokowań w Białowieży i Mikaszewiczach. W latach 1918-1920, z terenów kontrolowanych przez władze bolszewickie powróciły do kraju, w ramach wymiany jeńców i osób cywilnych, jedynie nieliczne osoby. Nieco inna sytuacja panowała natomiast na obszarach kontrolowanych przez armie białych. W miarę istniejących możliwości mieszkających tam Polacy opuszczali swoje domy i starali się przedostać do kraju. Dobrze się stało, że autorka poświęciła tutaj sporo miejsca mało znanemu epizodowi z dziejów polonii syberyjskiej, jakim była ewakuacja kilkuset polskich dzieci, dokonana przy poparciu i pomocy władz japońskich.

Kolejny rozdział został poświęcony masowym powrotom naszych rodaków do kraju, jaki miał miejsce w latach 1921-1924. Dopiero wtedy, po podpisaniu traktatu ryskiego, akcja repatriacyjna mogła ruszyć pełną parą. Utworzono wówczas mieszaną Polsko-Rosyjsko-Ukraińską Komisję Repatriacyjną. To właśnie nasi przedstawiciele w tej komisji nie tylko odszukiwali naszych rodaków rozsianych na bezkresnych przestrzeniach imperium, ale także organizowali ich transport do kraju. Autorka przytacza tutaj liczne świadectwa mówiące, w jak fatalnych warunkach podróżowali nasi rodacy. Wielu z nich zresztą na skutek np. przebytych chorób umierało po drodze nie doczekawszy przybycia do wolnej ojczyzny. Dotyczyło to zarówno transportów z uchodźcami cywilnymi, jak i jeńcami wojennymi. Inną formą powrotu do kraju, była wymiana personalna (konkretnych osób) na aresztowanych w Polsce komunistów.

Ostatni rozdział poświęcony został próbom repatriacji w latach 1924-1937. Po mimo starań polskich władz, nie udało się niestety wznowić na szerszą skalę akcji repatriacyjnej. W wyniku zawartej wówczas konwencji konsularnej ustalono, że osoby, które do 1924 roku nie opuściły terytorium ZSRR, będą mogły to uczynić za pośrednictwem polskich placówek dyplomatycznych oraz za zgodą miejscowych władz. Nie trzeba dodawać, że tylko bardzo nielicznym osobom udało się legalnie opuścić wówczas ZSRR. Tak było np. w przypadku Zofii Brudzińskiej, która zwróciła się z bezprecedensową prośbą do samego Stalina w tej sprawie i o dziwo zgodę na wyjazd otrzymała. Ogromną rolę w umożliwieniu powrotu do kraju naszym rodakom odegrała przedstawicielka PCK Jekaterina Pieszkowa – pierwsza żona Gorkiego. To właśnie dzięki jej staraniom najbardziej zagrożone osoby były wpisywane na specjalne listy wymiany więźniów. To właśnie tą drogą powrócili m.in. ks. Bronisław Ussas, Teofil Skalski i biskup Antoni Malecki.

Omawiana praca w znaczący sposób wzbogaca naszą wiedzę o losach Polaków, którzy nie z własnej woli znaleźli się na terenie imperium, w trudnych latach wojny polsko-bolszewickiej oraz początkach ZSRR. Autorka wykorzystała materiały zgromadzone w Archiwum Akt Nowych (akta polskich placówek dyplomatycznych i ministerstw zajmujących się omawianą problematyką) oraz w Centralnym Archiwum Wojskowym w Rembertowie, gdzie przejrzała m.in. akta oddziału II WP, którego pracownicy odegrali ogromną rolę w prze-

prowadzeniu całej akcji. Wiele interesujących materiałów odnalazła również autorka w Archiwach Państwowych w Krakowie, Lublinie, Poznaniu. Ponadto wykorzystała liczne niepublikowane relacje i inne materiały archiwalne, znajdujące się w zbiorach Archiwum Polskiej Akademii Nauk w Warszawie, Biblioteki Narodowej, Biblioteki KUL oraz Biblioteki Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu. Jeżeli chodzi o zbiory Ossolineum autorka wyróżniła czcionką pogrubioną Zakład Narodowy im. Ossolińskich – Dział Rękopisów „Czasopisma oraz papiery różne Polskiego Komitetu Ratunkowego dzieci Dalekiego Wschodu i innych organizacji polskich z siedzibą w Harbinie 1918-1922”. Zaraz za tym wymienia niepublikowane pamiętniki, które nie stanowią części tego zespołu.

Równie interesujące materiały pozyskała autorka z archiwów rosyjskich w Moskwie (Państwowego i Wojennego). Wydaje się, że przed ponownym ewentualnym wydaniem tej pracy, należałoby przeprowadzić kwerendę w archiwach i bibliotekach Lwowa i Wilna, w których znajdują się akta polskich władz administracyjnych i liczne spuścizny pamiętnikarskie. Z pewnością można by odnaleźć tam wiele interesujących informacji. Obok źródeł rękopiśmiennych, autorka wykorzystała prasę z tamtego okresu, źródła drukowane oraz liczne pamiętniki, monografie i artykuły, zarówno w języku polskim jak i rosyjskim. Nieco zaskakujące jest, że autorka nie wykorzystała w swojej pracy klasycznej już dziś monografii poświęconej Polonii radzieckiej, pióra Mikołaja Iwanowi zatytułowanej *Pierwszy naród ukarany*, wydanej w 1991 r. Podobnie ma się rzecz z wydanymi jeszcze w okresie międzywojennym pamiętnikami Marii Dunin-Kozickiej pt. *Burza od Wschodu*.

Tekst tej interesującej pracy uzupełniają liczne tabele, fotokopie oficjalnych dokumentów oraz nieliczne fotografie. Szkoda, że autorka nie postarała się o dołączenie do swojej pracy ich większej liczby. Z pewnością w zbiorach polskich, nie tylko w Narodowym Archiwum Cyfrowym, można odnaleźć jeszcze wiele interesujących fotografii.

Ta ciekawie napisana przystępnym językiem książka w znaczący sposób wzbogaca naszą wiedzę o dramatycznych losach Polaków na wschodzie, jest też godną polecenie lekturą dla wszystkich zainteresowanych tą problematyką.

Tomasz Dudek

- ***Kresowianie na świecie*, red. Maria Kalczyńska, Krystyna Rostocka, Adam Wierciński, Wydawnictwo Instytut Śląski, Opole 2013, ss. 249.**

Książka poświęcona jest wojennym i powojennym losom Polaków ze wschodnich terenów przedwojennej Rzeczypospolitej, czyli Kresowianom. W szczególności dotyczy ona drogi życiowej mieszkańców Kresów Wschodnich, którzy po II wojnie światowej nie mogli (a często nie chcieli) wrócić do rządzonego przez komunistów kraju, a ich domy rodzinne stały się częścią ZSRR.

Polacy z Kresów po wojnie osiedlili się na wielu kontynentach i wyraźnie zaznaczyli tam swoją obecność, zarówno wybitnymi dokonaniem, jak i wyróżniającym się stylem życia. Dla wielu z nich powrót do kraju po II wojnie światowej mógł się zakończyć więzieniem, a nawet wyrokiem śmierci. Wyroki

i represje dotyczyły także członków ich rodzin – i to rodzin, które wielokrotnie były już naznaczone wojennymi tragediami. Marzenia o powrocie do rodzinnych domów, do szkół czy przyjaciół, uniemożliwiła Kresowianom nowa granica Polski – narzucona przez ustalenia jałtańskie. W ich wspomnieniach wyraźnie rysują się tragiczne przeżycia lat wojennych, rozdzielenie z rodzinami, a w latach powojennych – problemy materialne, tęsknota za krajem i poczucie klęski idei, o którą walczyli – czyli wolnej Polski. Oni swoją Polskę stracili.

Na publikację składają się dwadzieścia trzy artykuły napisane przede wszystkim przez historyków, ale także filologów, biologa, socjologa i politologa. Książka podzielona jest na dwie części. Pierwsza („Historia Kresów wpisana w dzieje emigracji”) przedstawia kolejne etapy przesiedleń na tle dziejów europejskiej cywilizacji. Rozpoczyna się wyjaśnieniem pojęcia „kresy” oraz „Kresowiaczy” w kontekście wschodniego pogranicza europejskiej cywilizacji.

Barbara Topolska w artykule na ten temat wyjaśnia przemiany kulturowe, jakie dokonały się na pograniczach polsko-ukraińskich, białoruskich i litewskich. Analizuje przemiany nie tylko w kontekście kultury polskiej, ale szerzej – Europy wschodniej. Podaje skróconą historię tych ziem, charakteryzując dwa skrajne podejścia: pierwsze – uznające Kresy za ziemie wyłącznie polskie i drugie, które uznaje sentyment do tych ziem za wyraz „nostalgii za kolonialną przeszłością”. Podkreśla, że dyskusja nad ziemiami utraconymi po 1939 roku przeniosła się do internetu: uczestniczą w niej głównie ludzie bezpośrednio zaangażowani, przede wszystkim wywodzący się z wschodniego pogranicza oraz specjaliści z ośrodków akademickich.

W tej wielotematycznej książce przedstawiono także środowisko emigracji powojennej, miejsca zachowania oraz rozwoju polskiej kultury i myśli politycznej oraz związane z tym osoby związane z Kresami – takie jak prezydent RP na uchodźstwie Ryszard Kaczorowski i jego żona, czy Irena Renata Anders z Wielkiej Brytanii. Osobny artykuł poświęcono Kresowianom w Niemczech, a raczej ich potomkom, którzy nadal czują się Polakami. Wyjaśniona została historia Kresowian w Zagłębiu Ruhry, a także działalność potomków ludzi, którzy przenieśli się tam w wielu falach osiedleńczych, czy to jako emigracja zarobkowa z zaboru pruskiego, czy w okresie II wojny światowej, kiedy Kresy znajdowały się pod okupacją niemiecką (1941-1944). W artykule zaznaczona została także współczesna emigracja, czyli solidarnościowa, postsolidarnościowa oraz zarobkowa po 2002 roku.

Kresowian we Francji opisała Agata Kalinowska-Bouvy. Jej artykuł poświęcony jest przede wszystkim historii zamku Montresor. W 1849 r. zamek w dolinie Loary został zakupiony przez Różę Potocką, z domu Branicką, dla syna, Ksawerego Potockiego. Obecna pani na zamku to Maria Rey z domu Potocka. Na początku wojny musiała uciekać przed Sowietami, a w 1945 roku musiała z przyczyn politycznych opuścić kraj, udając się do Francji. Zawsze pozostała w kontakcie z Polską i Polakami, pomagając im w okresie komunizmu i stanu wojennego.

Hubert Chudzio i Anna Hejczyk pokrótce scharakteryzowali losy Kresowian, którzy w wyniku wysiedleń przeszli przez Syberię do Iranu i stamtąd do Afryki Wschodniej i Południowej. Omawiają treść wiele wywiadów przeprowadzili w Wielkiej Brytanii wśród osób, które po zakończeniu II wojny światowej z Czarnego Łądu przenieśli się do Anglii i tam pozostali. Podobną historię opisuje

Leszek Wątróbski, pisząc o Kresowianach w Nowej Zelandii. Podobnie jak i w Afryce, tak i w Nowej Zelandii dużą grupę stanowiły dzieci-sieroty, które opuściły Związek Sowiecki wraz wojskiem polskim dowodzonym przez gen. Władysława Andersa. W przeciwieństwie do ludzi wywiezionych z Syberii do Afryki, którzy częściowo wrócili do Europy po wojnie wybierając Anglię jako kraj zamieszkania, Nowozelandczycy pozostali na odległych od Starego Kontynentu wyspach.

Omówiona została także inicjatywa australijska, czyli założenie i działalność Fundacji Kresy-Syberia. Inspiracją tego przedsięwzięcia był film Jagny Wright i Anety Naszyńskiej „Zapomniana odyseja – nieopowiedziana historia 1.700.000 Polaków deportowanych na Syberię w 1940”.

Ze statystyczną dokładnością opisał emigrację z Kresów do Brazylii i USA Krzysztof Kleszcz. Wziął pod lupę badacza dwie wsie leżące w Galicji, niedaleko Lwowa – Biłkę Szlachecką i Biłkę Królewską. Jako przyczynę emigracji podaje przeludnienie obu wiosek oraz brak uprawnej ziemi.

Tożsamości Kresowian na Krymie poświęcony jest ostatni artykuł pierwszej części tomu. Przypomina społeczno-kulturowe uwarunkowania tożsamości Kresowian, łącznie z ukrywaniem polskości w latach powojennych. Bardzo ważna była dla nich religia – katolicyzm, który utożsamiano z polskością bardziej niż język, którym posługiwano się w domu.

Drużną część książki (Kresowianie w kulturach świata) zawiera dwanaście tekstów biograficznych osób wywodzących się z Kresów, a które po 1945 roku pozostały na obczyźnie. Rozpoczyna ją przegląd biograficzny Marii Kalczyńskiej – wyliczający ludzi kultury i sztuki o rodowodzie kresowym, którzy nie wrócili do kraju po 1945 roku. Podobny charakter ma artykuł traktujący o wybitnych przedstawicielach światowej techniki urodzonych w Stanisławowie oraz naukowcach z Politechniki Lwowskiej. Poznajemy z niego twórcę szkoły metrologów prof. dr. inż. Włodzimierza Krukowskiego, który wraz z siedmioma innymi profesorami został zamordowany w 1941 roku na Wzgórzach Wuleckich. Kolejne artykuły prezentują następne sylwetki. Kresowe duchowieństwo reprezentuje kardynał Władysław Rubin z Rzymu. Artystę, malarza Mariana Hełma-Pirgo, urodzonego we Lwowie, zapomnianego jeszcze przed śmiercią w Londynie, scharakteryzował Eugeniusz S. Kruszewski. Podkreślił jego przeszłość wojskową oraz przejście do twórczości artystycznej i literackiej. Artykuły Mariana Hełma-Pirgo były publikowane w Polsce, Wielkiej Brytanii, Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. O. Robert Wawrzyniecki poświęcił parę słów kresowym Sapiehom, którzy jeszcze w XIX wieku udali się do Kenii.

Historię tatarnika, Władysława Płońskiego oraz jego trudne decyzje emigracyjne i losy na obczyźnie, opisał Andrzej Skibniewski. Płoński zdecydował się wyemigrować wraz z rodziną do Kanady, gdzie karierę zawodową zakończył jako dyrektor departamentu w Ministerstwie Zasobów Naturalnych. Do Kanady także wyemigrowała Wanda Stachiewicz, założycielka i kustosz Biblioteki Polskiej w Montrealu.

Anna Rajchel przedstawia postać Beaty Obertyńskiej, poetkę, pisarkę i aktorkę, urodzoną we Lwowie, która w swoich utworach opisywała urok lwowskiej zieleni. Opisała także koszmar pobytu w więzieniach oraz zesłanie do łagru. Pamiętnik wydany został pod tytułem „W domu niewoli”. Po II wojnie światowej zamieszkała w Londynie. Uwzględniono także kilka biografii Kresowian mieszkających w Stanach Zjednoczonych i Argentynie: Andrzeja

Pomiana z Waszyngtonu, związanego z radiem Wolna Europa, poety Janusza Ilnatowicza i Romana Rodziewicza, przyjaciela Melchiora Wańkowicza. Przedstawiała ich Aleksandra Ziółkowska-Boehm. Publikuję dopełniają osobiste refleksje Zbigniewa Kosteckiego z Niemiec i Leokadii Komaiszko z Belgii.

Aneksem do książki ma być polemiczny szkic Adama Wiercińskiego „O rzekomej kresomanii”. Autor w ten sposób wyraża się na temat „analfabetyzmu kresowego”. Uważa, że książki o ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej, które się pojawiają od niedawna, to tylko próba spłacenia „długu pamięci, próba przywracania do pamięci zbiorowej tylu miejsc i postaci ważnych” dla kultury polskiej i nie tylko. I że procesowi temu towarzyszą próby mitologizacji.

Bez wątplenia jest to interesująca publikacja stanowiąca ważny „przyczółek” do przyszłych badań z tego zakresu. Podkreślają to redaktorki we wprowadzeniu konkludując, że „publikacja ma być głosem w dyskusji nad tematyką wciąż jeszcze dotkniętą grzechem zaniechania”. Jest to publikacja na pewno wartościowa – zwłaszcza ze względu na nagromadzenie materiału dotychczas nie publikowanego szerzej. Poszczególne biografie ludzi, którzy urodzili się na Kresach i pozostali na obczyźnie na pewno stanowią ważne źródło dla badaczy zajmujących się tematem Sybiraków. Dzięki szerokiemu podejściu do tematu zawiera również szereg wskazówek bibliograficznych do dalszych badań.

W przypadku tematów ogólnych (na przykład omawianie sytuacji Kresowian na terenach Afryki Wschodniej i Południowej) analiza wydaje się mieć charakter wycinkowy. W tym wypadku autor (Hubert Chudzio) odwołuje się do swojej poprzedniej książki, którą wydał na podstawie wywiadów z Kresowianami, którzy przez Afrykę przeszli. Tych słów krytyki nie należy jednak odbierać jako umniejszających wartość książki.

Marta Nowakowska

LISTY DO REDAKCJI

Szanowna Redakcjo „Zesłańca”

Z wielkim wzruszeniem, ze łzami w oczach i radością przeczytałam na dolnej okładce „Zesłańca” nr 57 z 2013 roku informację o ważnych dla nas rocznicach w bieżącym roku. Szczególnie wzruszyła mnie rocznica, o której często myślę, to 70-ta rocznica bitwy pod Lenino. To wielka prawda i nasz święty obowiązek, aby wreszcie oddać hołd i wierną pamięć, tym, którzy brali w niej udział – zginęli lub zranieni przeżyli szczęśliwi, że walczyli w obronie Ojczyzny. Tak było w przypadku mojego wujka. Dzięki Bogu przeżył, wrócił, choć z raną postrzałową nogi i ciężko chory na płuca, ale szczęśliwy, że dobrze spełnił swoją misję wobec Ojczyzny. Odnalazł swoją matkę, siostrę i nas czworo nieletnich siostrzeńców. Wiele o swoich przeżyciach wojennych opowiadał, ale my z kolei jako dzieci niewiele z tego zapamiętaliśmy wojennych dorośli nie wszystko opowiadali ze względu na panującą sytuację.



*

Nasz wujek Emeryk Kolozsi

Obecnie ja 80-letnia, chcę zabrać głos i trochę napisać w tej sprawie. W nocy z 30/31.11.1939 r aresztują mojego ojca policjanta, który walczył w wojnie polsko-rosyjskiej w latach 1918-1920. Za parę dni nas czworo nieletnich dzieci, mamę i babcię, która nie podlegała wywóźce, ale na własną prośbę pojechała z nami – wywożą na Sybir – Kazachstan. W rodzinnym domu w Gródku Jagiellońskim pozostaje syn babci – młody 21 letni mężczyzna członek związku „Sokół” – nasz wujek Emeryk Kolozsi. Zagubiony w sytuacji, która nastąpiła dowiaduje się, że na terenie ZSRR powołuje się ochotników do Wojska Polskiego, żeby wraz z Armią Radziecką walczyć z wrogiem w obronie Ojczyzny. Mimo wyrządzonych krzywd przez władze radzieckie, podejmuje decyzję ucieczki do Moskwy a następnie do Szkoły Oficerskiej Wojsk Pancernych w Riazaniu. Przeszedł szlak bojowy aż do Berlina, dwukrotnie wyskoczył z płonącego czołgu. W załączeniu przesyłam zdjęcie wujka w pierwszym polskim mundurze czołgisty, zrobione w Moskwie w 1941 r.

Dzięki Jego ofiarności i staraniom odnalazł nas i zorganizował powrót do kraju, do wolnej Ojczyzny. Było to Opole 1945 rok. Wrócił ciężko ranny z poważną chorobą płuc, ale szczęśliwy w przeświadczeniu, że przyczynił się do wyzwolenia swojego kraju. Radość tę pogłębiał fakt, że udało Mu się odnaleźć tych, których kochał – swoją matkę i nas wszystkich. Swoją miłość do Ojczyzny, wiarę w jej wyzwolenie oraz miłość do rodziny opisuje w młodzieńczych wierszach pisanych w spokojniejszych chwilach frontowych /przyśle na życzenie/. Po wyzwoleniu służy w wojsku na różnych stanowiskach, awansując do stopnia majora. Frontowe uszczerbki na zdrowiu i brak odpowiednich leków nie pozwoliły Mu żyć dłużej. Ostatnie lata mieszkał w Mielcu, gdzie zmarł w wieku 63 lat. Sam sobie zaprojektował skromny nagrobek z cementu, na którym kazał wyryć epitafium; „Byłem szczęśliwy, bo dane mi było walczyć za Ojczyznę”. Napis ten oraz skrzydło husarskie przy tablicy świadczą o Jego wielkim patriotyzmie.

Piszę skrótowo i sama nie wiem, czy to ma sens wreszcie zacząć o tym mówić. Wiem, że takich jak mój wujek było wielu. Młodzi wielcy patrioci, którzy poświęcili swoje zdrowie i życie byśmy dziś mogli żyć w wolnej Polsce. Dziś mówi się o żołnierzach zniewolonych i stawia się pomniki. Cel mieli jeden – obrona Ojczyzny.

Walka na drodze do wyzwolenia była długa i ciężka i wszyscy byli Polakami, więc skąd ta niewdzięczność i nienawiść do nich?. To nie zdrajcy to bohaterowie 1 Dywizji im. Tadeusza Kościuszki, którym również należy się pomnik. Cześć Im i Chwała – Oni na to czekają!

Janina Figas
ul. Marka Orłowskiego 2/6
85-314 Bydgoszcz

Szanowny Panie

Poszukuję wszelkich informacji na temat dalekiego krewnego, według relacji świadków żołnierza Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, uczestnika bitwy pod Monte Cassino – Stanisława Kikowskiego (1911-1960). Powrócił do ojczyzny w 1946 r., ale nie ujawniał się ze swoją przeszłością, gospodarował we wsi Dzierlin pod Sieradzem, zmarł śmiercią samobójczą.

Dysponuję jedynie fotografią, którą przesyłam. Zleciłem kwerendę w IPN oraz w CAW, ale nie przyniosły rezultatów. Z pewnością jakieś dokumenty posiada angielskie ministerstwo obrony, ale póki co chcę wyczerpać inne możliwości.

Łączę wyrazy szacunku –

Maciej Rataj

Informacje kierować na adres: M. Rataj, ul. Szkolna 26; 98-200 Sieradz



Stanisław Kikowski (1911-1960); pierwszy z prawej

Redakcja Kwartalnika „Zesłaniec”
ul. Bystrzycka 61/3
54-251 Wrocław

Szanowna Redakcjo

Zwracam się z prośbą o pomoc w odszukaniu-jeszcze żyjących osób pochodzących z miejscowości Kleck, pow. Nieśwież, woj. Nowogrodzkie – obecnie terytorium Białorusi. Poszukuję osób, którzy być może znaliby moją rodzinę mieszkającą przed wojną w Klecku przy ul. Zawalnej 38 – do 13 kwietnia 1940 r tj. do chwili deportacji rodziny do północnego Kazachstanu: A byli to: mój dziadek – Bolesław Górski s Jana ur.24 03 1898 r. w Mogielnicy; moja Babcia – Helena Górską z domu Suszczewicz c. Dyonizego i Petroneli ur. 1 10 1892 r. w miejscowości Padziery i ich dzieci: syn Józefa Muryn (był dzieckiem z I-ego małżeństwa Babc. Jej pierwszy mąż Muryn z pochodzenia Łotysz; zmarł po powrocie z 4-letniej zsyłki po roku 1920 r. Józef Muryn urodził się w Rydze,

nie znam daty urodzenia – wiem, że w Wilnie ukończył Konserwatorium Muzyczne. Po wejściu Rosjan (17 09 1939) został aresztowany, w Mińsku, osądzony i zesłany do obozu pod Archangielskiem. Gdy powstała Polska Armia, do której zgłosił się, walczył w północnej Afryce i Włoszech. W 1945 r. poznał dziewczynę z Włoch, z którą ożenił się i razem wyjechali do Argentyny, gdzie zmarł w 1978 r. Mój ojciec – Czesław Górski jest synem Bolesława i Heleny Górskich, urodził się 22 marca 1926 r w Klecku. Była też i ich córka, Teresa Górską ur. 22 12 1933 r. w Klecku, która zmarła w 1954 r., po powrocie do Polski ze zsyłki. Mój ojciec żyje.

Jak już wspominałem, rodzina Górskich mieszkająca w Klecku przy ul. Zawalnej 38 posiadała nowy dom drewniany mieszkalny wybudowany w 1929 r. oraz warsztat ślusarsko-mechaniczny, w którym dziadek zatrudniał przed wojną 9 pracowników. Budynki te zlokalizowane były na działce, która była ich własnością.

To tyle, co jest mi wiadome na ten temat. O ile jest to możliwe, to proszę o zamieszczenie treści tego listu w Waszym kwartalniku – może za jego pośrednictwem odszukam potrzebnych osób. Ewentualną korespondencję proszę kierować na mój adres.

Z upoważnienia mego ojca przeprowadzam procedurę postępowania odszkodowawczego za pozostawione mienie zabużańskie.

Z poważaniem –

Stanisław Górski
Dąbrówka Malborska 51
82-410 Stary Targ

Do redakcji
kwartalnika „Zesłaniec”
ul. Bystrzycka 61-3
54-215 Wrocław

Szanowna Redakcjo,
od pewnego czasu nie mogę znaleźć w internecie artykułów opublikowanych w niektórych numerach „Zesłańca” z ubiegłego roku. Czy zaprzestaliście Państwo tej praktyki udostępniania treści pisma? Publikowane przez redakcję teksty wnoszą wiele nieznanych dotychczas wiadomości o polskich losach na syberyjskiej ziemi. Mają one dla mnie dużą wartość poznawczą. To wszystko, co przeżywali Polacy na Syberii ożywa na kartach waszego pisma, którego niestety nie mogę zaprenumerować na pocztę. Informując o swoich odczuciach po lekturze artykułów publikowanych w Państwa piśmie pragnę stwierdzić jego dużą pomoc edukacyjną. Szukałem innego pisma omawiającego kontakty polsko-syberyjskie. Jednak go nie znalazłem!

Życzę dalszych ciekawych publikacji.

Jan Węgrzynowicz

Od redakcji: informujemy, że numery „Zesłańca” z roku 2013 można czytać w internecie pod adresem: www.zeslaniec.pl